TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 4 – 10 marca 2026 | nr 10 (4000)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

NUMER 4000!

Wojna w Iranie: scenariusze przyszłości

Czas na zakaz clickbaitu

Tomasz Organek na Wielki Post

Cveta Dimitrova: sztuka zaufania

Radek Rak: o czym nie szumią wierzby

POLEXIT: OSTRZEŻENIE

KAROLINA WIGURA I JAROSŁAW KUISZ

STRONY 12–16



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 0f983c43b1

REKLAMA

„Pasja wg św. Jana”

pod batutą maestro Marcina Sompolińskiego

SPEAKING CONCERTS: PASJA to koncert muzyki oratoryjnej, połączony z narracją i obrazem, poświęcony „Pasji wg św. Jana” Jana Sebastiana Bacha. Odbędzie się 14 marca w Poznaniu i 22 marca w Krakowie. Repertuar wykonają znakomici soliści, Orkiestra Collegium F pod batutą maestro Marcina Sompolińskiego oraz chóry: Poznański Chór Chłopięcy pod kierunkiem Jacka Sykulskiego (w Poznaniu) i Cracow Singers (w Krakowie). Bilety są dostępne na stronie bilety.speakingconcerts.pl.

SŁOWO O MUZYCE: PROF. MARCIN SOMPOLIŃSKI

Jan Sebastian Bach, komponując „Pasję wg św. Jana”, nie tworzył autonomicznego dzieła koncertowego, lecz muzyczną medytację wpisaną w liturgię Wielkiego Piątku w luterańskim Lipsku.

Duchowy wymiar utworu ujawnia się w samej strukturze czasu. Długie recytatywy, arie zatrzymujące narrację, powracające chorały – wszystko to tworzy przestrzeń kontemplacji, która dziś może stać się formą osobistej medytacji. Choć zmienił się kontekst społeczny i religijny, dzieło nadal ma moc wprowadzania w doświadczenie ciszy i refleksji. Muzyka Bacha przekracza swoją epokę, ponieważ dotyka fundamentów chrześcijańskiej wizji człowieka: jego kruchości, winy i nadziei odkupienia.

„Pasja wg św. Jana” nie jest więc wyłącznie zabytkiem baroku. To teologiczny dramat zapisany w dźwiękach – zaproszenie do konfrontacji z tajemnicą krzyża, która dla jednych pozostaje wyznaniem wiary, dla innych zaś uniwersalnym symbolem miłości silniejszej niż przemoc.

W świecie, w którym tworzył kompozytor, muzyka nie była „czystą” sztuką dźwięku – była mową. Artysta myślał kategoriami retoryki – tak jak kaznodzieja buduje kazanie, tak on budował narrację muzyczną. Posługiwał się więc określonym repertuarem figur – muzycznych gestów odpowiadających określonym treściom i emocjom. Wtedy były one czytelne niemal intuicyjnie, dziś wymagają pewnego odszyfrowania. Podczas koncertu postaramy się przybliżyć ten fascynujący świat, mając nadzieję, że dzięki niemu spojrzymy głębiej w przesłanie zapisane w partyturze.



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

organizator: fabryka_sztuki

partnerzy: Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, UAM, DeSilva Premium

patronat medialny: Przewodnik Katolicki

eprasa.pl 0f983c43b1

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI
MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Iran. Świat na krawędzi
MAREK KĘSKRAWIEC

8 Komentarze

10 4000 razy. Chyba jednak tak
MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ KRAJ

18 Poprawność bez litości
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Outowanie polityków z rzekomych chorób, używanie psychiatrycznych pojęć jako obelg – publicznie pielęgnujemy nieczułość

21 Czy drzewa muszą zarabiać
MARCIN KĘDZIERSKI:
W Lasach Państwowych ekonomia wygrała z ekologią

24 Trudne słowo: gentryfikacja
MARCIN TUSIŃSKI:
Czy to wyłącznie złe zjawisko?

■ ■ PSYCHE

30 Jak znów sobie zaufać
CVETA DIMITROVA:
Dlaczego tkwimy w stanie permanentnego rozdzielenia?

■ ■ ŚWIAT

34 Barykady demografii
SZYMON ŁUCYK: *Co robi Francja w obliczu zapaści demograficznej*

37 Mój ból, twój ból
MICHAŁ KUŹMIŃSKI:
Izraelczycy patrzą na palestyńskie ofiary ze Strefy Gazy

40 Lilka umie kłamać
ŁUKASZ GRAJEWSKI:
Portret Alice Weidel, która chce poprowadzić skrajną prawicę do władzy w Berlinie

■ ■ WIARA

44 Kurs do środka



MARTA KACPRZAK

ROZMOWA Z TOMASZEM ORGANKIEM
o przebaczeniu na Wielki Post

48 Wiara mnie jara
MARCIN TUSIŃSKI:
Wspólnota ewangelizacyjna Głos na Pustyni przyciąga setki osób. Czego szukają?

TEMAT TYGODNIKA

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

12
Polexit: ostrzeżenie
KAROLINA WIGURA, JAROSŁAW KUISZ
Nastroje antyunijne rosną w Polsce nie bez powodów. Trzeba je przemyśleć.

15
Skąd się wziął brexit?
JACEK STAWISKI
Przestroga z Wysp



■ EKSTRA STRONY ■

62 CRICOTEKA I ŻYWE ARCHIWUM KANTORA

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
28 OLGA DRENDA
52 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS
& MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

51 Strażak M.
PAULINA GUZIK:
Były dominikanin, skazany za przestępstwa seksualne, udziela w internecie porad

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Amortyzatorki
ROZMOWA Z BŁAŻEJEM BRZOSTKIEM, HISTORYKIEM,
na Dzień Kobiet – o kobietach w PRL-u

■ ■ NAUKA

58 Musisz w to kliknąć
ŁUKASZ KWIATEK:
Czas na zakaz clickbaitu

■ ■ KULTURA

64 Drakula z iPhone'a



AURORA FILMS / MATERIAŁY PRASOWE

JULIUSZ PIELICHOWSKI:
Portret reżysera Radu Jude

68 Hobby: szpieg
JAN ŻERAŃSKI:
Komputerowe gry szpiegowskie

69 Miłość dla początkujących
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
rekomenduje książki dla dzieci o miłości

72 Polecamy

73 Nadwyżka rozkoszy
OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI:
Poeci z lat 90. podzielili Polskę na strefy wpływów

74 Łańcuch bliskości
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Dobry chłopiec" Jana Komasy

75 Droga wśród zamętu
LEKTOR *o książce Krystyny Czerni „Cisza i zgiełk obrazów"*

■ ■ ZMYSŁY

78 O czym wierzby nie szumią
RADEK RAK:
Wszystko zaczyna się od porzucenia niekoniecznych zajęć i wybrania się na spacer

eprasa.pl 0f983c43b1

KS. ADAM

Boniecki: *Wybieram Unię, bo lubię mieć wybór*

Jeśli chodzi o miejsce Polski na arenie międzynarodowej, tak dobrej sytuacji nie mieliśmy nigdy w historii, a to dzięki temu, że po II wojnie światowej mądrzy politycy postanowili zabezpieczyć świat przed potwornością kolejnego konfliktu na kontynencie. Cokolwiek się myśli o tamtych czasach – wcale nie tak bardzo odległych, zważywszy, że je pamiętam – trudno zaprzeczyć genialności tego ich pomysłu. Stworzyli coś, z czego z czasem powstała Unia Europejska.

Oczywiście, członkostwo czasem dokucza państwom należącym do wspólnoty. To zrozumiałe, bo niezależnie od pięknej retoryki każde państwo chce – trudno mieć o to pretensje – wyciągnąć dla siebie najwięcej korzyści z zasiadania przy wspólnym stole. Z drugiej strony Unia Europejska musi (chce) troszczyć się o dobro wspólne. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by uznać, że pomyłki czy wręcz błędy są w trakcie takich procesów nie do uniknięcia. Powiedziałbym nawet, że jest ich stosunkowo mało. A nawet jeśli ktoś nie podziela tej opinii, to myślę, że będzie miał kłopoty z wymyśleniem lepszego organizmu.

Nie wiem, czy ci, którzy narzekają na Unię Europejską, naprawdę zdają sobie sprawę, jak byśmy bez tej organizacji dzisiaj wyglądali: jak wyglądałby polski pejzaż, stan polskiej infrastruktury i inwestycji. Wiem natomiast, że polexit byłby powrotem do czasów,



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *Fura ludzi, miło*

Złośliwy stereotyp głosi, że Kraków żyje wyłącznie w rytmie jubileuszy – wychodzi więc na to, że nie jesteśmy pismem krakowskim, i nie chodzi tylko o to, że kilka lat temu wyprowadziliśmy się ze Starego Miasta na Ludwinów (o gentryfikacji, nawiasem mówiąc, pisze w tym numerze **MARCIN TUSIŃSKI**). Owszem, na łamach świętowano już pierwszą rocznicę ukazywania się „TP", poświęcając temu wydarzeniu całą stronę z ośmiu wówczas drukowanych, oraz pięciolecie („Fura ludzi, stwierdzić miło, / o których się wam nie śniło" – pisał w okolicznościowym wierszyku Kisiel o ekipie redakcyjnej), ale wówczas o przetrwaniu rozstrzygnąć mógł jeden edykt komunistycznych władz. Dziś, gdy o losie mediów decydują wyłącznie czytelnicy, przygotowując numer 4000., mogliśmy zamiast autocelebry zająć się po prostu robieniem tego, co do nas należy. Trochę zgodnie z tym, co pisze w felietonie o Wajdzie **OLGA DRENDA**, że kiedy reżyser cieszył się statusem twórcy za życia upomnikowionego, nie sprzyjało to jej zainteresowaniu. A trochę w zgodzie z duchem słów Krzysztofa Kozłowskiego na pogrzebie Jerzego

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

WYBIERZ OFERTĘ NA STRONIE PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 0f983c43b1

w których znajdowaliśmy się na marginesach świata. Po straszliwych doświadczeniach okupacji i niemal równie mrocznych latach stalinizmu, PRL nie liczyła się jako państwo, będąc całkowicie zależna od Wielkiego Brata, czyli od Związku Radzieckiego. To nie jest, powtarzam, zbyt odległa przeszłość.

A teraźniejszość? Osobliwością każdej teraźniejszości jest to, że nikt nie wie, co będzie jutro. Tak jest w życiu, że trzeba podejmować decyzje, które decydują o przyszłości i tak jest w dramatycznie większym wymiarze, dotyczącym społeczności narodowej i międzynarodowej. Należąc do Unii Europejskiej, jesteśmy jednak w bloku państw solidarnych – i mamy coraz większy wpływ na kształt wspólnych decyzji. W ostatnich latach, po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, treść tego stwierdzenia – o solidarności, o wpływie – nabiera coraz pełniejszego sensu.

Oczywiście, przyszłość jest przed nami zakryta, przynajmniej częściowo. Nie wiemy, co jeszcze Rosjanie wymyślą, jak długo będą atakować Ukrainę i czy na tym zamierzają poprzestać, lecz dokonujemy wyboru. Dla jednych dokonujemy go, bo się nam opłaca, dla innych, bo jest to wybór etyczny, w słusznej sprawie. Obie odpowiedzi są zresztą poprawne.

Pytanie, które ciśnie się na usta: czy gdybyśmy nie byli w Unii Europejskiej, mielibyśmy w ogóle jakiś wybór? ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

Turowicza, że przemówienia nie będzie, bo Szef chciałby przede wszystkim przygotowania kolejnego numeru.

Kozłowskiego wspominam świadomie – przez lata był autorem rubryki, od której wielu zaczynało lekturę: „Obrazu tygodnia”, zawierającego autorski przegląd najważniejszych wydarzeń minionych siedmiu dni. Na ponad dekadę od tego pomysłu odeszliśmy, w przekonaniu, że czego jak czego, ale dostępu do informacji nie brakuje. Ostatnio jednak coraz częściej się mówi, że toniemy w powodzi newsów, a co gorsza: trudno oddzielić sprawdzone od fejków, o zhierarchizowaniu ich wagi nie wspominając.

Zapraszam więc na stronę szóstą, gdzie znajdą Państwo po staremu nieefektowną graficznie, ale – ufam – merytorycznie przydatną rubrykę. Niech to będzie nasz jubileuszowy prezent, tak samo jak nieprzypadkowo zestawione tu teksty **KAROLINY WIGURY** i **JAROSŁAWA KUISZA** o widmie polexitu, **CVETY DIMITROVEJ** o zaufaniu, **ŁUKASZA KWIATKA** o clickbaitach, a wreszcie **RADKA RAKA** o czym nie szumią wierzby. „Bywa tak, że już w dorosłości, gdy nie trzeba, a można, to kanon, a nawet i lektura szkolna potrafi przemówić do nas innym głosem” – to znów Drenda. Fajny ten numer 4000. ©℗

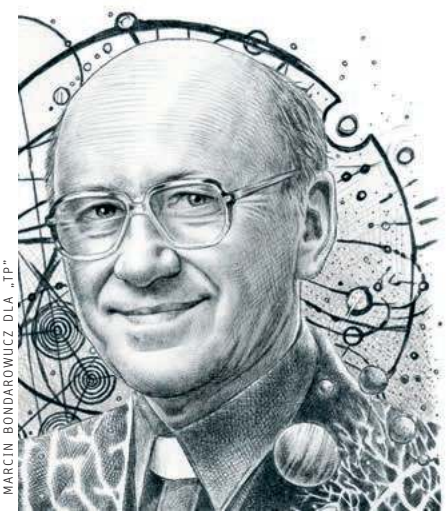
Zastępca redaktora naczelnego, autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MARCIN ŻYŁA
Opiera się na nich sukces turbin wiatrowych, samochodów elektrycznych, pomp ciepła, nowoczesnych sieci energetycznych i magazynów energii. Rynek produktów końcowych wytwarzanych z użyciem metali ziem rzadkich szacuje się na 10 bilionów dolarów.

MAREK RABIJ
Toalety publicznie: temat równie lekceważony, co społecznie ważny. Dla starzejącej się Polski, dla osób cierpiących na choroby cywilizacyjne, dla matek z małymi dziećmi.

90-LECIE KS. HELLERA
Jeśli istnieje jedno słowo, które przenika całą filozofię Michała Hellera, to jest to racjonalność – pisze Tomasz Miller. Z kolei Wojciech Bonowicz w rozmowie z jubilatem pyta o mądrość – starożytnych i współczesnych.



MARCIN BONDAROWUCZ DLA „TP”

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 0f983c43b1

OBRAZ TYGODNIA

24 LUTEGO – 2 MARCA 2026

MINĘŁY 4 LATA od chwili, gdy Putin zapowiedział zdobycie Kijowa w 3 dni. Podczas bieżącej tury negocjacji Rosja-Ukraina-USA agresor zaakceptował amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa dla Kijowa; na froncie obrońcom udało się odzyskać ok. 200 km^2 ■■■ **AMERYKAŃSKIE I IZRAELSKIE** rakiety spadły na Iran, zabijając m.in. ajatollaha Chameneiego. Celem operacji jest zniszczenie irańskiego potencjału jądrowego i może zmiana władzy; na razie Teheran odpowiada atakami na cele w sąsiednich krajach. ■■■ **DONALD TRUMP** ogłosił w orędziu o stanie państwa, że Ameryka „wróciła" i przeżywa złoty wiek (wątpliwa teoria w obliczu np. wysokich kosztów życia). Mowa trwała 108 minut, co było rekordem w dziejach tych wystąpień. ■■■ **OPEN AI** zawarła umowę z Pentagonem. Wcześniej fiaskiem zakończyły się negocjacje administracji Trumpa z konkurencyjną firmą Anthropic, która domagała się zapewnień, że jej modele nie będą wykorzystywane do budowy autonomicznej broni i masowej inwigilacji. ■■■ **PARAMOUNT SKYDANCE** przejmuje koncern Warner Bros. Discovery, do którego należą m.in. CNN, CBS, a także TVN. Transakcja opiewa na ponad 110 mld dol.; wąska grupa najbogatszych ludzi świata zwiększa kontrolę nad mediami tradycyjnymi i społecznościowymi. ■■■ **FALA PRZEMOCY** w Meksyku po śmierci narkotykowego barona opada, prezydent Claudia Sheinbaum zapewnia, że mecze mundialu w tym kraju odbędą się bez przeszkód. ■■■ **BEZ PEŁNEJ PROCEDURY** ratyfikacji Komisja Europejska znosi cła i bariery handlowe w ramach porozumienia UE-Mercosur. Umowie sprzeciwiają się m.in. Francja i Polska. ■■■ **POLSKA** pozyska ok. 43,7 mld euro z unijnego programu SAFE – większość środków trafi do firm zbrojeniowych, o ile ustawę w tej sprawie podpisze prezydent. ■■■ **O ZBROJENIACH** i bezpieczeństwie mówił przed Sejmem min. Radosław Sikorski. Ostrzegał, że „celem wroga jest przestraszyć, podzielić, nastawić różne grupy Polaków przeciwko sobie". ■■■ **PRZECIWKO SOBIE** występują podwładni Jarosława Kaczyńskiego. W związku z naruszeniem zakazu wszczynania szkodliwych dla PiS dyskusji, prezes skierował do partyjnej komisji etyki sprawy Mateusza Morawieckiego, Ireneusza Zyski, Mirosławy Stachowiak-Różeckej i Patryka Jakiego. ■■■ **SZEFOWA JAPOŃSKIEGO** rządu wykluczyła możliwość zmian w zasadach dziedziczenia tronu. Sanae Takaichi uważa, że lepiej włączyć do rodu cesarskiego dalekich krewnych płci męskiej, niż dopuścić kobiety do władzy.



FATEMEH BAHRAMI / ANADOLU / GETTY IMAGES

ŚWIAT NA KRAWĘDZI

Amerykanie i Izraelczycy bombardują Iran. Zabili ajatollaha Chameneiego, panują w powietrzu. Teheran odpowiada atakami na cały region.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ: Teheran po amerykańsko-izraelskim ostrzale, 1 marca 2026 r.

Według szefa irańskiej dyplomacji nalot dronowy na port w Omanie nie był wyborem władz islamskiej republiki, tylko decyzją szefów armii. To znacząca deklaracja. Abbas Araqchi twierdzi, że wojsko działa niezależnie od rządu, na podstawie ogólnych instrukcji. Jednocześnie ten sam minister zadeklarował, że Teheran jest gotowy na deeskalację, co rodzi podejrzenia, że w irańskich ośrodkach władzy istnieją głębokie podziały oraz brak komunikacji. I to niemal od pierwszych izraelskich nalotów wspomaganych przez rakiety z amerykańskich niszczycieli – ich efektem była m.in. śmierć Najwyższego Przywódcy ajatollaha Alego Chameneiego.

eprasa.pl 0f983c43b1



Kilka scenariuszy przyszłości Iranu:

Codzienne naloty, także na obiekty naftowe, mogą doprowadzić do paraliżu państwa i upadku reżimu pod wpływem demonstracji mieszkańców dużych miast, ośmielonych zapadnięciem się administracji i systemu represji. Do władzy aspirowałby w okresie przejściowym wspierany przez Izrael i USA syn ostatniego szacha, ale ma on niewielkie poparcie w Iranie, popularniejsi są uwięzieni działacze demokratyczni.

Jeśli system przetrwa, oprze się na dyktaturze wojskowej; następca Chameneiego nie zdobędzie już jego autorytetu. Możliwy jest tu także scenariusz reglamentowanej demokracji pod nadzorem junty, uzgodniony z Waszyngtonem – pod warunkiem zakończenia programu atomowego i balistycznego.

Istnieje też możliwość buntu w półmilionowej armii i starć z wiernym szyickiej republice ponad 100-tysięcznym Korpusem Strażników. To zaś oznacza wojnę domową.

DO NIEDAWNA wydawało się, że zamach na najważniejszą osobę w Iranie, w dodatku głównego szyickiego duchownego na świecie, to granica, po przekroczeniu której na całym Bliskim Wschodzie rozpęta się piekło. I rozpętało się, ale władze w Iranie mają też świadomość, że wojny z USA i Izraelem wygrać nie zdołają. Nie mają zarazem ochoty iść w ślady Chameneiego, który zginął we własnym biurze, gdyż nie miał zamiaru przesadnie się ukrywać i przyjął kultową w szyizmie rolę męczennika. W tym samym czasie śmierć ponieśli dowódcy elitarnego Korpusu Strażników Rewolucji i sztabu generalnego armii, a także minister obrony.

NALOTY SETEK myśliwców sprawiły, że Iran został pozbawiony większości obrony przeciwlotniczej, niszczone są też systematycznie bazy Strażników i regularnej armii, porty wojenne, magazyny i fabryki broni, radary i wiele wyrzutni pocisków balistycznych. Jednak Iran jest ogromnym krajem i od lat stosował strategię obrony rozproszonej, często dobrze ukrytej, więc jest w stanie wciąż razić cele w Izraelu i całym regionie. I robi to, licząc na wywołanie chaosu na świecie i podbijając stawkę przed ewentualnymi negocjacjami z Donaldem Trumpem, który twierdzi, że jest otwarty na rozmowy.

Zanim to nastąpi, trwać będzie zapewne kampania mająca rzucić na kolana islamską republikę, którą Waszyngton i wiele stolic europejskich uważa za głównego sponsora terroryzmu, pracującego w dodatku nad bombą atomową. Właśnie dlatego dyskusje na temat złamania przez Izrael i USA prawa międzynarodowego zeszły na daleki plan.

DEMONTAŻ islamskiej republiki jest możliwy, gdyż izraelskie i amerykańskie samoloty opanowały niebo nad połową Iranu. Teraz oprócz celów militarnych niszczą metodycznie ośrodki władzy politycznej, systemy komunikacji, komendy policji, służb bezpieczeństwa oraz paramilitarnych bojówek basidżów, które krwawo stłumiły styczniową rebelię. Bombardowania mają stworzyć próżnię i ośmielić ludzi do ponownego wyjścia na ulice.

Na razie do niczego takiego nie doszło, choć trudno o wiarygodne informacje z kraju, w którym zablokowano internet, a wiadomości rozchodzą się tylko dzięki nielicznym starlinkom. W sieci jest niewiele wiarygodnych filmów dokumentujących radość Irańczyków ze śmierci Chameneiego; w oficjalnych mediach widać za to obrazy licznych demonstracji zwolenników władzy. Zapewne wiele zależy od tego, jak precyzyjne będą naloty. Jeśli powtarzać się będą „błędy", takie jak zbombardowanie szkoły dla dziewczynek w Minab (165 ofiar), Irańczycy mogą nie mieć ochoty na rewoltę. Fakt, że namawiają do niej władze bombardującego kraj Izraela, nie jest dobrze odbierany nawet w demokratycznych środowiskach.

SPOŁECZEŃSTWO Iranu jest mocno podzielone. W dużych miastach przeważają przeciwnicy skorumpowanego i niewydolnego ekonomicznie (także z powodu sankcji) systemu, którzy podczas styczniowych protestów po raz pierwszy zakwestionowali całą ideę religijnego systemu i otwarcie życzyli śmierci Chameneiemu. Zarazem islamska republika ma wciąż miliony zwolenników, więc istnieje obawa, że upadek władz może oznaczać wojnę domową (scenariusze przyszłości Iranu – patrz ramka obok) i rozpad kraju. Co prawda dzieje irańskiej państwowości rozciągają się na kilka tysięcy lat, czym kraj mocno różni się od Syrii, Iraku czy Afganistanu, ale ilość broni, polaryzacja polityczna i liczne mniejszości mogą być mieszanką trudną do opanowania.

IRAŃSKIE WŁADZE próbują podbić stawkę, uderzając rakietami balistycznymi nie tylko w amerykańskie bazy, ale też w infrastrukturę krajów arabskich, które goszczą oddziały USA. Ma to wciągnąć jak najwięcej państw w wojnę i zdestabilizować świat. U wrót cieśniny Ormuz zakotwiczyło już ponad 150 pustych tankowców, których nikt nie ubezpieczy w obliczu gróźb ataku ze strony Iranu. Możemy to odczuć już niedługo na stacjach benzynowych i w cenach gazu, jeśli przez dłuższy czas nie będą napływać transporty z Kataru.

Dodatkowo Iran postanowił zniszczyć najsłabsze militarnie, ale niezwykle ważne dla świata ogniwo – Zjednoczone Emiraty Arabskie. Ataki dronów na pełne turystów i zachodnich biznesmenów Dubaj i Abu Zabi, widok Shaheda wbijającego się w największy wieżowiec świata Burdż Chalifa mają pomóc Teheranowi zmusić Trumpa do negocjacji. Jeśli w ciągu najbliższych dni nie dojdzie do przełomu, czekają nas krwawe tygodnie. ©℗

eprasa.pl 0f983c43b1



Pomiędzy pokojem a wojną

OLAF OSICA

Nie wiemy, czy wygłaszając z trybuny sejmowej *exposé* na temat kierunków polityki zagranicznej, wicepremier Radosław Sikorski wiedział, że za trzy dni USA i Izrael przeprowadzą atak na Iran. Ale wiemy, że wojna na Bliskim Wschodzie jedynie podbija jego przekaz.

Po pierwsze, potwierdza diagnozę sytuacji Polski. Żyjemy nie w „kryzysie" czy „trudnych czasach", tylko w strefie między pokojem a wojną – z regularnymi aktami dywersji, sabotażu, testowania sprawności państwa i idącymi w tysiące cyberatakami na infrastrukturę cyfrową Polski. W tym momencie bezpieczeństwo staje się więc warunkiem wszystkiego, a cała aktywność państwa – od polityki przez gospodarkę po technologię – powinna podlegać myśleniu czasów wojny, aby odstraszyć agresora.

Po drugie, nasz główny sojusznik nie tylko nie broni ładu, na jakim budowaliśmy naszą niepodległość po 1989 r., ale przykłada rękę do jego unicestwiania. „Ameryka się zmienia. Możemy albo dostrzec fakty i odpowiednio się przygotować, albo zasłonić oczy i uszy" – przekonuje minister Sikorski i przypomina, że interesy USA nie zawsze pokrywają się z naszymi. Fundusz SAFE musi zatem stworzyć nam przestrzeń do ograniczenia ryzyka, wynikającego z uzależnienia od dostaw broni z USA, i dać impuls do rozwoju własnych zdolności.

Po trzecie, siła Polski jest dziś w pierwszej kolejności pochodną jej gospodarki. To niezaprzeczalny fakt, o którym dużo mówił szef polskiej dyplomacji. To ma swoje miłe, medialne strony, jak pochwalne artykuły w prasie brytyjskiej, francuskiej czy niemieckiej. Ale to rodzi również pytanie: czym byłaby Polska i jej siła, gdyby wzrost gospodarczy się skończył.

Ten zaś, jak wiadomo, nie musi trwać wiecznie. Czy mamy więc instytucje, wpływy, pozycję międzynarodową, która pozwoliłaby nam utrzymać się w gronie współdecydujących o Europie, bez obecnego wydawania miliardów na zakupy uzbrojenia? Tak jak np. będące od lat w stagnacji Niemcy, które wciąż grają w świecie rolę powyżej swej obecnej wagi i znaczenia?

Tego nie wiemy. I na pewno nie dowiemy się z żadnego *exposé* żadnego ministra spraw zagranicznych.

Nie zmienia to faktu, że mamy coraz większy problem między, z jednej strony, dobrą i chłodną diagnozą sytuacji, a z drugiej pomysłami, jak złapać rzeczywistość za rogi i narzucać kierunek zmian. Jak przejść z pozycji obronnej do ataku i zacząć strzelać gole?

Bo Europa potrzebuje przywództwa. A ono, jak zauważa minister Sikorski, „nie spada z nieba, nie dostaje się go z niczyjej łaski. Bierze się nie z mówienia o nim, nie z narzekania, lecz z działania". Czekamy zatem na konkrety. ©



ALBERT ZAWADA / PAP

Radosław Sikorski na konferencji prasowej w Sejmie, po wygłoszeniu exposé. Warszawa, 26 lutego 2026 r.



Odłóż ten telefon

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

„Zakaz używania telefonów w szkole", zapowiedziany przez Barbarę Nowacką i klub KO, można podsumować tak: jeśli ma się udać, nie może być zakazem, nie powinien dotyczyć samych telefonów, i nie może ograniczyć się do szkół. W przeciwnym wypadku okaże się kolejną efemeryczną klapą, jakich multum wokół polskiej edukacji.

Nie może być zakazem, bo ten w polskich warunkach jest niewykonalny: cokolwiek zadekretuje rząd, planujący wprowadzić nowe prawo wraz z ograniczeniami wiekowymi w mediach społecznościowych, może zostać wdrożone lub niewdrożone w szkole. Już dziś przecież duża część placówek ma w statutach podobne „zakazy" – ich skuteczność zależy od determinacji dyrekcji i sposobu wdrażania. Np. deponowanie aparatów w szafkach się raczej sprawdza, a chowanie do plecaków nie. Już podczas przerw aparaty lądują w rękach uczniów, a to właśnie przerwy – owe krótkie poligony relacji między dziećmi – są w tej grze najwyższą stawką. Nowe prawo, choć opakowane słowem „zakaz", nie będzie zresztą niczym innym jak zbiorem wytycznych i rekomendacji, których potrzebują dyrektorzy, by przekonywać do zmiany nieprzekonanych rodziców.

– Nie potrzebujemy rewolucji prawnej, a konsensusu społecznego – mówi Magdalena Bigaj, prezeska Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa. – Musimy też pamiętać, że w użyciu są smartwatche, za pomocą których też można komunikować się np. przez WhatsAppa, a nawet smart glassy. I że problem dotyczy nie tylko podstawówek, które chce objąć nowymi przepisami rząd, ale też przedszkoli, liceów i uczelni wyższych. No i najważniejsze: nowe zasady nie zadziałają, jeśli będą dotyczyć tylko uczniów. Nauczyciel nie może być policjantem, który rzuca hasło: „Odłóż ten telefon", samemu patrząc w ekran.

Nie miejmy też złudzeń: nowe szkolne zasady nie „naprawią" nam dzieci – badania wskazują, że najintensywniejsze korzystanie z sieci przez młodzież w dni powszednie to problem wczesnych poranków i popołudni. Nowe duże badania tego zjawiska, które opracowują eksperci ICO, pokazują, że używanie smartfona przez współczesnego nastolatka stało się czynnością tak przezroczystą jak użytkowanie prądu przez starsze generacje – młodzi Polacy nie potrafią już sprecyzować, ile godzin tkwią online. Raport ICO, który ujrzy światło dzienne w marcu, pokaże też, że źródłem wiedzy o higienie cyfrowej jest znacznie częściej szkoła niż rodzice.

Jeśli zmiana przepisów nie sprawi, że ci ostatni spojrzą – zamiast w telefony – w lustra, z rewolucji MEN nic nie wyjdzie. ©℗

eprasa.pl 0f983c43b1



DAVID MADISON / GETTY IMAGES

Jeff Galloway w biegu na 15 kilometrów na stadionie Stanford w Palo Alto w Kalifornii, styczeń 1980 r.

Człowiek, który nauczył biegaczy chodzić

SPORT ▪ W 1972 r. podczas igrzysk w Monachium reprezentował USA w biegu na 10 kilometrów, a rok później ustanowił nowy rekord kraju na 10 mil. Sportowe osiągnięcia zmarłego w ub. tygodniu Jeffa Gallowaya (1945-2026) bledną jednak na tle jego dokonań trenerskich, zwłaszcza wkładu, który wniósł w popularyzację biegania na świecie. Bez cienia przesady można powiedzieć, że gdyby nie on, maratony od Dębna po Nowy Jork nie gromadziłyby dziś tylu chętnych do spróbowania sił na królewskim dystansie 42 kilometrów i 195 metrów.

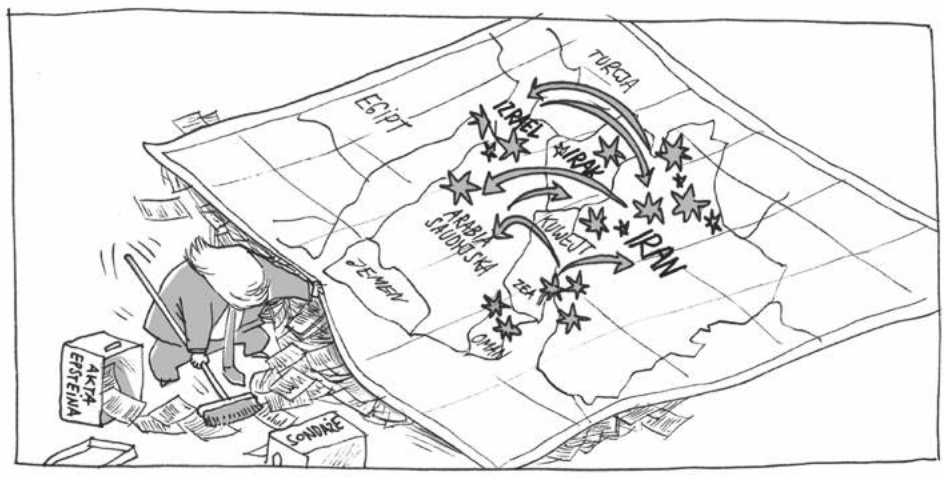
Właściwie każdy, kto interesuje się tym sportem, słyszał o metodzie treningowej Gallowaya, czyli w uproszczeniu na przeplataniu biegu marszem. W jednej z najbardziej rozpowszechnionej wersji na każde 4 minuty biegu przypada minuta spaceru szybkim krokiem. W ten sposób organizm biegacza sukcesywnie zwiększa wydolność, z każdym kolejnym treningiem pozwalając na coraz szybszy bieg. Korzystając z tej metody, Jeff Galloway pokonał dystans maratonu w rewelacyjnym czasie dwóch godzin i 16 minut. Nie jest więc prawdą, że „bieganie Gallowayem" – jak zwykło się w Polsce mówić o treningu w tym stylu – przydaje się jedynie debiutantom marzącym o przekroczeniu mety, zanim organizatorzy zwiną punkt pomiaru czasu.

Jedno się zgadza. Wskazówki Jeffa otworzyły na bieganie długich dystansów wiele osób, które w inny sposób nie odważyłyby się nawet spróbować. Jego bestseller, wydana także u nas książka „Bieganie metodą Gallowaya", mimo niemal akademickiej formy, dla tysięcy biegaczy stanowi bazę pod własne metody treningowe, czasem już dalekie od pierwowzoru. Obecność coraz liczniejszej rzeszy amatorów, którzy w stawce maratończyków nie walczą o rekord kraju, lecz o „złamanie" czterech godzin, sprawiła też, że organizatorzy wielu biegów wydłużyli limit czasu na pokonanie trasy. Maraton londyński, jeden z najbardziej pożądanych trofeów każdego biegacza, trwa aż osiem godzin, właśnie z myślą o tych, którzy jedynie bawią się w bieganie (czasem przebrani za budki telefoniczne, antycznych hoplitów lub postaci z kreskówek) albo zwiedzają w ten sposób miasto.

Gdy w 2019 r. Eliud Kipchoge jako pierwszy w historii przebiegł 42,2 km w czasie poniżej dwóch godzin, na łamach „Tygodnika" pisałem o fenomenie amatorskich startów na królewskim dystansie. W Polsce co roku odbywa się ok. 60 takich biegów. Największy, Warsaw Marathon, w ub. roku zgromadził na starcie 9,5 tys. osób, niemal cztery razy więcej niż cztery lata wcześniej. „Jasne, że nigdy nie będę biegać tak jak Kipchoge. Na starcie maratonu jestem zawodnikiem, który za każdym razem rywalizuje z sobą samym" – mówił mi Robert, jeden z bohaterów tamtego tekstu.

Przygotowania do pierwszego startu zaczął właśnie od Gallowaya. ©℗ **MAREK RABIJ**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 0f983c43b1



Zespół „Tygodnika Powszechnego” w redakcji na ul. Dworskiej 1c w Krakowie, 27 lutego 2026 r. Fotografowała Grażyna Makara.

4000 RAZY: CHYBA JEDNAK TAK

Historia Polski i świata, tematy aktualne i dziś, a w tle dzieje redakcji: cofnijmy się o tysiąc, dwa i trzy tysiące numerów „Tygodnika”.

MICHAŁ OKOŃSKI

Najpierw jednak o powyższej fotografii. Grażyna Makara zrobiła ją w biegu, w piątkowe przedpołudnie – i dlatego brak na niej kilku osób pracujących zdalnie lub będących akurat na urlopie. Na zdjęciu, które można znaleźć w numerze trzytysięcznym, również nie ma kilku osób, bo przecież pracowała już wtedy np. Iwona Kuciel, ale kiedy porównać oba, i tak można rozpoznać znajome twarze: Joanny Mazur, Edyty Płachty, Artura Sporniaka, Piotra Mucharskiego, Wojciecha Pięciaka, Andrzeja Leśniaka, Aleksandra Kardysia, Jacka Ślusarczyka, Macieja Szklarczyka, niżej podpisanego i ks. Adama Bonieckiego oczywiście.


TYGODNIK POWSZECHNY

ZOFIA I STANISŁAW

Punktów wspólnych jest jednak więcej. Niektóre napisała Historia.

▪ **W MARCU 1968** doniesienia o tym, co dzieje się wówczas w kraju, wycina cenzura, choć umieszczenie na pierwszej stronie numeru tysięcznego kawałka prozy jest z pewnością nieprzypadkowe: jej autor, Jerzy Zawieyski wystosował właśnie interpelację poselską w obronie bitych w Warszawie studentów, za co miał go wkrótce spotkać tragiczny w skutkach atak gomułkowskiej propagandy. „Obraz tygodnia” przynosi m.in. informacje o kampanii wyborczej w USA, wojnie w Wietnamie i postępach reform w Czechosłowacji.

Ślady jubileuszu? W prowadzonej przez Władysława Bartoszewskiego rubryce „Zmarli” wspomina się pracowników, współpracowników i przyjaciół pisma – od kard. Adama Sapiehy po drukarnianego metrampaża Andrzeja Janotę i woźnego Jana Palę. Jest też podsumowanie ankiety wśród czytelników, odpowiadających na pytanie, dlaczego sięgają po „TP”. „Technik z ciągotami humanistycznymi” zauważa np., że nie wszystko jest tu łatwe do rozgryzienia, ale miewa to swoje zalety: kiedyś w wagonie restauracyjnym opędzał się od podchmielonego podróżnego, zasłaniając się płachtą pisma, co natręt skomentował: „O, pan, widzę, intelektualista, a ja jestem zwykłym magistrem inżynierem”. 52-letni główny księgowy wojewódzkiej jednostki gospodarczej zauważa

eprasa.pl 0f983c43b1


TYGODNIK POWSZECHNY
2000
DWÓR I OKOLICE
DRUGA FAZA SYNODU BISKUPÓW
CZY REWOLUCJI MOGŁO NIE BYĆ?

jednak, że „artykuły zamieszczone w »Tygodniku«, nawet te o bardziej trudnej tematyce (filozofia, kosmologia, ekonomia), są pisane w sposób tak przystępny, że są zrozumiałe i dla osób o tak skromnym wykształceniu jak moje". Stary kawaler, lat 59, samouk, bez wykształcenia: „Dużo numerów »TP« mam po różnych kątach nieczytanego. Chowam, bo mi drą na podpałkę do pieca lub papierosa". 45-latek z Nowej Huty: „Wobec współczesnego strachu o pokój w świecie, otrzymując »TP« uważam go za dowód spokoju, ładu, porządku oraz zapewnienia faktu, że Kraków leży w Polsce i swojego położenia nie zmieni nigdy, a Wisła płynie z gór do morza i się nie zawróci". Gospodyni domowa, lat 27: „Czytam, bo to moje okno na świat".

▪ **W PAŹDZIERNIKU 1987** jedynym śladem jubileuszu jest liczba „2000" koło logo. Na pierwszej stronie rozmowa z Czesławem Miłoszem, obok – relacja Jerzego Turowicza z rzymskiego Synodu Biskupów, dołem – Stanisław Stomma o tym, czy rewolucji 1905 dało się uniknąć, w środku – potężnie ocenzurowane, co redakcja skwapliwie zaznacza – więzienne wspomnienia Stefana Niesiołowskiego, a także jeden z pierwszych felietonów Jerzego Pilcha. Lektor – ten sam, co dziś – omawia m.in. wspomnienia Alexisa de Tocqueville'a oraz „Szkice o poezji" Jana Józefa Lipskiego.

I tu nie brakuje głosu czytelników. „Na pytanie Andrzeja Romanowskiego, »Czy tych dzisiejszych 19-latków jest w ogóle coś w stanie poruszyć?« – odpowiadamy: chyba jednak tak" – pisze w „Listach do redakcji" licealista Łukasz Mamica. W „Obrazie tygodnia" m.in. informacja, że polskie papierosy ponad dziesięciokrotnie przekraczają normy trujących składników, jakie dopuszcza się w świecie, ale z perspektywy numeru, w którym na okładce widnieje ostrzeżenie przed polexitem, w oczy się rzuca przede wszystkim esej Jacka Woźniakowskiego z pytaniem „czy wolno sobie wyobrazić wielość w jedności na skalę europejską?" i uwagą, że „Europa nieraz już znajdowała się (przynajmniej we własnych oczach) na skraju przepaści. A jednak znad przepaści zawracała".

▪ **W STYCZNIU 2007** na jedynce, którą zdobi pocztówka Andrzeja Dudzińskiego, znajduje się artykuł Janusza Jankowiaka z pytaniem, kiedy Polska pójdzie w ślad wchodzącej właśnie do strefy euro Słowenii. W dniu śmierci ajatollaha Chameneiego lektura tekstu Wojciecha Pięciaka o powieszeniu Saddama Husajna wydaje się cokolwiek niepokojąca. Obok Marcin Król protestuje przeciwko wrzucaniu PRL w „czarną dziurę", a Michał Olszewski zauważa, że żaden minister nie zrobił tyle dla pediatrii, co Jerzy Owsiak. Z „Obrazu tygodnia" wynika, że wybuch skandalu lustracyjnego dotyczącego nowego metropolity warszawskiego Stanisława Wielgusa jest kwestią dni, Lektor recenzuje „Co ja tu robię" Bruce'a Chatwina.


TYGODNIK 3000 POWSZECHNY
Być wiernym miłości
Nie chcą i już

W środku także jubileuszowy dodatek, ze wspomnianym pamiątkowym zdjęciem, pod którym na pytanie, co to znaczy pismo katolickie, odpowiada nieźle się zapowiadający historyk Kościoła, ks. Grzegorz Ryś: „Kluczem do »bycia katolickim« jest odkrycie i odnalezienie się w »powszechności« Jezusa. W przypadku pisma oznacza to wezwanie do pokory i tęsknotę za jednością".

Sprawdzimy za tysiąc numerów, jak nam to wychodzi. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

zlot POWSZECHNY

KIEDY: **Piątek, 29 maja 2026 r., godz. 12.00**
GDZIE: **Muzeum Manggha, Kraków**

ZAPRASZAJĄ WAS:
Ksiądz Adam Boniecki
Piotr Mucharski
Jacek Stawiski

To nie będzie seria wykładów. Będzie to **żywa, otwarta dyskusja** – z przestrzenią na pytania, komentarze i głosy uczestników.

Na zakończenie – specjalnie przygotowany dla czytelników „Tygodnika Powszechnego" **koncert Grzegorza Turnaua**.

Zapraszamy na pierwszy ogólnopolski zjazd czytelniczek, czytelników i sympatyków „Tygodnika Powszechnego" – wydarzenie stworzone z myślą o tych, którzy nie chcą tylko czytać rozmów, ale chcą w nich uczestniczyć.

BĘDĄ Z WAMI m.in.
Eliza Kącka
Prof. Bogdan de Barbaro
Marcin Napiórkowski
Tomasz Stawiszyński

Więcej informacji i bilety:
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

ZAMÓW BILET!

TP. NA ŻYWO

eprasa.pl 0f983c43b1

TEMAT TYGODNIKA

POLEXIT: OSTRZEŻENIE

Nastroje antyunijne rosną w Polsce nie bez powodów. Trzeba je przemyśleć.

KAROLINA WIGURA, JAROSŁAW KUISZ

Gdy Ukraińcy kolejny rok oddają życie za możliwość wejścia do Unii Europejskiej, a najgorętsza wiadomość ostatnich tygodni brzmi, że nad akcesją zaczęli zastanawiać się Islandczycy, wielu Polaków uznało, że czas ze wspólnoty wychodzić. Według sondażu Ibris ze stycznia 2026 r. może ich być nawet jedna czwarta. Podobne liczby odnotowują inne sondażownie, m.in. CBOS, a także niektóre pracownie europejskie.

Ten paradoks powinien coś nam przypominać. W czasie, gdy mieszkańcy Europy Zachodniej wyrażali się o UE sceptycznie, a nawet wtedy, gdy w Zjednoczonym Królestwie wygrała opcja brexit, Polska biła rekordy w poparciu dla Unii Europejskiej. Nawet gdy nad Wisłą rządził eurosceptyczny PiS, trend się nie zmieniał.

Z czym zatem mamy do czynienia? Czy jest tak, że wieloletni członkowie UE, korzystający z dobrodziejstw wspólnoty, paradoksalnie nabywają wobec niej również sceptycyzmu? Czy obserwujemy zjawisko, które socjologowie nazywają habituacją – przyzwyczajeniem, do pewnego stopnia znudzeniem? Czyżby im lepsza była infrastruktura i im więcej pieniędzy wpompowanych w różnorakie systemy służące państwom członkowskim, tym niższy poziom sympatii dla Unii? Irytują opisywane czasem w mediach biurokratyczne absurdy wymyślane w brukselskich urzędach?

Naszym zdaniem powody, dla których rosną nastroje polexitowe, są z grubsza trzy. Każdy wymaga głębszego przemyślenia.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Wojna na wschodzie: przywykliśmy

Pierwszy to paradoks oswojenia się z wojną. Wiąże się to z czasowym oddaleniem od przełomowego momentu, którym było w świadomości zbiorowej (nie tylko Polski, ale również państw regionu) rozpoczęcie pełnoskalowej rosyjskiej napaści na Ukrainę.

Choć konflikt za wschodnią granicą trwa o wiele dłużej, bo od 2014 r., to rok 2022 rzeczywiście miał znaczenie psychologiczne. To właśnie wtedy rejestrowano rekordowe poparcie dla UE – nie tylko w Polsce, ale też w jej sąsiedztwie. To naturalna reakcja emocjonalna, związana z przypomnieniem XX-wiecznych traum. Polegały one na tym, że rosyjski imperializm cyklicznie powracał na ziemie sąsiadów.

Skoro zaś wojna wybuchła tuż obok, wyglądało na to, że trzeba jak najmocniej udowodnić, iż doskonale się zintegrowaliśmy z Unią – tak aby zachodni sojusznicy nie mieli pretekstów do opuszczenia nas w potrzebie. XX-wieczne dramaty bezpośrednich sąsiadów Rosji polegały przecież nie tylko na ataku militarnym ze wschodu, ale również na byciu pozostawionym samym sobie przez zachodnich sojuszników. Wielokrotne wymazanie Polski z mapy zostawiło ślady na tożsamości Polaków i skutkowało zjawiskiem, które nazywamy suwerennością posttraumatyczną.

Nie ma się zatem co dziwić, że zarówno UE, jak i NATO w 2022, 2023 czy 2024 r. notowały rekordy poparcia społecznego. Także w debacie międzynarodowej to właśnie wtedy nagle się okazało, że deklarowana przez Emmanuela Macrona śmierć mózgowa NATO przeszła do historii. Finlandia i Szwecja, które przez stulecia zachowywały neutralność, a przez to od dekad pozostawały poza Sojuszem, nagle zechciały do niego przystąpić.

Dziś jednak wojna za naszą wschodnią granicą, choć bliska i tragiczna, się opatrzyła. Przyzwyczailiśmy się, a wskutek tego i Unia Europejska nie wydaje się tak ważna. To paradoks, biorąc pod uwagę, że obrona Ukrainy przed Rosją jest dziś bardziej finansowana właśnie przez Europę niż kiedykolwiek wcześniej. Według Ukraine Support Tracker Instytutu Kilońskiego europejska pomoc wojskowa wzrosła w 2025 r. o 67 proc., a pomoc finansowa i humanitarna o 59 proc. w porównaniu ze średnią roczną z lat 2022-2024; instytucje UE ponoszą obecnie znaczną część obciążeń finansowych, a niewielka grupa państw dostarcza większość uzbrojenia. Jednak nastroje społeczne nie zawsze są dokładnie zsynchronizowane z politycznymi.

Zwłaszcza że mamy do czynienia jeszcze z dwoma czynnikami.

Partie antyestablishmentowe: Braun łamie tabu

Drugi to rozpowszechnienie się w Polsce szczególnego rodzaju partii antyestablishmentowych.

Nasza scena polityczna, wbrew popularnym, a dość płytkim hasłom na temat jej zabetonowania, regularnie wydaje na świat nowe ugrupowania. Najczęściej opowiadające się przeciwko prostej polaryzacji (w ostatnim 15-leciu: polaryzacji

eprasa.pl 0f983c43b1

między dwiema partiami postsolidarnościowymi, czyli PO i PiS-em) i starające się ustawiać poza nią.

Mieliśmy w tym czasie bardzo różne formacje antyestablishmentowe, np. Nowoczesną Ryszarda Petru, partie Palikota i Kukiza, a wreszcie Polskę 2050 Szymona Hołowni. Bywały wysunięte w lewo lub w prawo, ale co do zasady nie kontestowały liberalno-demokratycznego *status quo*. Obecnie pojawiające się ugrupowania, czyli Konfederacja, a jeszcze bardziej Konfederacja Korony Polskiej, to jednak zupełnie inna historia.

Owszem, partia Sławomira Mentzena mogłaby wchodzić w stare koleiny partii antyestablishmentowej. Jej polityczny wizerunek może wyglądać tak: młodzi, bardzo liberalni ekonomicznie, nacjonalistyczni, a nawet szowinistyczni i nie do końca kupujący tradycyjną liberalną demokrację *à la polonaise*, ale niekoniecznie niezdolni do koalicji z PO.

Konfederacja Korony Polskiej jest bardziej radykalna. Mówimy o partii, która zrywa z obowiązującym w polskiej polityce tabu, dotyczącym tego, że wykluczona jest w niej otwarta promocja przemocy. Ludzie Brauna nie stronią od retoryki antysemickiej, antymigracyjnej, antymuzułmańskiej, anty-LGBT+, a Unię Europejską przedstawiają jako przyczynę polskich nieszczęść – i to właśnie tam można byłoby sytuować ważne źródło istniejących obecnie nastrojów polexitowych. W sieci hula to, co radykalne, algorytmy wspierają skrajności bez kontroli polskich władz.

Na ile tego rodzaju retoryka może wiązać się z aktywną działalnością rosyjskiej dezinformacji? Stawianie tego pytania wydaje się uprawnione np. w kontekście prorosyjskich wypowiedzi Grzegorza Brauna.

Krajobraz po wyborach: Polska w globalnym trendzie

Najpoważniejszym powodem, dla którego Polacy deklarują coraz większą niechęć do UE, jest jednak ten trzeci. Aby zrozumieć, na czym polega, należy cofnąć się do 2025 r., kiedy trwa kampania prezydencka.

Po wyborach parlamentarnych 2023 r. powtarzano, że Polska „po prostu" wraca do świata liberalnej demokracji, rozumianej po dawnemu, czyli jak w 2015 r., przed pierwszą wygraną PiS. Gdyby w 2025 r. prezydentem został Rafał Trzaskowski, możliwe, że tak rzeczywiście by się stało, przynajmniej na jakiś czas.

Wygrana Karola Nawrockiego wiele jednak zmieniła. Szykując się do wyborów głowy państwa, Jarosław Kaczyński postawił na kandydata nie najbardziej pisowskiego, ale najbardziej konfederackiego spośród osób, którymi dysponował. A zarazem reprezentującego kierunek, w którym również i PiS może żeglować – polegający na upodobnieniu się do amerykańskiego ruchu MAGA. Zresztą, gdy przeanalizować kampanię Nawrockiego, zwrócenie się w stronę młodych ↦



eprasa.pl 0f983c43b1

↦ wyborców przez jego sztab oraz sygnały, jakie wysyłał do elektoratu obu Konfederacji – rzeczywiście widać podobieństwa między tym rodzajem polskiej prawicy a otoczeniem Trumpa.

Polska zatem po 2025 r. nie tyle wróciła do świata liberalnej demokracji, co raczej stała się idealnym odzwierciedleniem globalnego trendu politycznych zygzaków i podminowywania obowiązujących dotąd reguł. Głęboki podział na zwolenników liberalnej demokracji i zwolenników odejścia od niej – a przez to na zwolenników Unii Europejskiej i mniej lub bardziej jawnych eurosceptyków – został potwierdzony przydziałem konstytucyjnych funkcji politycznych.

Dwa Zachody: kto pójdzie do piekła

Łatwo było surfować po 1989 r. na liberalnej fali. Od ok. 2015/2016 r. – zwycięstwo PiS w Polsce, referendum w sprawie brexitu, pierwsza administracja Donalda Trumpa – zrobiło się trudniej, a od stycznia 2025 r. obserwujemy w globalnej układance przesunięcie, które nazwaliśmy bifurkacją Zachodu. W tym podziale istnieją zamiast jednego Zachodu – do którego tylu Polaków przez 37 lat wolności dążyło – dwa, z których jeden nazywamy demokratycznym, a drugi niedemokratycznym.

Ten pierwszy jest wciąż reprezentowany przez rządy funkcjonujące w stolicach europejskich: Donalda Tuska w Warszawie, Friedricha Merza w Berlinie, Keira Starmera w Londynie, Emmanuela Macrona w Paryżu, a także w innych mniejszych i większych państwach, np. w Kanadzie, Australii albo po prostu Danii. Są to politycy będący, można rzec, tradycjonalistami liberalnej demokracji. Szanują rządy prawa, preferują podział na trzy rodzaje władzy i poszukują w UE sposobu na ochronę suwerenności państwowej przy jednoczesnej zgodzie na to, że bywa czasem ograniczana ze względu na unijny parasol.

Istnieje też jednak drugi Zachód, niedemokratyczny. Ten drugi od stycznia 2025 r. ma swoją umowną stolicę nie w Brukseli, ale w Waszyngtonie, który jest centrum ideologii MAGA. Jest to Zachód, który swoich sojuszników z UE traktuje jak wrogów, który zamiast doceniać kulturę polityczną Europy po 1945 r. twierdzi, że jest to kultura, która tłumi wolność słowa – oraz że trójpodział władz i konstytucjonalizm są obciążeniami nałożonymi na demokratyczne społeczeństwo przez niedemokratyczne elity. Jest to wreszcie Zachód, który uważa, że UE i NATO są obciążeniem dla ambicji hegemona, przy którym trzeba stanąć.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Zachód pękł ideologicznie. Sojusznik w Waszyngtonie jest niechętny Brukseli. Zbrojenia nie wystarczą: należy jeszcze powiedzieć, który obóz pragniemy współtworzyć.

Tak rozumiany Zachód w ogólności i Donald Trump w szczególności uważają za swoich sojuszników nie wspomniane rządy w Paryżu, w Warszawie i w Berlinie, ale rząd Viktora Orbána w Budapeszcie i Roberta Ficy w Bratysławie, a jeżeli chodzi o Polskę, to nie tzw. mały pałac, gdzie urzęduje Donald Tusk, ale duży pałac z Karolem Nawrockim. A i to bez wielkiego wyróżniania, bo w końcu Marco Rubio nie znalazł ostatnio czasu, by zahaczyć o Warszawę.

Materiału dowodowego dostarcza zarówno wystąpienie J.D. Vance'a w Monachium w 2025 r., jak też różne wypowiedzi Trumpa, np. ta, w której na jednym z międzynarodowych szczytów posunął się do stwierdzenia, że niektórzy europejscy politycy (czytaj: demokraci europejscy) „pójdą do piekła".

Stan natury: czego się boi Europa Środkowa

Z tego punktu widzenia nastroje dotyczące polexitu byłyby funkcją głębiej idącego ideologicznego rozdwojenia, dotyczącego nie tylko polskiej zbiorowej świadomości i wyobrażenia bezpieczeństwa, ale także dwóch Zachodów w ogóle.

Jeśli Zachód, który orientuje się na Waszyngton, uważa UE za obciążenie, i jeżeli zbiega się to z argumentacją prowadzoną do tej pory przez otoczenie Jarosława Kaczyńskiego i obie Konfederacje, to nacisk z USA – realny i algorytmowy – będzie nastroje polexitowe pogłębiał.

Niektórzy zaprotestują przeciwko takiej interpretacji: stwierdzą, że kraje rządzone przez populistów nie są krajami zachodnimi. W takim myśleniu jednak zbyt wiele jest sprzeczności. Po pierwsze, trudno byłoby na poważnie twierdzić, że USA nie są krajem zachodnim. Po drugie, istnienie niedemokratycznego Zachodu jest wpisane w nowoczesną historię polityki międzynarodowej. Państwa takie jak wilhelmińskie Prusy, nazistowska Rzesza, Włochy Mussoliniego, a także różne reżimy niedemokratyczne w Grecji i Hiszpanii już po 1945 r. – to wszystko przykłady niedemokratycznego Zachodu.

I dla Polski, i dla innych krajów regionu kwestia tego podziału była i jest fundamentalna. Z doświadczenia historycznego ostatnich stu lat wynika, że za każdym razem, kiedy Zachód rozpadał się na demokratyczny i niedemokratyczny, dla Polski i jej sąsiadów, czyli dla bezpośrednich sąsiadów zarówno Rosji, jak i Niemiec, nie kończyło się to dobrze. Stąd nasz szczególny, naznaczony traumą stosunek do suwerenności, ponieważ utrata państwowości zazwyczaj oznaczała tu również rozpętanie swoistego piekła na ziemi, albo jak nazwałby to XVII-wieczny myśliciel czasów chaosu Tomasz Hobbes – stanu natury, w którym życie ludzkie staje się, jak pisał, „samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie".

Zakład Pascala: jak budować polską politykę bezpieczeństwa

W przeddzień 37. rocznicy upadku komunizmu w Polsce stoimy więc przed zasadniczym wyborem. Nie wystarczą już zbrojenia na wypadek rozszerzenia się wojny w Ukrainie. Należy jeszcze powiedzieć, który obóz pragniemy współtworzyć.

eprasa.pl 0f983c43b1

Przed rokiem 2025 wybór był dosyć prosty. Albo mogliśmy iść z Zachodem, wtedy raczej spójnym i jednorodnym, oznaczającym UE i NATO, albo iść drogą na wschód, czyli postawić na podporządkowanie wobec Moskwy, którą to drogę wybrała spośród naszych sąsiadów Białoruś i z którą od lat flirtują Węgry i Słowacja.

Polska polityka bezpieczeństwa, mimo polaryzacji sceny politycznej, była w odpowiedzi na tę alternatywę raczej stabilna. Kierunkiem był konsekwentnie Zachód. Gdy chodzi o Wschód, myślenie o nim kształtowała doktryna ULB Juliusza Mieroszewskiego i Jerzego Giedroycia, uzależniająca niepodległość i demokrację w Polsce od zapewnienia niepodległości i demokracji w Ukrainie, Litwi i Białorusi.

Dziś jednak nie jest to już takie proste, skoro Zachód pękł ideologicznie. Nie wiadomo, na ile wciąż funkcjonuje NATO i czy nas obroni, przy tym raczej wiadomo, że UE nie jest w stanie w pełni nas obronić, a już na pewno tak nie będzie, jeśli pozwolimy rozegrać się z zewnątrz.

Obecny polski podział pomiędzy mały pałac Donalda Tuska i duży pałac Karola Nawrockiego mógłby sprzyjać naszemu bezpieczeństwu. Owszem, chodzi o jakiś rodzaj konformizmu, na kształt przetworzonego zakładu Pascala: nie tylko próbujemy uważać, że demokratyczny Zachód będzie trwały i ma rację, ale także próbujemy wierzyć, że niedemokratyczny Zachód... będzie trwały i ma rację. Jedni zatem patrzą na Waszyngton i są gotowi wychodzić z UE, drudzy pragną jej wzmocnienia. W obu przypadkach staramy się przekonać sojuszników, że warto budować systemy wczesnego odstraszania, np. za pieniądze z takich programów jak SAFE.

Piekło polaryzacji: racja stanu cierpi

Czy tego rodzaju polityczny konformizm wystarczy? Już teraz widać wiele zagrożeń związanych z tą postawą. Wiecznie skłócona polska scena polityczna jawi się ↦

Skąd się wziął brexit? Przestroga z Wysp

JACEK STAWISKI

CZĘŚCIĄ EUROPEJSKIEJ WSPÓLNOTY GOSPODARCZEJ (późniejszej UE) Wielka Brytania była od 1973 r. Wcześniej trzymała się od EWG z dala, a na dodatek Francja, tradycyjny rywal, długi czas nie życzyła sobie obecności Londynu przy wspólnym stole. W latach 80. charyzmatyczna premier Margaret Thatcher dostrzegła szansę, by w ramach EWG jej kraj uzyskał status specjalny. Wielka Brytania zachowała własną walutę i jako wyspa (wspólnie z Irlandią) nie weszła do strefy Schengen.

OD LAT 90. na Wyspach rozkręcała się zimna wojna domowa. Większość nastawionych „patriotycznie" mediów obrała sobie Unię za cel: wskazywała wyłącznie na jej wady, najczęściej wyolbrzymiając ich faktyczny rozmiar. Coraz więcej polityków dostrzegło szansę zbudowania popularności na antyunijnej propagandzie. Kiedy pojawił się przemawiający językiem zwykłego człowieka lider tego ruchu – Nigel Farage – inni, np. Boris Johnson, wskoczyli do brexitowego pociągu. Johnson zresztą, jako korespondent z Brukseli, był autorem wielu dezinformacyjnych artykułów o problemach UE. W 2004 r. premier Tony Blair zdecydował o otwarciu rynku pracy dla obywateli nowych państw członkowskich. Brytyjczycy, początkowo z sympatią patrzący na setki tysięcy Polaków czy Słowaków, z czasem zaczęli narzekać na masową imigrację. Niektóre popularne gazety, jak „Daily Mail", stały się wręcz polakożercze. Społeczeństwo i politycy dzielili się coraz bardziej.

W 2013 r. premier David Cameron zapowiedział, że czas przynajmniej na jedno pokolenie zakończyć wojnę domową i zapowiedział referendum o obecności w UE. Sam rekomendował pozostanie w Unii.

O BREXICIE PRZESĄDZIŁO kilka czynników: niechęć do „wschodnich Europejczyków", których nazywano powszechnie „Polakami", obawy przed masową imigracją w ogóle, poczucie znużenia klasą polityczną i odruch buntu przeciwko zastanemu porządkowi. Ważnym czynnikiem było zejście się dwóch emocji, w realnym świecie kompletnie do siebie niepasujących, ale w głosowaniu zero-jedynkowym liczył się wspólny sprzeciw. Wielu wyborców ze środowisk robotniczych oskarżało Unię, że to ona jest powodem zamykania fabryk czy kopalń, co doprowadziło do biedy i wykluczenia regionów, gdzie niegdyś kwitło życie. W zapomnienie poszła historia, że to rządy niechętnej EWG premier Thatcher forsowały likwidację ciężkiego przemysłu.

Drugą emocją było przywiązanie do anglosaskiego kapitalizmu, nieskrępowanego regulacjami kontynentalnymi. Obie silnie zabarwiono retoryką „patriotyczną" oraz hasłami o niemożliwych do pogodzenia sprzecznościach z polityką Francji i Niemiec. Chwytliwe hasło „Odzyskać kontrolę" (w domyśle: nad granicami, finansami, gospodarką, prawem) przypieczętowało brexit. Obóz antyunijny powoływał się na strategiczne relacje z USA, ważniejsze od związków z Europą. Kampania na rzecz wyjścia z UE była wspierana w internecie przez Kreml.

PUENTĄ CAŁEGO PROCESU były miny zwolenników wyjścia z UE 24 czerwca 2016 r., kiedy ogłoszono rezultaty referendum. Johnson i jego otoczenie wyglądali na zszokowanych. Budowali reputację na brexicie, którego nie chcieli, albo w który nie wierzyli. Cieszył się tylko Farage, utrzymujący zresztą popularność do dziś dzięki twierdzeniom, że warunki brexitu były złe i trzeba jeszcze bardziej odsunąć się od Europy. ©℗

eprasa.pl 0f983c43b1

naszym partnerom jako niezrozumiała lub służy jako powód do lekceważenia nas. Polska komunikacja jest słaba: nie brakuje mocnych gestów, ale często nie towarzyszą im wystarczająco zrozumiałe słowa. Efekty nie dają na siebie zbyt długo czekać.

Np. nasz najbliższy zachodni sąsiad – który coraz lepiej rozumie, że skoro Europa nie może już opierać swojego bezpieczeństwa na relacjach z Waszyngtonem, to trzeba jak najszybciej się zbroić i dominować nad innymi swoimi kompetencjami militarnymi – polską polaryzację traktuje jako wygodny pretekst dla konsekwentnego przejmowania roli pośrednika w relacjach międzynarodowych.

Ale nie tylko Niemcy tak postępują. Niedawno mieliśmy do czynienia z istotnym spotkaniem u Donalda Trumpa, gdzie zamiast największego kraju NATO-wskiego w Europie Wschodniej, czyli Polski, pojawiła się nagle Finlandia. A to dlatego, że w Polsce walczono o to, kogo należy wybrać, by reprezentował nasze państwo. Ewidentne deficyty kompetencji niektórych naszych polityków przeszkadzają im w zobaczeniu, że relacje międzynarodowe nie służą do indyczenia się, ale do realizacji polskiej racji stanu.

Otwarta debata: nic nie jest przesądzone

Czy można zapobiec powiększaniu się grupy polskich eurosceptyków, a tych, którzy opowiadają się za polexitem, nakłonić do zmiany zdania? Odpowiedź brzmi: oczywiście.

> Polexit jest już trwałym tematem naszej debaty publicznej. Ważne, by rozmawiać o nim otwarcie, nie unikając kontrowersji, bo na tej strategii pasą się tylko radykałowie.

Trudno jednak założyć, że łatwo będzie przekonywać tych, którzy wiadomości o świecie czerpią z niesprawdzonych źródeł w mediach społecznościowych. Przy możliwościach AI dawna afera Cambridge Analytica, która w wielkiej mierze stała za sukcesem brexitu, wydaje się archaiczna. Dziś fejkowe konta i fejkowe filmy rozpowszechniane są bez wysiłku w setkach milionów wyświetleń.

Mamy też jednak inne opowieści. Filmy dotyczące polskiego sukcesu ekonomicznego. Rolki prezentujące lśniące czystością polskie ulice i dworce. Może warto od czasu do czasu przypomnieć, z jakich pieniędzy była i jest remontowana ta infrastruktura.

Warto też pamiętać o tym, by znów budować instytucje oddolne, realnie wspierające edukację i aktywność obywatelską: NGO'sy, samorządy itd. To działanie wspólnotowe w rzeczywistości.

Musimy oczywiście przywyknąć do tego, że rzeczywistość nie wróci do stanu poprzedniego. Tak jak antyestablishmentowe partie stały się nieodłączną częścią naszego krajobrazu politycznego, tak i polexit jest już trwałym tematem naszej debaty publicznej. Ważne, by rozmawiać o nim otwarcie, nie unikając kontrowersji, bo na tej ostatniej strategii pasą się tylko radykałowie.

Gra toczy się o dużą stawkę. W obliczu polskich podziałów nie jest wykluczone, że zwolenników polexitu będzie przybywać, a w związku z tym w ciągu dekady dojdzie do referendum w sprawie obecności Polski w UE. Gdyby skończyło się ono jak brytyjskie, konstrukcja naszego bezpieczeństwa rozsypałaby się jak domek z kart.

© KAROLINA WIGURA, JAROSŁAW KUISZ

Karolina Wigura jest socjolożką i historyczką idei, autorką wielu książek, ostatnio opublikowała „Endo".

Jarosław Kuisz jest historykiem państwa i prawa, redaktorem naczelnym „Kultury Liberalnej". Opublikował m.in. „Koniec pokoleń podległości. Młodzi Polacy, liberalizm i przyszłość państwa" oraz „The New Politics of Poland: A Case of Post-traumatic Sovereignty".

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 0f983c43b1

REKLAMA

Nowy Teatr Nowy

SLAM

MONOLOGÓW TEATRALNYCH



21 marca 20:00, Foyer Dużej Sceny.
Bilet za 1 zł

Zadanie współfinansowane ze środków Miasta Łodzi

UNIWERSYTET ŁÓDZKI

Patron medialny: radio ŁÓDŹ

eprasa.pl 0f983c43b1

KRAJ

POPRAWNOŚĆ BEZ LITOŚCI

Outowanie polityków z rzekomych chorób, pseudoteorie o depresji, używanie psychiatrycznych pojęć jako pałek. Tabu chorób psychicznych przestało być naszym głównym problemem. Stała się nim pielęgnowana publicznie bezmyślność i nieczułość.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To nie będzie tekst o chorobie Szymona Hołowni. Ani artykuł krytykujący Jacka Nizinkiewicza z „Rzeczpospolitej" za to, że ujawnił rzekomą depresję byłego marszałka Sejmu – choć uważam, że zrobił rzecz niedopuszczalną na równi z ujawnieniem ponad miesiąc temu przez „Gazetę Wyborczą" nazw leków branych jakoby przez Sławomira Cenckiewicza. Każdy człowiek – miejmy tę najbanalniejszą z uwag za sobą – a w każdym razie każdy, kto nie odpowiada bezpośrednio za bezpieczeństwo państwa, ma prawo sam decydować o tym, co i kiedy opowie publicznie na temat własnego stanu zdrowia.

To nie będzie artykuł o politykach, ich chorobach oraz – zapewne do jakiegoś stopnia ograniczonym – prawie do prywatności w tej grupie zawodowej (na pytanie, czy gdyby Szymon Hołownia nadal był marszałkiem Sejmu, a więc drugą osobą w polskim państwie, mielibyśmy prawo dociekać, na co choruje, nie ma jednoznacznej odpowiedzi, podobnie jak ciężko wyrokować, które schorzenia – fizyczne i psychiczne – mogą potencjalnie zaburzać pracę urzędnika). Choć trudno nie zauważyć, że właśnie zawód polityka, słusznie kojarzony z wymogiem posiadania tzw. grubej skóry, wiąże się z obciążeniami nieobecnymi na taką skalę gdzie indziej: presją wyborczego wyniku, mediów, ale też własnego politycznego środowiska, które zmusza do ślepego posłuszeństwa i wyrzekania się poglądów – np. w głosowaniach.

To będzie rozważanie o tym, co się stało z naszą opowieścią o kryzysach psychicznych w czasach, gdy kryzysy te zostały szczęśliwie – przynajmniej w niektórych obszarach, o czym później – odarte z tabu, zaś depresyjny *coming out* celebryty stał się niemal codziennością.

I o tym, dlaczego chcąc tą opowieścią pomagać, przy okazji na potęgę szkodzimy. I ranimy.

Nie jesteś przegrywem

Zanim „Rzeczpospolita", która na szczęście zdążyła już przeprosić Hołownię, postanowiła „wyoutować" byłego marszałka Sejmu z jego rzekomej depresji (rzekomej, bo sam zainteresowany zaprzeczył, by na nią obecnie cierpiał), co najmniej dwóch polityków powiedziało publicznie o swoich autentycznych psychicznych kryzysach. Pierwszym był Jerzy Federowicz, aktor i senator, który na portalu TVN24.pl opowiedział kilka lat temu o dwóch depresyjnych epizodach, w tym o braku chęci do życia po śmierci ukochanej żony.

Drugim był Jarosław Gowin, który także ujawnił, że cierpiał na zaburzenia nastroju i znalazł się w związku z tym w szpitalu. Zanim jednak sam były wicepremier o tym opowiedział, media wystawiły jego zdrowie na publiczny widok w sposób podobny do niedawnej publikacji „Rzeczpospolitej": o depresji Gowina informował „Newsweek", a sensacyjną – poddaną później frontalnej krytyce – okładkę na ten temat przygotował prawicowy tygodnik „Sieci".

W międzyczasie dziesiątki innych znanych osób – dziennikarzy, sportowców, aktorów – dokonało podobnych coming outów, z których ostatni stanowiły przejmujące wywiady udzielone przez Tomasza Sekielskiego, powracającego szczęśliwie do zdrowia po długim okresie choroby. Żeby przekonać się, jaka społeczna korzyść stoi za podobnymi opowieściami, warto zajrzeć za kulisy pracy psychoterapeutów i psychiatrów.

– Takie medialne występy wpływają bezpośrednio na ludzi – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Dominika Dudek, psychiatra z Krakowa. – Nie raz słyszałam od pacjenta w gabinecie, że jest to dla niego lub dla niej wyzwalające. Sama zresztą jako lekarz używam czasami tych historii w rozmowach z pacjentami. Robię to, bo wiem, jak często osoby cierpiące na depresję mają poczucie winy z samego faktu, że chorują. I jak często miewają zaniżone poczucie własnej wartości. „Choruję, bo jestem do niczego", „niczego w życiu nie osiągnąłem" – mówią, ale historie osób znanych i też chorujących ów obraz zaburzają. Pokazują, że depresja nie wybiera, dotykając równie często tzw. ludzi sukcesu. A skoro tak, to może nic ze mną nie jest „nie halo"? Może nie jestem, jak często o sobie myślę, „ostatnim przegrywem"?

Prof. Dudek dodaje, że publiczne – dokonane rzecz jasna z własnej woli cierpiącego – depresyjne coming outy są wciąż potrzebne, bo nie wszędzie wiedza o tej chorobie weszła pod strzechy. – Psychia-

eprasa.pl 0f983c43b1



MATERIAŁY PRASOWE WALLART

tria nie jest już tak stygmatyzowana jak kiedyś, ale dla niektórych pieczątka od tego specjalisty bywa nadal czymś trudnym do zaakceptowania – opowiada krakowska lekarka. – Nie tak dawno miałam pacjentkę po ciężkim epizodzie depresji, której chciałam wypisać dłuższe zwolnienie lekarskie. Błagała, bym nie dawała jej tego dokumentu, tylko przekazała kartkę dla lekarza pierwszego kontaktu, który wystawi L4. Dzięki temu nikt w jej miejscu pracy w malutkiej miejscowości nie dowie się, na co cierpi.

Poświęcone depresji występy ludzi znanych mogą też rzecz jasna narobić – mówiąc delikatnie – informacyjnego bałaganu. Kilka lat temu w ramach głośnej kampanii społecznej mającej pomagać cierpiącym na zaburzenia nastroju pojawiła się w „Dzień Dobry TVN" – dziś już nieżyjąca – aktorka Bożena Dykiel. I ku osłupieniu prowadzących oświadczyła, że depresja to efekt niedoboru litu, sama zaś swoje dobre samopoczucie zawdzięcza „cudownym okularom", których zresztą nie omieszkała założyć na wizji (szybko z niej zniknęła po tym, jak prowadzące przerwały rozmowę).

Mimo wszystko jednak ostatnie ok. dwie dekady to w Polsce wysyp wyznań i coming outów, których bilans w szerzeniu w Polsce świadomości o depresji jest jednoznacznie dodatni. Choć ta opowieść ma też swoje luki, a nawet cienie i upiory, rzadziej w tym bilansie dostrzegane.

Tabu schizofrenii

Jeśli szukać luk, pierwszą będzie fakt, że opowieść o kryzysie psychicznym jako części życia nie trafia do wszystkich. Jej egalitaryzm, mimo pojawiania się na kanapach telewizji śniadaniowych, jest tak samo pozorny jak powszechność psychiatrycznej czy terapeutycznej pomocy. Tak jak tylko część z nas stać, by wydać 800 czy nawet 1000 zł miesięcznie na psychoterapię, albo 300-400 zł za kwadrans wizyty u psychiatry – tak tylko niektórzy wertują poradnikowe magazyny o psychologii, a nawet natrafiają na wyznania gwiazd w TV. ↦

Mural „Twarze depresji" autorstwa Wojciecha Brewki na Ursynowie w Warszawie namalowany wspólnie z firmą Wallart, wrzesień 2024 r.

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ Dbałość o dobrostan psychiczny, o który chwalebnie upominają się znani i kiedyś chorujący, jest w Polsce nadal dobrem luksusowym. I w wymiarze realnej pomocy, i w sensie szerzenia o niej świadomości. Jednym ze śladów tej prawdy są m.in. dane z opublikowanego niedawno raportu Instytutu Psychologii PAN „Pomoc psychologiczna z perspektywy Polek i Polaków": 38 proc. Polaków boi się, że fakt skorzystania z pomocy znajdzie się w ich medycznej dokumentacji, a 35 proc. drży, że będą postrzegani jako „wariaci".

Luka kolejna to brak w przestrzeni medialnej kojących opowieści dotyczących innych niż depresja poważnych chorób psychicznych – głównie schizofrenii. Medialne wysycenie wyznaniami osób cierpiących na zaburzenia nastroju sprawiło, że schorzenie to faktycznie zostało w wielu kręgach oswojone i odarte z tabu. Podobny proces w przypadku schizofrenii, psychoz – czyli ogólnie: zaburzeń postrzegania rzeczywistości – mamy dopiero przed sobą.

Zwłaszcza że i w medialnych newsach, i w tekstach kultury osoba ze schizofrenią to nadal zwykle ktoś niebezpieczny. – Jak idzie jakiś głupawy serial, i pojawia się osoba z tym schorzeniem, to wiem, że zaraz albo będzie chciała kogoś zabić, albo zgwałcić, albo przynajmniej ukraść komuś dziecko – komentuje Dominika Dudek. – Tymczasem osoby cierpiące na tę chorobę nie popełniają częściej przestępstw niż te zdrowe. Przeciwnie: często popadają w apatię, abulię, nie mają motywacji do robienia czegokolwiek. Oczywiście, raz na jakiś czas zdarzy się, że nieleczony chory w psychozie ma straszne myśli i zrobi jakąś straszną rzecz, ale w tym samym czasie setki zdrowych robią podobne straszne rzeczy.

Prof. Dudek dodaje, że przez ponad trzy dekady lekarskiej praktyki ani razu nie czuła się zagrożona w kontakcie z pacjentem. – Owszem, na szpitalny oddział przyjmujemy osoby pobudzone, w ostrej psychozie, zdarza nam się stosować przymus bezpośredni, ale nigdy nie poczułam, że grozi mi niebezpieczeństwo – opowiada lekarka. – A równocześnie zdarza mi się oglądać filmy, w których to zagrożenie jest nieustanne. Choć nie zawsze: raz trochę bezmyślnie, robiąc coś innego, oglądałam serial, w którym wystąpiła postać młodego człowieka cierpiącego właśnie na schizofrenię. Z przesłaniem, że koledzy w szkole wcale nie muszą się go bać, bo po podjęciu przezeń leczenia wszyscy zobaczyli, jakim jest zdolnym i dobrym nastolatkiem. Takie obrazy mogą zdziałać wiele dobrego.

PROF. DOMINKA DUDEK, PSYCHIATRA:

Jak w serialu pojawia się ktoś ze schizofrenią, to wiem, że zaraz będzie chciał kogoś zabić albo zgwałcić. Mimo że takie osoby nie popełniają częściej przestępstw niż zdrowe.

Tabu schizofrenii i strach przed tym schorzeniem nie pozostają bez wpływu na nasz język. – Nieprzypadkowo mówimy w negatywnym kontekście, że coś jest „kompletną paranoją" albo „sytuacją schizofreniczną", a nie wyzywamy nikogo od „melancholików" czy „cukrzyków" – zauważa prof. Dudek. – Bohaterką potocznego języka została też mania, i to w wypaczającym to pojęcie znaczeniu. Często mówimy np. o „manii wielkości", podczas gdy prawdziwa mania jest jednym z poważnych objawów choroby afektywnej dwubiegunowej.

Te psychiatryczne, czynione często w medialnych materiałach wtręty też nie pozostają bez wpływu na ludzi: bywa, że tak samo jak kojące opowieści, wędrują razem z pacjentami do gabinetów terapeutycznych i psychiatrycznych. – Powodują cierpienie i pacjentów, i ich rodzin, sprawiając, że wiele osób wstydzi się choroby, boi się diagnozy, zwleka z pójściem do specjalisty – nie ma wątpliwości Dominika Dudek.

Szukanie kanalii

Osobnym paradoksem medialnej sfery jest to, jak bardzo w dobie szerzenia psychologicznej wiedzy staliśmy się dla siebie bezwzględni i nieczuli. Jak często właśnie psychiatryczne zbitki stają się słownymi pałkami lądującymi na karkach naszych adwersarzy. I jak język poprawności – także wobec psychicznych kryzysów – nie chroni nas przed nieczułością i zwykłą głupotą. A może jest gorzej? Może kultura terapii, którą napędza pop-psychologia z Instagrama i innych mediów społecznościowych, czyni nas nieczułymi na prawdziwe cierpienie?

To anegdota sprzed epoki poprawności – znana zapewne dobrze tylko starszym czytelnikom „Tygodnika". Oto po zgłoszeniu do druku kolejnego krwawego felietonu Jerzy Pilch słyszy niepozbawiony satysfakcji komentarz ówczesnego naczelnego, Jerzego Turowicza: „Będzie samobójstwo". Dzisiaj taka anegdota mogłaby nie wyjść na światło dziennie, a gdyby jakimś cudem tak się stało, autor *bon motu* mógłby się spotkać z ostracyzmem. Ale to właśnie dzisiaj przestaliśmy się niemal liczyć z uczuciami kogoś, kto przeczyta albo obejrzy naszą wypowiedź – w czym pomaga nam wydatnie polityczna polaryzacja i szaleńcza pogoń za klikalnością. Staliśmy się bezwzględni, i to nie bezwzględnością ujętego w karby konwencji (wymarłego już niemal) pamfletu, ale tą jak najbardziej dosłowną.

Widać to było nawet w wypowiedziach będących przecież po dobrej stronie mocy krytyków „Rzeczpospolitej" po tym, co gazeta zrobiła Szymonowi Hołowni. Jeden z publicystów, oglądany przez setki tysięcy ludzi, pytał z zawziętością: „Jaką trzeba być kanalią, żeby coś takiego zrobić?!", nawet nie biorąc pod uwagę innych niż „bycie kanalią" hipotetycznych przyczyn fatalnej wpadki (bezmyślności? braku wystarczającej liczby par oczu, które mogłyby przeczytać artykuł i zaproponować w nim zmiany?).

To pielęgnowane publicznie okrucieństwo nie jest rzecz jasna ani cechą wyłączną jednego publicysty, ani domeną nastawionych na zysk mediów, ani nie ma barw polityczno-partyjnych. To nasza medialna, chroniczna już nieczułość, której ślady pewnie większość z nas odnalazłaby w archiwach własnych czasopism, portali czy stacji radiowych bądź telewizyjnych, a może nawet w osobistym dziennikarskim portfolio.

– Przestaliśmy się publicznie liczyć z tym, czy kogoś zranimy – zgadza się z tą diagnozą prof. Dominika Dudek. – Choć i tak zrobiliśmy moralny postęp, bo kilka wieków temu rozrywką było oglądanie publicznych egzekucji i tortur, a osoby w psychicznym kryzysie były wystawiane na rynku w klatkach na pośmiewisko.

W dobie językowej poprawności i odmienianego przez przypadki „dobrostanu psychicznego" marne to pocieszenie.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

eprasa.pl 0f983c43b1



ANDRZEJ ZBRANIECKI / EAST NEWS

Pozostałość Puszczy Łódzkiej w Rezerwacie Przyrody Wiączyń. Maj 2025 r.

Czy drzewa muszą zarabiać

MARCIN KĘDZIERSKI

PRZYRODA | W Lasach Państwowych ekonomia wygrała z ekologią. Zrównoważona gospodarka zasobami to tylko mit. Co zostawimy swoim dzieciom i wnukom?

W Polsce coraz poważniej dyskutuje się o edukacji, ochronie zdrowia, bezpieczeństwie czy dostępie do zbiorowej komunikacji. Jednak działania państwa w zakresie dóbr publicznych nie mogą ograniczać się do dostarczania usług edukacyjnych, pomocy w chorobie czy transportu do pracy. Jego zadaniem jest również kontrolowanie naturalnych zasobów i rozsądne pozyskiwanie dochodów z tytułu ich „sprzedaży".

Takimi zasobami są woda, powietrze (zarówno w wymiarze jego „przydatności" do oddychania, jak też przestrzeni rozchodzenia się fal radiowych i telekomunikacyjnych), ziemia (znów – i w sensie powierzchni, i w sensie złóż w niej ukrytych), flora oraz fauna. Jeśli chcemy zapewnić, by zarówno obecni, jak i przyszli obywatele mieli do nich dostęp, państwo musi zadbać o zrównoważoną konsumpcję tych zasobów. Tym bardziej że część z nich jest trudna do odtworzenia.

Globalnie pojawia się coraz więcej przykładów polityki mającej na celu szeroko rozumianą rewitalizację przestrzeni i natury; tak jest choćby w południowokoreańskim Seulu, gdzie po dekadach w miejscu dróg odtwarza się płynące tamtędy wcześniej rzeki. W Polsce jawi się to wciąż jako coś niemożliwego.

Sprzężenia zwrotne

Przypadek Seulu jest znaczący również z innego powodu – poszczególne zasoby lubią wchodzić ze sobą w „interakcje". Jakość powietrza może zależeć od powierzchni lasów, liczebność roślin i zwierząt od dostępności wody, jakość wody od żyjących w niej organizmów etc. Jeśli wzięlibyśmy wspomnianych pięć zasobów, moglibyśmy wyrysować kilkadziesiąt różnych interakcji i sprzężeń zwrotnych.

Polityka państwa wobec tych wspólnych bogactw niejako z definicji musi mieć charakter holistyczny. Nadmierna koncentracja na ochronie czy odtwarzaniu jednego zasobu może bowiem negatywnie wpływać na inne. Dla przykładu, utrzymywanie mocno zagęszczonych lasów, intensywnie produkujących drewno, może doprowadzić do zmniejszenia odpływu wody z leśnych zlewni.

Z drugiej strony, nadmierna wycinka kończy się erozją gleby i zmniejszeniem możliwości pochłaniania wody, czego dowodem jest ostatnia powódź w dorzeczu Odry z września 2024 r. Choć usunięcie drzew z masywu Śnieżnika samo z siebie nie wywołało kataklizmu, to jednak mogło przyczynić się do podniesienia fali kulminacyjnej o kilkanaście procent oraz do skrócenia czasu, w jakim woda dotarła do miejscowości w Kotlinie Kłodzkiej. A to miało już przełożenie zarówno na skalę zniszczeń, jak i proces ewakuacji ludności.

Musimy zadać fundamentalne pytanie: czy polskie państwo prowadzi spójną, kompleksową politykę wobec wspólnych zasobów? Odpowiedź raczej nie zaskakuje. Mamy kilkanaście różnego rodzaju instytucji – część ma charakter publiczny, inne są stowarzyszeniami; część działa na podstawie odrębnej ustawy lub podlega rządowi, a inne nie.

Główny Inspektorat Ochrony Środowiska, Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska, Państwowa Inspekcja Weterynaryjna, Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa, Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe, Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie, Polski Związek Łowiecki, Polski Związek Wędkarski, Krajowy Zasób Nieruchomości, Główny Urząd Geodezji i Kartografii, Główna Komisja Urbanistyczno-Architektoniczna, Urząd Komunikacji Elektronicznej, wreszcie jednostki samorządu terytorialnego w postaci przede wszystkim gmin.

Instytucji mamy wiele, ale trudno doszukać się koordynacji ich działań. ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ Nawet te formalnie podległe Ministerstwu Klimatu i Środowiska niekoniecznie grają do jednej bramki, nie mówiąc już o tych podmiotach, które podlegają innym resortom lub które cieszą się autonomią.

Kompleksowa analiza kompetencji ich wszystkich wykracza nie tylko poza ramy niniejszego tekstu, ale może i solidnej habilitacji. Dlatego chciałbym skupić się na jednej, wyjątkowej instytucji, której działania (i ich skutki) obejmują praktycznie wszystkie rodzaje zasobów i dobrze pokazują, w jaki sposób państwo nimi zarządza.

Mowa tu o Lasach Państwowych (LP).

Dodatkowym powodem, dla którego warto przyjrzeć się im bliżej, są trwające obecnie w resorcie środowiska prace nad nowym „Narodowym Programem Leśnym" (*nota bene* rozpoczęły się one w 2012 r. i zostały przerwane po dojściu PiS do władzy).

Lasy jak firma

Państwowe Gospodarstwo Leśne „Lasy Państwowe" działa na podstawie ustawy z 28 sierpnia 1991 r., która w artykule 4. definiuje ich zadanie w następujący sposób: „prowadzą gospodarkę leśną, gospodarują gruntami i innymi nieruchomościami oraz ruchomościami związanymi z gospodarką leśną, a także prowadzą ewidencję majątku Skarbu Państwa oraz ustalają jego wartość".

Czym jest owa gospodarka leśna? Artykuł 6. ustawy opisuje ją jako działalność w zakresie „urządzania, ochrony i zagospodarowania lasu; utrzymania i powiększania zasobów i upraw leśnych; gospodarowania zwierzyną; pozyskiwania – z wyjątkiem skupu – drewna, żywicy, choinek, karpiny, kory, igliwia, zwierzyny oraz płodów runa leśnego, a także sprzedaży tych produktów oraz realizacji pozaprodukcyjnych funkcji lasu". Definicja zdaje się jasno wskazywać, że podstawowa logika działania Lasów Państwowych ma charakter *stricte* ekonomiczny.

Prowadząc wywiady na potrzeby niniejszego tekstu, szybko słyszałem jedno zdanie: „Lasy muszą się utrzymać". W domyśle – utrzymać się muszą leśnicy, których w Polsce jest ok. 26 tys. (warto dodać, że w przeliczeniu na powierzchnię lasów mamy dwukrotnie więcej leśników niż średnia unijna). To grupa może niezbyt liczna, ale wpływowa, zważywszy na znaczenie gospodarki leśnej w niektórych regionach kraju.

Filozofia myślenia leśników do tego stopnia kręci się wokół kwestii pozyskiwania i sprzedaży drewna, **że dzika zwierzyna postrzegana jest często tylko jako zagrożenie i koszt.**

Wystarczy powiedzieć, że w 2024 r. przychody z tytułu sprzedaży drewna wyniosły ponad 11 mld zł. W całym sektorze leśno-drzewnym, związanym z wyrębem, sprzedażą i obróbką, zatrudnionych jest kilkaset tysięcy osób. Dla nich możliwość korzystania z dobrodziejstw lasu to kwestia życia i śmierci.

Ta konstatacja ma bardzo praktyczne konsekwencje. Zwłaszcza jeśli dodamy, że w przeciwieństwie do instytucji odpowiadających za lasy w innych państwach europejskich (które od lat dywersyfikują swoje dochody, choćby poprzez wprowadzanie opłat za korzystanie z dróg czy parkingów leśnych albo dzierżawę powierzchni pod instalacje wiatrowe), Lasy Państwowe czerpią pieniądze niemal wyłącznie ze sprzedaży drewna.

W efekcie filozofia myślenia i działania leśników kręci się wokół niego do tego stopnia, że dzika zwierzyna postrzegana jest często jako zagrożenie i koszt.

Czy dzik lub wilk jest zły

Jeśli wierzyć szacunkom, roczne koszty grodzenia młodników oscylują wokół 200 mln zł. Do tego dochodzą konflikty oraz splątanie interesów leśników i myśliwych (ich grupa stanowi nie więcej niż 30 proc. pracowników LP). Pierwsi z sympatią patrzą na rosnącą populację wilka, która przekłada się na zmniejszenie liczebności innych zwierząt niszczących młode drzewa. Z kolei myśliwi w sporej części nie są z tego zadowoleni i oczekują zniesienia ochrony wilka.

Znalezienie „złotego" rozwiązania w sprawie odstrzału wilków nie jest proste. Podobnie zresztą jak w przypadku odstrzału dzika. Dla leśników dzik jest raczej sprzymierzeńcem, bo ryjąc glebę w lesie, zjada mnóstwo larw owadów, które żywią się igłami czy liśćmi drzew. W tej sytuacji nalegający na odstrzał myśliwi sięgnęli po niezawodny argument w postaci tzw. odstrzału sanitarnego; wystarczyło tylko przekonać decydentów, że to dziki roznoszą afrykański pomór świń. W efekcie od 2020 r. odstrzelono ponad milion dzików (niektóre szacunki mówią nawet o 1,5 mln sztuk), zmniejszając populację tego gatunku o ponad 50 proc. Co ciekawe, ASF stwierdzono u mniej niż... 1 proc. zastrzelonych zwierząt.

Gwoli sprawiedliwości warto jednak dodać, że argument sanitarny pojawia się też w repertuarze samych Lasów Państwowych, który doskonale sprawdza się w przypadku uzasadnienia masowej wycinki drzew. Wystarczy wykazać, że drzewa chorują, żeby móc w określonych obszarach ciąć je bez limitu powierzchniowego, który normalnie wynosi 6 ha, i to nawet jeśli biolodzy kwestionują zasadność zrębów sanitarnych.

Nie jest tak, że leśnikom zależy wyłącznie na wycince jak największej liczby drzew (w 2024 r. wprowadzono nawet pewne restrykcje dotyczące tzw. lasów cennych), bardziej kluczowa jest kwestia ceny drewna.

Analiza ekonomiczna rynku okazuje się jednak dość karkołomna, bo LP mają pełną autonomię w zakresie polityki cenowej. W praktyce stosują podwójny system – oficjalną cenę dla zwykłych odbiorców i preferencyjną dla wybranych podmiotów, które później mogą z drewnem zrobić, co chcą. Nawet wyeksportować, bo choć oficjalna cena jest porównywalna do tej, jaką można spotkać w innych krajach UE, to w przypadku preferencyjnego obiegu eksport może się już opłacać. Tym bardziej że koszt pozyskania drewna w Polsce jest czterokrotnie mniejszy niż choćby w Niemczech.

Koniec płacowego eldorado

Ceny drewna w ostatnim czasie spadły m.in. z uwagi na słabnięcie monopolistycznej pozycji LP – już prawie jedna czwarta lasów znajduje się poza ich zarządem. W tej grupie są parki narodowe i rezerwaty, ale przede wszystkim lasy prywatne, których udział stanowi dziś 19 proc. i wzrósł w ciągu ostatnich 20 lat o jedną piątą. Mamy również takie

eprasa.pl 0f983c43b1

regiony, jak choćby Małopolska, gdzie prywatne lasy stanowią niemal połowę, co zresztą doskonale widać, gdy jedziemy z Krakowa na południe – kolejne mijane wsie żyją z lokalnych tartaków.

Warto dodać, że choć prywatne lasy podlegają nadzorowi ze strony starostów powiatowych, a ich właściciele mają m.in. obowiązek sporządzania 10-letniego uproszczonego planu urządzenia lasu i muszą przestrzegać ograniczeń w pozyskiwaniu drewna – to z respektowaniem tych przepisów bywa różnie.

Jak wskazała Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z 2021 r., zaledwie jedna trzecia starostw posiadała pełną dokumentację dla nadzorowanych lasów, a w połowie przypadków kontrola była fikcyjna – nawet w przypadku stwierdzenia naruszeń lub uchybień nie wszczynano postępowania. Problem braku realnego nadzoru nad lasami prywatnymi ma skutki nie tylko ekonomiczne czy biologiczne – wpływa także negatywnie na bezpieczeństwo, ponieważ służby ochrony przeciwpożarowej nie dysponują kompleksową, aktualną wiedzą na temat specyfiki lasów prywatnych.

Pisząc o spadku cen za drewno, trzeba podkreślić, że nie przełożył się on na obniżenie wynagrodzeń samych leśników – w przeciwieństwie do nakładów przeznaczanych na ochronę lasów, co wykazała choćby NIK w raporcie z czerwca 2025 r. Z drugiej strony warto jednak zauważyć, że mityczne kiedyś zarobki leśników z roku na rok stają się coraz mniej atrakcyjne. Jeszcze w 2018 r. przeciętne wynagrodzenie w Lasach Państwowych wynosiło ok. 160 proc. średniej płacy. W 202 r. było to już tylko 101 proc., co wynikało głównie z bardzo wyraźnego wzrostu płac w gospodarce narodowej i jednoczesnego braku podwyżek w Lasach.

Co więcej, w ubiegłym roku, pomimo protestów związków zawodowych, przeprowadzono cięcia premii, spowodowane m.in. negatywnymi wnioskami ze wspomnianego raportu NIK o niegospodarności Lasów Państwowych. Sytuacja samych leśników jest jednak lepsza niż innych osób zatrudnionych w branży. Zdecydowanie bardziej pogorszyła się sytuacja firm realizujących wycinki – wartość prac zleconych przez LP spadła w ostatnim roku o 700 mln zł.

Z wodą jest to samo

W celu pozyskiwania drewna niezbędne jest często wybudowanie nowych leśnych dróg. Wiąże się to z koniecznością prowadzenia działań odwadniających, ale na szczęście zrozumiano już negatywne konsekwencje odwadniania lasów, co zresztą będzie stanowiło kolejną barierę dla pozyskiwania większej ilości drewna w przyszłości. Obecnie jesteśmy świadkami rozbudowy w lasach tzw. małej retencji, która ma znaczenie także w przypadku wystąpienia pożarów, a te stanowią coraz większe zagrożenie ze względu na zmiany klimatyczne i zmniejszającą się ilość opadów, zwłaszcza w centralnej i północnej części naszego kraju.

W Polsce narasta też inny problem: niszczenia lasów przez wichury. Tu jednak znów dochodzimy do konfliktu interesów. LP prowadziły przez lata politykę zagęszczania lasów, co umożliwiło podwojenie zasobów drewna. Niestety, jak pokazała choćby pamiętna wichura z tornadami w sierpniu 2017 r., ofiarą stały się głównie te najbardziej zagęszczone lasy. Tworząc specyficzną nieprzepuszczalną ścianę, są znacznie mniej odporne na uderzenia silnego wiatru. I jako że często stanowią też monokultury, są bardziej podatne na choroby.

Przypadek Lasów Państwowych doskonale pokazuje, że w zakresie zarządzania wspólnymi zasobami ekonomia wygrywa z ekologią. Choć przez lata leśnicy próbowali przekonywać, że udaje się z powodzeniem łączyć obydwa cele i mamy do czynienia ze zrównoważonym rozwojem lasów, w świetle najnowszych danych coraz trudniej podtrzymać ten mit.

Zresztą nie jest to wyłącznie przypadek Lasów Państwowych. Wody Polskie, które zgodnie z ustawą mają troszczyć się o dobrą jakość wód płynących, są w praktyce zmuszone do wydawania firmom przemysłowym, w tym spółkom Skarbu Państwa, pozwoleń na niemal nieograniczony zrzut ścieków. Zakwit złotej algi w Odrze w 2022 r., który skutkował masowym śnięciem ryb, został wywołany przez zrzut wysoko zasolonych wód kopalnianych z zakładów należących do KGHM i Jastrzębskiej Spółki Węglowej.

Do dziś w tej materii nic się nie zmieniło. Jedyne, co pozostaje Wodom Polskim, to powstrzymywanie zakwitu alg poprzez wpuszczanie do rzek perhydrolu w okresie letnim, co dzieje się już choćby w Kłodnicy, dopływie Odry. To jednak tylko przyczynek do odrębnej opowieści.

■■■

Możliwe, że akurat w przypadku lasów coś się zmieni wraz z przyjęciem Narodowego Programu Leśnego. Wstępne prace legislacyjne nad projektem rozpoczęły się w Ministerstwie Klimatu i Środowiska w październiku 2025 r. Zapewne już niedługo przekonamy się, czy nastąpi zmiana paradygmatu w podejściu polskiego państwa do lasów, czy nadal ekonomia będzie wygrywać z ekologią. W długim okresie ignorowanie perspektywy środowiskowej może nieść ze sobą bardzo negatywne skutki ekonomiczne. Jeśli nie zmienimy naszego podejścia, to i cnotę (tzn. naturę) stracimy, i rubelka nie zarobimy.

© MARCIN KĘDZIERSKI

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KOMPUTER I INTERNET = LEPSZE ŻYCIE

Internet ułatwia życie i napędza gospodarkę, ale wciąż połowa dorosłych Polaków nie potrafi korzystać z komputera, sieci i smartfonu. To bariera w pracy, w urzędzie i w codziennych sprawach. **Jak nadrobić zaległości? Dlaczego to takie ważne?** Sprawdź, co możesz zyskać i gdzie bezpłatnie zdobędziesz przydatne umiejętności. Na naukę nigdy nie jest za późno.

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego

eprasa.pl 0f983c43b1

Trudne słowo: gentryfikacja

MARCIN TUSIŃSKI

MIASTA | Kiedyś chodziło się do fryzjerki Jadzi, mechanika Jacka i szewca Roberta. Ale musieli się wyprowadzić z centrum miasta wykończeni rosnącymi czynszami. Są za to hotele. Turysta płaci, a miasto się bogaci.



Odnowione fasady, równe ulice i chodniki, dobre restauracje. Polskie metropolie pięknieją, pozbywając się przy okazji placów handlowych i targowisk. Wszystkiego, co przaśne, ale własne. Dlatego wielu mieszkańców narzeka, że Kraków zamienia się w jeden wielki hotel, Stocznia Gdańska w osiedle deweloperskie, a warszawskie Powiśle – w hipsterski bar. Miejsca, które po okresie rozpadu nabrały uroku m.in. z powodu artystów i inicjatyw miejskich aktywistów, są dziś przejmowane przez wielki biznes.

Tylko czy to źle? Być może to codzienność, z którą należy się pogodzić? Jeden z procesów wpisanych w rytm naszych czasów? Tu nie ma prostych odpowiedzi, ale warto ich szukać.

Kraków, ulica Józefa

Facet z tlenionym irokezem i w koszuli w gepardzie cętki stoi z mikrofonem przed tłumem na styku ulic Bożego Ciała i Wawrzyńca. Krzyczy coś o anarchizmie. Na transparentach napisy: „Bogu co boskie, miastu co miejskie", „Misja społeczna, nie hotelowa".

Kolorowy tłum zebrał się w proteście przeciwko przejęciu trzech dużych kamienic na krakowskim Kazimierzu. Zakon kanoników regularnych wydzierżawił budynki deweloperowi, który zamierza przekształcić je w hotel. Niektórym mieszkańcom zaproponowano po 30 tys. zł odprawy, a przedsiębiorcy dostali trzy miesiące na wyprowadzenie.

W kamienicach znajdują się m.in. słynny Paul's Boutique, uważany za jeden z najlepszych sklepów z winylami na świecie, pachnąca kadzidłami knajpa Eszeweria, jubilerska manufaktura Blazko, kilka butików ze stylowymi ubraniami i komis odzieżowy. Miejsce do tego stopnia kultowe, że miasto pod wpływem protestu wstrzymało eksmisje i teraz zastanawia się nad zmianą planu zagospodarowania dla ulicy, by wykluczyć tam działalność hotelarską.

Właścicielka zagrożonego komisu odzieżowego, obserwuje zmiany na Kazimierzu od dawna. – Byliśmy żywym laboratorium. Najpierw wprowadzono strefę ograniczonego ruchu, później zamienili ją w strefę czystego transportu. Nie pomogły rozmowy w urzędzie miasta, że to zabija nasze działalności – mówi Elżbieta Miś, która w swój lokal zainwestowała masę pieniędzy i czasu, ale na szczęście pracę traktuje jak dodatek do emerytury.

Jej młodsi koledzy są w gorszej sytuacji: kredyty, kłopoty ze znalezieniem innych lokali w dobrej lokalizacji itd. – Przez 35 lat kanonicy nie włożyli tu żadnych pieniędzy, wszystko robiliśmy sami. Do niedawna w pobliżu był sklep mięsny, jarzynowy, pracownia elektryczna. Teraz są same sieciówki spożywcze. Okolica zmienia się nie do poznania. A nas, którzy to miejsce ożywiliśmy, chcą stąd usunąć – mówi pani Elżbieta.

Miasto, faza pośrednia

Najprościej sprawę można ująć tak: gentryfikacja to proces społeczno-ekonomiczny polegający na przekształcaniu zdegradowanych lub zaniedbanych obszarów miasta w przestrzenie atrakcyjne dla zamożniejszych mieszkańców i przedsiębiorców. W praktyce to bardzo złożony zestaw zjawisk, gdzieś na styku polityki miejskiej, biznesu, a nawet świata sztuki i mody.

– Najpierw musimy mieć miejsce, które jest zdegradowane w rozumieniu inwestorskim, czyli nie przynosi odpowiednio wysokich dochodów – mówi dr Łukasz Drozda, politolog i urbanista z UW. – Jeśli dysproporcja między aktualną a potencjalną wartością nieruchomości po jej „reinwestowaniu" jest odpowiednio duża, wtedy biznes zainteresowany jest przeprowadzeniem gentryfikacji.

eprasa.pl 0f983c43b1



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Protest przeciwko gentryfikacji Kazimierza. Kraków, 22 lutego 2026 r.

Zanim do tego dojdzie, odbywa się faza pośrednia, zależna w dużej mierze od polityki przestrzennej poszczególnych miast. Im bardziej szczegółowe plany zagospodarowania – tym spójniejsze i ostrożniejsze przekształcanie terenu. Czasami ten proces zaczyna się od inwestycji publicznych, np. utworzenia Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. W ślad za BUW poszły kolejne inwestycje, tym razem samorządowe. Schowano Wisłostradę w tunelu, powstało Centrum Nauki Kopernik. Z czasem coraz atrakcyjniejsza okolica zaczęła przyciągać firmy deweloperskie.

Innym razem kolejność jest odwrotna. W Łodzi to rewitalizacja kompleksu dawnych zabudowań pofabrycznych przy ul. Piotrkowskiej przez prywatnego inwestora poprzedziła zainteresowanie miasta, które zainwestowało potem w remonty kamienic i modernizację podwórek.

W tej swoistej fazie pośredniej, gdy okolica jest przywracana do życia, miasta starają się uatrakcyjniać swe tereny poprzez wynajmowanie tanich pomieszczeń na pracownie artystyczne. Tak stało się na krakowskim Zabłociu.

Najpierw udostępniono budynki starej fabryki lokalnym twórcom, potem powstało muzeum sztuki współczesnej MOCAK i kilka knajpek. To z kolei przyciągnęło zamożnych, idących za modą. W końcu pofabryczne budynki znikły razem z artystami, a Zabłocie zaczęło przypominać gęsto zabudowaną apartamentowcami miejską sypialnię.

Gdańsk, tereny stoczniowe

Mąż Janiny Dopierały przez 42 lata był mechanikiem urządzeń okrętowych w Stoczni Gdańskiej. – W Sierpniu ’80 byliśmy już parą. Podczas strajku spał na styropianie, a ja jeździłam do niego pogadać przez bramę. Bardzo się bałam – wspomina.

Po narodzinach dzieci para przeniosła się do matki pani Janiny, gdzie nie mieli wody ani łazienki w mieszkaniu. Potem dostali 30-metrowe mieszkanko zastępcze ze wspólną toaletą na korytarzu, w którym żyją do dzisiaj. Dopierałowie czekali co prawda na docelowe lokum, nim jednak zdążyli uzbierać pełen wkład na książeczce mieszkaniowej, padła ich spółdzielnia, a osiedle zostało kupione przez deweloperów.

Dziś w ich bloku zostało niespełna dwudziestu lokatorów. – To nie tak, że ktoś nas wyrzuca. Po prostu nie opłaca się tych budynków remontować, lepiej je będzie zburzyć. Za nami już trwa budowa – mówi pani Jadwiga. Chwilkę później dodaje, że przed oknami miała kiedyś ładny plac zabaw, huśtawki, boisko do koszykówki. Było życie. – Teraz jest smutno – opowiada.

Pewnego dnia do mieszkania Dopierałów przyszła prawniczka firmy deweloperskiej i pomogła im napisać wnioski do urzędu miasta o przydzielenie mieszkania socjalnego. Nie mieli wyjścia. Przyjęli tę zmianę łagodnie, a nawet z nadzieją na lepszy byt, ale starsi mieszkańcy znieśli to źle. – Starych drzew się nie przesadza. Są tutaj pracownicy stoczni, którzy mają koło osiemdziesiątki – mówi pani Janina.

Bartosz Rief, doktorant Uniwersytetu Warszawskiego związany z Europejskim Centrum Solidarności, jest badaczem, socjologiem i aktywistą. Uważnie przygląda się trwającym od trzech dekad zmianom w stoczni, czego ważnym elementem było stworzenie w 2004 r. miejscowych planów zagospodarowania. Chodziło o wygaszenie produkcji przemysłowej i dopuszczenie kwartałowej zabudowy biurowej, usługowej i mieszkaniowej w postaci wielokondygnacyjnych apartamentowców. Na listę zabytków chronionych wpisano w 1999 r. jedynie trzy elementy dawnej zabudowy: Pomnik Poległych Stoczniowców, Bramę nr 2 i słynną salę BHP.

W pośredniej fazie procesu gentryfikacji i tutaj zastosowano zabieg przydzielania części lokali artystom. Dzięki ich obecności okolica stała się modna i skusiła inwestorów, a za nimi wyższą klasę średnią. Potem powstało Europejskie Centrum Solidarności przyciągające turystów z całego świata, artyści zaś musieli się wyprowadzić, o czym zresztą z góry wiedzieli. Ponad 90 proc. terenu trafiło w ręce deweloperów.

– Nie ma już muru stoczniowego, są tylko pozostałości na mapach – mówi Rief. – Tereny stoczniowe zabudowywane są nowoczesnymi blokami o bardzo zróżnicowanej architekturze. Całość oklejona jest wokół kolejnymi osiedlami, a z każdego metra kwadratowego wyciska się maksymalny zysk. To jeden wielki plac budowy, z dużą liczbą mieszkań i apartamentów na wynajem krótkoterminowy. Skala i kierunek tych zmian są przytłaczające – ocenia Rief i wróży okolicy totalną turystyfikację. Ostatnio zamknięto lokalny warzywniak i sklep rybny.

Wrocław, Nadodrze

– Siedem lat temu wpadłem na pomysł skopiowania biznesu, który działa na warszawskim Śródmieściu – mówi Bartek Strzelecki, sklepikarz z wrocławskiego Nadodrza, właściciel „Brodatego 11”. – Ludzie wynajmują regały, przynoszą swoje używane rzeczy i powstaje ekskluzywny komis z kawiarnią i piwkiem. Zastanawiałem się, czy ten biznes ma szansę wypalić poza uliczką Oleandrów w Warszawie czy Placem Zbawiciela, gdzie przychodzą młodzi i bogaci. Zaryzykowałem, bo chciałem zmienić to miejsce – mówi.

Bartek szybko zderzył się ze ścianą. Okazało się, że lokalsów nie zachwycił pomysł kawiarni; zaglądali tu rzadko i zazwyczaj wspominali sklep spożywczy, który znajdował się pod tym samym adresem. Musiał więc zrezygnować ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ z kawy i piwa, zostały ciuchy, książki i winyle. – Nadodrze radzi sobie z tematem gentryfikacji, bo odrzuciło niechciany przeszczep. Musiałem dokonać zmiany, żeby zachować szansę przeżycia i odpowiedzieć na rzeczywiste potrzeby społeczne – puentuje.

Inny los spotkał okolice wrocławskiego Rynku, który (jak wcześniej Stare Miasto w Krakowie) stał się miejscem „pod turystów" i wszędzie widać szyldy reklamujące mieszkania wynajmowane poprzez platformy B&B. Zniknęła kawiarnia Literatka, która od dziesięcioleci była miejscem spotkań środowisk artystycznych – wykończyły ją czynsze. W tym samym miejscu jest dziś kawiarnia sieciowa. Po dawnym symbolu miasta pozostał szyld wiszący nad barem.

Okolice Placu Grunwaldzkiego, Politechniki Wrocławskiej i Uniwersytetu Medycznego zabudowano akademikami dla co zamożniejszych studentów. Na wspomnianym wcześniej Nadodrzu jest bardziej swojsko: wciąż działają tu np. małe sklepiki z artykułami do remontów, zakłady krawieckie i szewc.

Bartek Strzelecki podejrzewa, że dzieje się tak po części z powodu niedużej wielkości lokali w dzielnicy, których nie da się za bardzo rozbudować. – Kiedyś była tu tradycyjna piekarnia, którą ktoś przejął i zapowiadał francuską *boulangerie* – mówi. – Zdarli ściany do gołego. I tyle ich widzieliśmy – wspomina.

Miasto z czasem zaczęło ostrożniej podchodzić do gentryfikacji i wprowadziło dla rewitalizowanych miejsc obowiązek szerokich konsultacji społecznych. Zaczęto też uważniej patrzeć na lokalne plany zagospodarowania.

– Wrocław ciągle jest w środkowej fazie rewitalizacji. Szukamy delikatnego balansu różnorodności, który pozwala, żeby funkcjonowały tu bogacące się klasy społeczne, lokale usługowe, ale także dawni mieszkańcy – mówi Anna Bieliz, organizatorka Festiwalu Filmów o Mieście i Architekturze MIASTOmovie. – Mamy doświadczenie z Nadodrza, które jest przykładem modelowej rewitalizacji według mechanizmów zaprogramowanych odgórnie. Tyle że w terenie okazało się, że tak się nie da. Mieliśmy więc kilkanaście lat ciągłej korekty i nauki, jak rozmawiać z mieszkańcami.

– Trzeba ich było przekonać, że warto odnawiać podwórka i siać zieleń na dawnych miejscach parkingowych. Jednak wchodzenie tam z gotowym projektem i zakładanie, że mieszkańcy będą zadowoleni, bo im zrobimy odgórnie porządek, okazało się błędne – podsumowuje Bieliz.

W pośredniej fazie procesu miasta przydzielają lokale artystom. Dzięki ich obecności okolica staje się modna i kusi inwestorów. **Potem artystom wręcza się wypowiedzenia.**

Jej zdaniem, Wrocław nie przepadł w odmętach gentryfikacji właśnie dzięki szerokiemu wachlarzowi konsultacji. Sprzedano co prawda obszar dawnego Portu Miejskiego i teren po Browarze Piastowskim, ale zmiany wciąż nie są na tyle dominujące, żeby zmieniły strukturę społeczną.

Kąty Wrocławskie

Inaczej sprawy mają się w małych miejscowościach wokół stolicy Dolnego Śląska. Anna Bieliz dorastała w Kątach Wrocławskich. Wraz ze wzrostem znaczenia pobliskiej autostrady, miasteczko zmieniło charakter z rolniczego na przemysłowy. Zbudowano wielkopowierzchniowe magazyny, stacje benzynowe, supermarkety.

– Kiedyś z domu rodziców widać było sad, dom sąsiada, pola i góry. Teraz sad zamienił się w hotel z restauracją. Jest McDonald's, KFC i stacja paliw. Wszystko w bezpośrednim sąsiedztwie domów jednorodzinnych. Hałas, brud i potężne zanieczyszczenie światłem. Wszędzie stoją neony i reklamy sklepów – mówi Bieliz.

Nowe podmiejskie osiedla powstają, bo ludzie z pieniędzmi szukają wsi spokojnej i wesołej. Chcą pracować zdalnie, ale zachowując łatwy dostęp do miejskich wygód.

Słucham Anny Bieliz i myślę o Kazimierzu Dolnym, w którym dorastałem. Jako dziecko wstawałem o szóstej rano, żeby kupić ciepłe bułki z pachnącej na milę piekarni. Na każdym rogu mieszkał wujek, ciotka czy kuzyn. Dziś nie ma już piekarni, są za to piwiarnie, hotele i wille co bogatszych Warszawiaków. Miejscowych twarzy coraz mniej. Ceny jak w Mediolanie.

Zdaniem Łukasza Drozdy gentryfikacja stanowi swego rodzaju rewers rewitalizacji – jej nieudany wariant. Oba te procesy zachodzą w wymiarze społecznym, ekonomicznym i przestrzennym. Często prowadzą do poprawy jakości życia w danej dzielnicy; stare kamienice nie rozsypują się już na oczach ludzi. Remontuje się ulice i chodniki. Powstają tereny zielone, coraz mniej jest pieców „kopciuchów", więc i jakość powietrza się poprawia.

Ale przy okazji zachodzi też proces gwałtownego wzrostu wartości metra kwadratowego, co prowadzi do podwyżek czynszów i opłat za lokale – w efekcie z czasem dochodzi do stopniowego wypierania dotychczasowej ludności i przeznaczonych dla niej tanich usług. Zatrzymanie tego procesu wymagałoby niezwykłej uważności w planowaniu przestrzennym miast, z dbałością o interesy mieszkańców w równym stopniu, jak o budżet gminy.

– Nie da się całkiem zatrzymać negatywnych aspektów gentryfikacji w warunkach gospodarki wolnorynkowej – twierdzi dr Drozda, po czym tłumaczy podziały w środowisku ekspertów od miejskiej polityki. To dwie kategorie: optymiści i pesymiści. Ci pierwsi mówią, że miasta są przestrzeniami, które oferują dziś najlepszą jakość życia, rozwijają się i są sercami naszej gospodarki, ale też kultury – a negatywne zjawiska to margines. Pesymiści uważają, że miasta, owszem, rozwijają się, ale są pełne nierówności pogłębiających rozwarstwienie społeczne.

Kraków, powrót na Józefa

Wróćmy na demonstrację w obronie przedsiębiorców i mieszkańców krakowskiego Kazimierza. Facet z tlenionym irokezem i w koszuli w gepardzie cętki wciąż krzyczy coś o anarchii, a ja pytam jednego z pikietujących, Piotra, dlaczego właściwie przyszedł.

– Tracimy tożsamość – odpowiada. – Jeżeli się poddamy, klimat tego miejsca już nie wróci. Ludzie nie przyjeżdżają tu przecież dla hoteli, tylko dla klimatu Kazimierza. Jesteśmy mieszkańcami Krakowa i to miejsce jest nam bliskie. Chcemy je uratować.

© MARCIN TUSIŃSKI

eprasa.pl 0f983c43b1

Lepsze życie z komputerem i internetem – zysk dla ludzi i gospodarki

Trudno dziś wyobrazić sobie pracę i codzienne życie bez internetu. Polska w ostatnich latach sprawnie rozwijała e-usługi i na tle Europy wypada pod tym względem bardzo dobrze. Problem polega jednak na tym, że nie wszyscy umieją z nich korzystać. Nadal połowa z nas nie potrafi obsługiwać komputerów ani poruszać się po sieci.

Aby korzystać z internetu, pożytecznych programów i aplikacji, często nie trzeba już mieć komputera, a wystarczy tylko telefon. To duże ułatwienie, ponieważ sam zakup sprzętu nie jest już dla nas barierą. Znamy korzyści, jakie daje nam sieć i tylko 7% z nas mówi, że nie odczuwa potrzeby łączenia się z nią. Jednak do tego, by móc z niej korzystać, niezbędne są nam jeszcze odpowiednie umiejętności, czyli tak zwane kompetencje cyfrowe. A wciąż dla wielu dorosłych osób, zwłaszcza starszych, zarówno obsługa komputera, jak i smartfona nadal bywa trudna.

W zasięgu naszych możliwości

Dane pokazują wyraźnie. Większość gospodarstw domowych (96%) ma dziś możliwość łączenia się z internetem, ale tylko połowa dorosłych (16-74 lat) posiada podstawowe umiejętności cyfrowe. Oznacza to, że co druga osoba może mieć trudności z wysłaniem formularza, znalezieniem informacji, zakupami w sieci czy skorzystaniem z usług online. Tylko co czwarty dorosły Polak posiada kompetencje wyższe niż podstawowe (średnia unijna to 31%). I chociaż sytuacja się poprawia, nadal mamy problem z obsługą urządzeń cyfrowych i znajdujemy się pod tym względem na końcu europejskiego rankingu. Tymczasem Unia Europejska chce, aby do 2030 roku aż 80% jej obywateli potrafiło korzystać z internetu chociaż w stopniu podstawowym. Umiejętności cyfrowe pozwalają nam rozwijać się gospodarczo i konkurować z innymi regionami świata, uczyć się i podnosić jakość życia.

Do czego przydaje się internet?

Internet pomaga nam w wielu codziennych sprawach. Dzięki niemu możemy zadbać o zdrowie przez Internetowe Konto Pacjenta – umówić wizytę i porozmawiać z lekarzem bez wychodzenia z domu, a także wykupić e-recepty. Przez internet załatwiamy sprawy urzędowe i rozliczamy podatki przez e-PIT. Korzystamy z aplikacji mObywatel, zamiast nosić dokumenty w portfelu. Płacimy rachunki i zamawiamy zakupy do domu.

Internet pozwala też rozmawiać z rodziną i znajomymi oraz poznawać nowe osoby. Pomaga wyszukać potrzebne informacje oraz znaleźć ciekawe rzeczy do nauki i rozwijania zainteresowań. Osoby, które nie potrafią korzystać z sieci, mają trudniej w codziennym życiu i mogą czuć się wykluczane z życia społecznego.

Praca z komputerem

Internet stał się też niezbędny w pracy. W wielu zawodach trzeba codziennie korzystać z komputera, poczty elektronicznej, dokumentów online czy prostych aplikacji. Nowe technologie, takie jak roboty i sztuczna inteligencja, czy praca z domu sprawiają, że ciągle trzeba się uczyć i zdobywać nowe kompetencje. Osoby, które nie czują się pewnie w świecie cyfrowym, mają większe trudności ze znalezieniem pracy, awansem czy przekwalifikowaniem się.

Niski poziom umiejętności cyfrowych ogranicza sprawność firm i spowalnia rozwój całej gospodarki. Problem nie dotyczy tylko skomplikowanych technologii. Chodzi też o podstawowe rzeczy: wyszukiwanie informacji, korzystanie z aplikacji, zapisywanie i dzielenie się plikami w zespole. Dzięki temu praca staje się szybsza i bardziej efektywna. Ważne jest też bezpieczeństwo – korzystanie z wiarygodnych źródeł i dbanie o swoje dane i cyfrową tożsamość.

Szerszy dostęp do narzędzi cyfrowych oraz umiejętność ich efektywnego wykorzystywania pozwalają firmom usprawniać procesy, zwiększać wydajność, automatyzować działania, oferować produkty i usługi wyższej jakości oraz budować przewagę konkurencyjną. Na podnoszeniu kwalifikacji zyskujemy więc wszyscy – pracownicy, producenci, konsumenci, obywatele korzystający z wygodnych rozwiązań.

Kluby dla każdego

My, jako społeczeństwo, chcemy nie tylko korzystać z nowoczesnych technologii, ale świadomie je rozumieć i współtworzyć. Inwestujemy w edukację dzieci i młodzieży oraz rozwój specjalistów IT. Równie ważne jest jednak wzmacnianie kompetencji osób dorosłych. Kompetencje cyfrowe nie mają metryki – rozwija je każdy, niezależnie od wieku. Dbamy o edukację dzieci i młodzieży, kształcimy specjalistów IT. Ale pamiętajmy też o nas samych – obsługi komputera, smartfona i internetu jesteśmy w stanie uczyć się w każdym wieku. Osoby dorosłe mogą zapisać się na darmowe zajęcia do Klubów Rozwoju Cyfrowego (KRC). Nauka przebiega tam bez stresu i dotyczy spraw, z którymi spotykamy się na co dzień. Warto więc już dziś sprawdzić, gdzie taki Klub jest w naszej okolicy.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego

eprasa.pl 0f983c43b1

OLGA

Drenda:
A może by tak o Roku Wajdy



A może by tak o Roku Wajdy – zasugerował redaktor. Poczułam błysk wyzwania, bo napisać coś osobistego na temat rocznicowy, czyli z założenia trochę konwencjonalny i grzeczny jak laurka okolicznościowa, to zawsze niemały trud. Ale też przypomniał mi mój własny trud widzowski – dobrowolnego poznawania i polubienia dzieł reżysera, którego poznało się akurat nie w porę. I odkrycia przy tym czegoś, czego się nie spodziewałam.

Nie w porę, bo moje świadome zapoznanie z filmami Andrzeja Wajdy przypadło na erę adaptacji lektur szkolnych, gdy do kina zabierano całe klasy zapewniające frekwencyjny rekord. Była to milenijna tradycja, bo tych wysokobudżetowych ekranizacji powstawało wiele. Dla uczniów oczywiście atrakcja, same filmy też nie były wcale złe, ale ciążyło na nich skojarzenie z lekturą obowiązkową, czyli czymś, czego młody człowiek zwykle z zasady nie lubi, nawet mimo starań nauczycieli, by przedstawić je ciekawie. Nie wypada wtedy, by się podobały, właśnie dlatego, że wypada je szanować. Ja również z umiarkowanym entuzjazmem odnosiłam się do obowiązków szkolnych i tak zapamiętałam wizyty na „Panu Tadeuszu" i „Zemście". Sam Andrzej Wajda cieszył się wówczas już statusem reżysera za życia upomnikowionego, co nie sprzyjało mojemu zainteresowaniu.



OLGA DRENDA

Gołębie pod Muzeum Etnograficznym, w którym kiedyś eksponowano ekran-serce

Ale bywa tak, że już w dorosłości, gdy nie trzeba, a można, to kanon, a nawet i lektura szkolna potrafi przemówić do nas innym głosem. Do tego jest taki moment w życiu niegdysiejszego, a pewnie i współczesnego studenta, gdy nie do odparcia staje się czar jazzowych, skuterowych czasów odwilży lat 50. Wtedy ogląda się „Niewinnych czarodziejów", zwłaszcza gdy samemu ma się tendencję do szpanowania pozorowanym chłodem. A potem już można oglądać i „Ziemię obiecaną", i „Wesele", a jeśli trafi się na grono znajomych kinomanów, zostać też wtajemniczonym w straszną historię o koniu z „Popiołów", wreszcie zaś dyskutować z legendą już po swojemu, i doceniać, i marudzić.

Ja bardziej polubiłam się z Wajdą, gdy pracowałam nad „Wyrobami" i odkryłam jego wcale niemały epizod etnograficzny. Ta niepopularna i niedoceniana, mysio skromna dziedzina, w której i ja miałam przyjemność się kształcić, stała się jego drogą do filmu: jeden z pierwszych małych, bardzo szkolnych dokumentów poświęcił ceramice iłżeckiej. Wiele lat później stworzył dokument „Zaproszenie do wnętrza" o niesamowitej kolekcji Ludwiga Zimmerera, korespondenta zachodnioniemieckiej prasy w Warszawie. Zimmerer pokochał sztukę twórców ludowych i nieprofesjonalnych, która była wtedy owszem, modna, ale jego akurat i dzieła, i osobowości artystów pochłonęły bez reszty. Wajda z kamerą chodzi po mieszkaniu, w którym „nie tylko ludzie patrzą na przedmioty, ale również przedmioty patrzą na ludzi", a gospodarz opowiada bez końca, starając się wciągnąć widza w światy wyobraźni czasem nieprzystępnych outsiderów, których uważał za swoich nauczycieli: Stanisława Zagajewskiego o groźnej, zaludnionej przez potwory fantazji, pracowitej Marii Korsak.

„Zaproszenie..." to trochę dokument ze swoich czasów, poświęcony tematowi, który bywał wówczas lubiany, choć zwykle powierzchownie, a nawet eksportowy. Ale widać, że Wajda przygląda się mu uważniej, i pewnie też wybrał z namysłem. Chodzi mu o coś trochę innego niż Zimmererowi, bo kolekcjoner opowiada o życiorysach, potrzebach i motywacjach artystów, a Wajda poszukuje odruchowo, również w sztuce outsiderów, Wielkiego Tematu Polskiego. Ale widać, że wątku ludowego musiało mu może na co dzień trochę brakować, i że rozumiał tę twórczość taką, jaką była. Tak jak w swoim pierwszym filmie, „Pokoleniu", który powstał w 1954 r., więc musiał siłą rzeczy nosić obowiązkową wówczas warstwę socrealistycznej politury. Ale jest w nim coś, czego socrealizm nie akceptował: motyw z twórczości oddolnej prawdziwej, takiej z odrobiną lukru i sentymentalnej łezki, a nie inscenizowanej. Prawdziwy wyrób, który znalazł się potem na wspomnieniowej wystawie w krakowskim Muzeum Etnograficznym. To ekran fotograficzny w kształcie serca, przypominający trochę staromodny tatuaż z ptaszyną i napisem „Czekaj – ja wrócę". ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 0f983c43b1

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MISJA SPOŁECZNA | [illegible]OŚĆ
DEMOKRACJA | ZNACZENIE
AUTENTYCZNOŚĆ | [illegible]A
CZŁOWIEK | DZIEDZICTWO
PAMIĘĆ | ODPOWIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

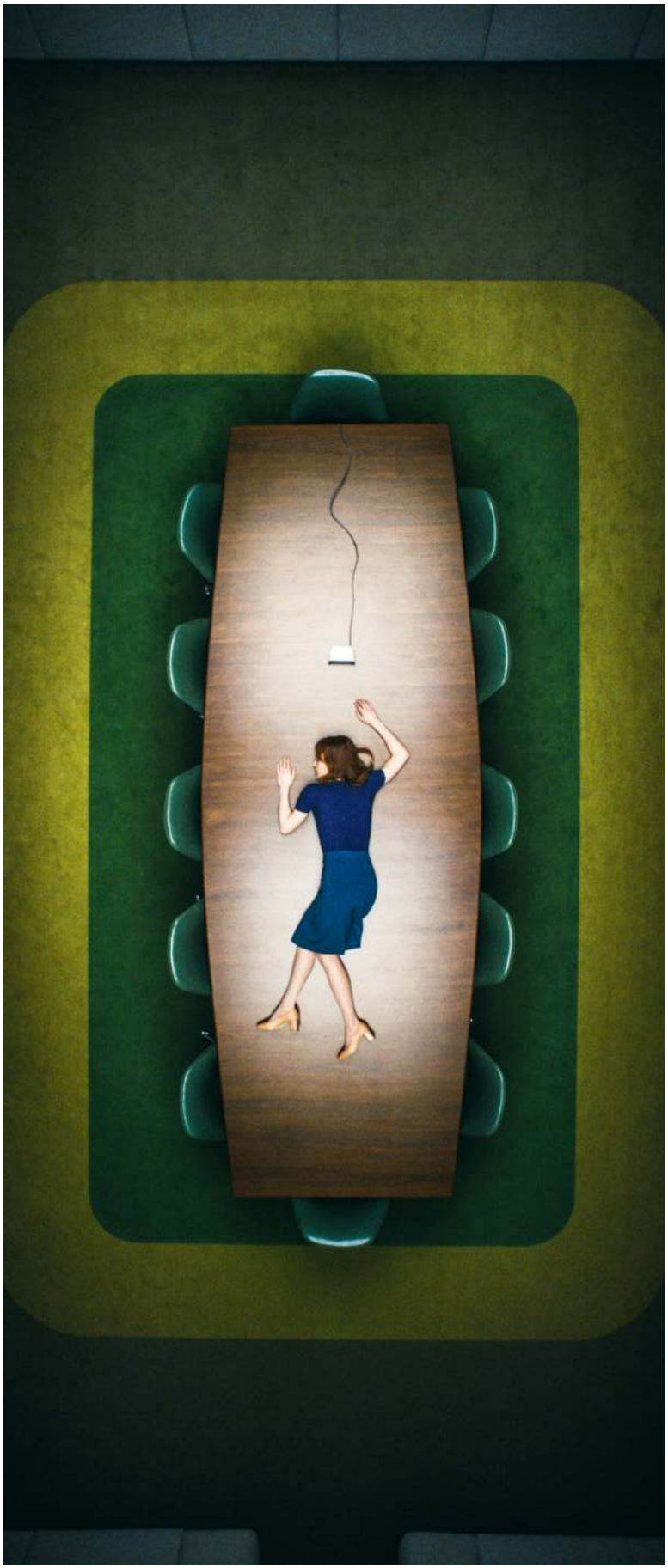
t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

eprasa.pl 0f983c43b1



APPLE TV / MATERIAŁY PRASOWE

„Rozdzielenie", reż. Dan Erickson, 2022 r.

PSYCHE

JAK ZNÓW SOBIE ZAUFAĆ

To, co opisujemy jako kryzys zaufania, może być kryzysem uznania – doświadczeniem, w którym jednostka nie czuje się widziana jako podmiot. Wtedy pozostajemy w stanie permanentnego rozdzielenia.

CVETA DIMITROVA

eprasa.pl 0f983c43b1

Kobieta budzi się na stole konferencyjnym. Nie wiemy, kim jest, co to za miejsce. Ona też nie wie. Z głośnika płyną pytania „kim jesteś?", „jak masz na imię?". Jedyne, co o sobie wie, to w którym stanie się urodziła.

To opis sceny otwierającej serial „Rozdzielenie". Metafora uczucia, którego doświadczamy, gdy jesteśmy zdezorientowani, nie mamy wewnętrznej narracji, pamięci, kontekstu, punktów odniesienia, innych ludzi wokół. Wiemy o sobie tylko tyle, ile mówi instytucja, która nas stworzyła. Nie mamy komu opowiedzieć siebie.

Nie jest to tylko obraz korporacyjnej dystopii, ale doświadczenia opisywanego przez badania społeczne. Według najnowszego Edelman Trust Barometer – dorocznego globalnego raportu badającego zaufanie do instytucji – poziom poczucia krzywdy społecznej i braku wiary w sprawiedliwość społeczną nigdy nie był tak wysoki. Ponad 60 proc. badanych uważa, że system faworyzuje elity kosztem zwykłych ludzi, zaufanie maleje, a rośnie pesymizm dotyczący przyszłości.

Te dane wskazują na rozszczelnienie relacji, rozpad poczucia więzi i przynależności do wspólnego świata. Przedstawiają obraz sytuacji, w której człowiek nie jest uznany jako podmiot – nie ma historii, bo nie istnieje nikt, wobec kogo ta historia mogłaby zaistnieć. A istnienie jest przecież relacyjne.

Co widać z gabinetu

Z czymś odwrotnym mamy do czynienia w gabinecie terapeutycznym. Tam także przychodzi się z poczuciem dezorientacji, ale pojawia się ktoś, kto słucha. Częstym wyznaniem jest: wtedy „nikomu o tym nie mówiłam", „z nikim o tym nie rozmawiałem". Tyle że to nie tyle wyraz zaufania, co wskazanie na postępujący brak innych przestrzeni do poruszania trudnych tematów. Może coraz rzadziej czujemy, że poza miejscem przeznaczonym na wgląd i samorozumienie nasze przeżycia i uczucia są traktowane serio.

Gabinet staje się wyodrębnioną przestrzenią podmiotowości i bezpieczeństwa, gdzie przez chwilę można doświadczać współmyślenia, zamiast natychmiast orientować się w gąszczu przeciążających nas uczuć i informacji. Jednocześnie, tak jak w „Rozdzieleniu" – nasze życie wewnętrzne zostaje oddelegowane do tej jednej sfery, a to „prawdziwe" toczy się gdzie indziej. Rozdzielenie nie jest więc tylko fabularnym zabiegiem, ale doświadczeniem, które jest nam dobrze znane, tylko w mniej spektakularnej formie. Gabinet przejmuje funkcję utraconych przestrzeni wspólnotowych.

A przecież terapia nigdy nie była i mimo jej rosnącej popularności nie jest warunkiem dobrego życia. Coraz częściej jednak do gabinetu terapeutycznego kieruje nas trudność w przeżywaniu zaufania: do innych, że można się do nich zbliżać, ale i do samych siebie – do swojej oceny, sądów, uczuć. Trudno też o poczucie, że nie musimy wszystkiego rozstrzygać, ani ze wszystkim mierzyć się sami.

Kto nas traktuje serio

Badacze od lat zastanawiają się, co jest głównym czynnikiem leczącym w psychoterapii i pomimo złożoności problemu wciąż przeważa pogląd, że o wiele ważniejsza od techniki lub konkretnego podejścia jest jakość relacji z terapeutą. Tym, co ją umożliwia, nie są może słuszne rozpoznania i interpretacje, lecz doświadczenie współmyślenia i zaciekawienia innej osoby sobą.

Czujemy się potraktowani serio – bo terapeuta uznaje nasze uczucia, nie ocenia ich, nie koryguje, robi dla nich miejsce. A to klucz do zaufania. Psychologia opisuje to precyzyjniej: jako zaufanie epistemiczne. Nie chodzi tu o zaufanie rozumiane jako przekonanie, że inni będą przestrzegać reguł życia społecznego. Chodzi o gotowość przyjęcia, że to, co ktoś do mnie mówi, może mieć dla mnie osobisty sens. Że mogę – choćby na chwilę – obniżyć czujność i dopuścić możliwość uczenia się, czyli uznawania komunikatów do mnie płynących za wiarygodne.

Czujność i sceptycyzm są nam potrzebne. Chronią przed manipulacją. Kłopotliwe jest jednak to, kiedy postawa obronna zaczyna dominować i nie można jej osłabić. Jeśli domyślną reakcją wobec świata staje się podejrzenie, nie można czuć się bezpiecznie i polegać na innych. Zaufanie epistemiczne nie oznacza więc braku krytycyzmu, a gotowość do przyjęcia nowych treści. Aby otworzyć umysł na uczenie się, potrzebujemy czuć się rozpoznani jako odrębne podmioty, posiadające własne stany mentalne.

Większość z nas, wchodząc w rozmaite role społeczne, szuka dla siebie uznania, ale tu chodzi o coś bardziej pierwotnego. Uznanie nie dotyczy tylko naszych ról, ale szerszego widzenia nas, także jako tych, którzy mają życie wewnętrzne: intuicje, przeżycia, uczucia, motywacje i myśli. Rozpoznanie naszej podmiotowości przez innych jest warunkiem współmyślenia.

Tak więc mechanizm, który ujawnia się w relacji terapeutycznej, w skali makro działa podobnie – tylko zamiast pacjenta i terapeuty mamy obywatela i instytucje. To, co opisujemy jako kryzys zaufania, może być kryzysem uznania – doświadczeniem, w którym jednostka nie czuje się widziana jako podmiot, a wówczas trudno jej traktować komunikaty płynące od innych jako wiarygodne.

Dlaczego jesteśmy łatwowierni

Badania Chloe Campbell z University College London pokazują, że brak stabilnego doświadczenia uznania może prowadzić zarówno do nadmiernej podejrzliwości, jak i do jej odwrotności – nadmiernej łatwowierności i desperackiej potrzeby przyjęcia wszystkiego, co oferuje ktoś, kto składa obietnicę bycia zobaczonym i oferuje spójną, choć niekoniecznie prawdziwą, opowieść. Brak uznania rozregulowuje czujność. Albo nie obniża się ona wcale, albo obniża się tam, gdzie nie powinna.

Kiedy myślenie w obliczu nadmiaru informacji i sprzecznych komunikatów staje się samotnym wysiłkiem, zamienia się w wyczerpanie. Powoduje więc zarówno niezdolność do zaufania, jak desperackie próby znalezienia odpowiedzi, słowem: właściwej i spójnej narracji.

W tym kontekście diagnoza z Edelman Trust Barometer spotyka się z rosnącą popularnością teorii spiskowych i jednoczesną podatnością na ślepą wiarę wobec osób o skłonnościach manipulacyjnych i autorytarnych, które bez najmniejszego poczucia zażenowania szafują prostymi ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ receptami na każdy złożony problem. Nadmierna podejrzliwość i naiwność nie są tu przeciwieństwami, lecz dwoma biegunami tej samej niestabilności.

Czy ułatwiamy sobie życie

Inną ilustracją naszej skłonności do nadmiernej ufności, gdzie pojawia się w miarę proste wyjaśnienie, jest nabierająca rozpędu tendencja do nadużywania pojęć z zakresu psychologii do opisywania rzeczywistości – własnej i cudzej. Kategoryzowanie innych jako gaslighterów, przemocowców czy narcyzów upraszcza relacje i zmniejsza ich złożoność. Nie chodzi o to, że te zjawiska nie istnieją, ale że nasz obraz świata czasem sprowadza się do etykiet, które podsuwają pop-psychologiczne narracje.

Redukcja złożoności daje tymczasowe poczucie kontroli. Jednocześnie chroni przed realnym kontaktem – bo realny kontakt wymaga wysiłku interpersonalnego, czyli gotowości do zawieszenia czujności albo korygowania założeń pod wpływem nowych doświadczeń relacyjnych.

Co z naszą wspólnotą?

Jeśli tak rozumiane uznanie jest warunkiem uczenia się od drugiego człowieka, to co dzieje się ze wspólnotą, gdy doświadczenie uznania słabnie?

Na poziomie indywidualnym nieufność prowadzi do wycofania, nadmiernej podejrzliwości lub zależności. W szerszym zakresie społecznym – do dezintegracji wspólnego świata. Siłą rzeczy, implikuje to zanik kooperacji i współdziałania. Gdy coraz więcej jednostek nie czuje się widzianymi, a ich konkretne życia nie są brane pod uwagę, lecz traktowane jako dane statystyczne, czujność staje się odpowiedzią mającą chronić poczucie wewnętrznej ważności i integralności.

Rzecz nie dotyczy więc przede wszystkim zdolności do krytycznego myślenia, ale ochrony poczucia własnego istnienia. Jeśli coraz więcej osób nie czuje się rozpoznanych, komunikat – jakkolwiek prawdziwy – nie może do nich trafić, bo nie jawi się jako wiarygodny relacyjnie. Problem nie dotyczy statusu poznawczego twierdzenia, lecz warunku jego przyjęcia.

Czy jesteśmy ważni

Przytoczony na początku raport opiera się na szerokich badaniach opinii publicznej i od lat uchodzi za jedno z ważniejszych źródeł diagnozy nastrojów społecznych. Skoro ponad połowa respondentów deklaruje przekonanie, że system działa przede wszystkim na rzecz wybranych, a nie ludzi takich jak oni, to znaczy, że ogromna część społeczeństwa nie czuje się w ogóle przez niego rozpoznana.

To już nie tylko wyraz rozczarowania czy gniewu, lecz doświadczenie utraty łączności z innymi. Jej konsekwencją jest konieczność samodzielnego orientowania się w świecie bez dających elementarne poczucie bezpieczeństwa punktów odniesienia.

Skoro decyzje podejmowane na wyższych szczeblach nie są przeżywane jako coś, co dotyczy bezpośrednio mojego życia, komunikaty płynące z tych samych źródeł tracą wiarygodność. Moja osobista rola nie ma już znaczenia, a to chwieje moim poczuciem osobistego sensu i istnienia.

Czy musimy być czujni

W badaniach wyłania się także tendencja do przeżywania poczucia krzywdy o charakterze systemowym, w którym wybrzmiewa zasadny bunt wobec tego, że elity wykorzystują, a zwykli ludzie nie mają realnego wpływu nawet na swoją najbliższą rzeczywistość. Trudno się dziwić, że rośnie poczucie zagrożenia i rywalizacji – jeśli są grupy, które zyskują kosztem innych, a zasoby są ograniczone, to nie współdzielimy świata. A czujność staje się wówczas postawą zasadną i permanentną.

> Jak pokazują najnowsze badania, poziom poczucia krzywdy społecznej i braku wiary w sprawiedliwość społeczną nigdy nie był tak wysoki. **Ponad 60 proc. badanych** uważa, że system faworyzuje elity kosztem zwykłych ludzi.

Można się dziwić, dlaczego rośnie sceptycyzm wobec teorii naukowych i narzędzi, którymi współczesna nauka operuje. Tymczasem eksperckość traci na znaczeniu nie dlatego, że wiedza traci wartość, ale że przestaje być istotna. Ludzie nie pytają już tylko, czy coś jest prawdziwe. Pytają, czy ktoś ich rozpoznaje. Bez tego rozpoznania autonomia staje się obowiązkiem samodzielnego rozstrzygania wszystkiego, co jest zadaniem skrajnie wyczerpującym.

Z psychologicznego punktu widzenia czujność w odpowiedzi na to strukturalne wykluczenie staje się całkiem racjonalną postawą mającą chronić tożsamość. Świat społeczny jawi się jako przestrzeń rywalizujących narracji, które nie są różnorodne i paralelne, lecz wzajemnie się wykluczają i stanowią potencjalne zagrożenie. W ten sposób pętla się domyka: brak uznania prowadzi do obrony, obrona utrudnia kontakt, a brak kontaktu pogłębia poczucie niebycia widzianym.

Gdzie jest odbiorca

Popularność „Rozdzielenia" ma wiele przyczyn, ale mnie interesuje w serialu to nieprzyjemne uczucie postępującego zaniku łączności pomiędzy naszymi wewnętrznymi przeżyciami a wizerunkiem czy funkcją społeczną, w ramach której nie czujemy się szczególnie istotni. Helly słyszy pytania, ale nie ma relacji, która nadałaby im sens. Instytucja komunikuje się, ale nie „widzi". To dystopijna wizja doświadczenia, w którym świat pozornie poprawnie działający pozbawiony jest podstawowego budulca, jakim są więzi. Przynajmniej w tym hierarchicznym układzie.

Kiedy pod koniec lat 70. Christopher Lasch pisał o kulturze narcyzmu, pokazał m.in., że jednostka w świecie słabnących struktur wspólnotowych musi sama podtrzymywać własne znaczenie. Ta niemoc zostaje w przywołanej scenie

eprasa.pl 0f983c43b1

doprowadzona do ekstremum. Kultura późnej nowoczesności kładzie akcent na wydajność, samowystarczalność i niezależność, a przywołany obraz odsłania jej inne oblicze – poczucie nieistnienia, które ta wydajność produkuje.

Carlo Strenger, nieżyjący już izraelski psychoanalityk, pisał ponad dekadę temu o narastającym lęku przed nieistotnością. W świecie, w którym punktem odniesienia stają się wszyscy i wszystko, tracimy poczucie własnego znaczenia. Nie mamy konkretnych relacji, bo odniesieniem jest dość abstrakcyjna figura sukcesu i osiągnięć ucieleśnianych przez takich czy innych bohaterów zbiorowej wyobraźni. Niemniej, kiedy poczucie osobistego znaczenia jest zagrożone, czujność staje się formą obrony. Można stać się nadmiernie nieufnym albo nadmiernie podatnym na wpływy – oba te ruchy mają chronić integralność. Trudniej zaufać także sobie, a bez zaufania do własnych stanów można tylko doświadczać amplifikacji własnego lęku.

Kiedy wróci dialog

Zaufanie w świecie, w którym nie czujemy się widziani i rozpoznani, przestaje być bezpieczne. Najbardziej racjonalną postawą staje się obrona własna. Kłopot pojawia się wtedy, gdy obrona odcina nas od źródła tego, co nas konstytuuje – od innych. System może monitorować, klasyfikować, pytać, ale jeśli nie uznaje nas jako podmiotów, pozostajemy w stanie permanentnego rozdzielenia.

W przywoływanej na początku scenie z serialu bohaterka pytana jest nawet o samopoczucie. O ironio – zupełnie jak w gabinecie. Ton jest uprzejmy, pytanie poprawne. A jednak nie ma relacji, która nadałaby tym pytaniom sens. Mówi głos instytucji, a po drugiej stronie jest doświadczenie pustki, izolacji i zagubienia. Pytanie bez relacji nie może budować zaufania, a tylko potęgować lęk. Może dlatego ta scena oddziałuje tak mocno? Bo pokazuje świat, w którym komunikaty krążą, lecz nie ma ich prawdziwych adresatów?

Jeśli kryzys zaufania jest w istocie kryzysem uznania, nie wystarczy lepiej się komunikować. Bez doświadczenia bycia rozpoznanym jako ktoś, a nie coś, autonomia zamienia się w samotny obowiązek rozstrzygania wszystkiego samemu. Dialog – w terapii i poza nią – może się zacząć od prostego aktu, mianowicie uznania czyjegoś doświadczenia za realne. Bez tego komunikaty, nawet jeśli poprawne, nie mają mocy budowania więzi.

Zostaje pusta przestrzeń, w której nie wiemy, kim jesteśmy, jak się nazywamy i skąd się wzięliśmy.

© CVETA DIMITROVA

Autorka jest filozofką i psychoterapeutką, założycielką ośrodka Znaczenia. Psychoterapia.

POŻEGNANIA

24 lutego w Baranowiczach, w wieku 96 lat
zmarła nasza ukochana ciotka

Elżbieta Dołęga-Wrzosek

Sprawiedliwa wśród Narodów Świata,
jedna z założycieli Związku Polaków na Białorusi,
założycielka i wieloletnia dyrektorka Polskiej Szkoły
w Baranowiczach.

Odważna i bezkompromisowa, była niezwykłą osobą.
Dzieliła ludzi na tych, którzy kochają psy
i na niewartą uwagi resztę.

Uwielbiała pomagać i dzielić się wszystkim, co
posiadała. Kochała naturę, przyjaźniła się z drzewami.
Do końca mnóstwo czytała.
Przeżyła swoje dzieci, pozostawiając za sobą liczne
grono wnuków i prawnuków.

Osierociła ukochaną sukę Baśkę, która dotrzymywała
jej towarzystwa przez ostatnie lata.

Kochaliśmy ją

Joanna, Agnieszka, Joasia, Tanja, Bera,
Marysia, Marek, Łukasz, Mateusz
i reszta Rodziny

W dniu 24 lutego 2026 r., w wieku 96 lat
zmarła w Baranowiczach na Białorusi

Ś.† P.

Elżbieta Dołęga-Wrzosek

została pochowana w Mołczadzi
na białoruskiej ziemi.

Założycielka i wieloletnia dyrektorka pierwszej
polskiej szkoły w komunistycznej Białorusi,
w ostatnich latach odebranej i zamkniętej.

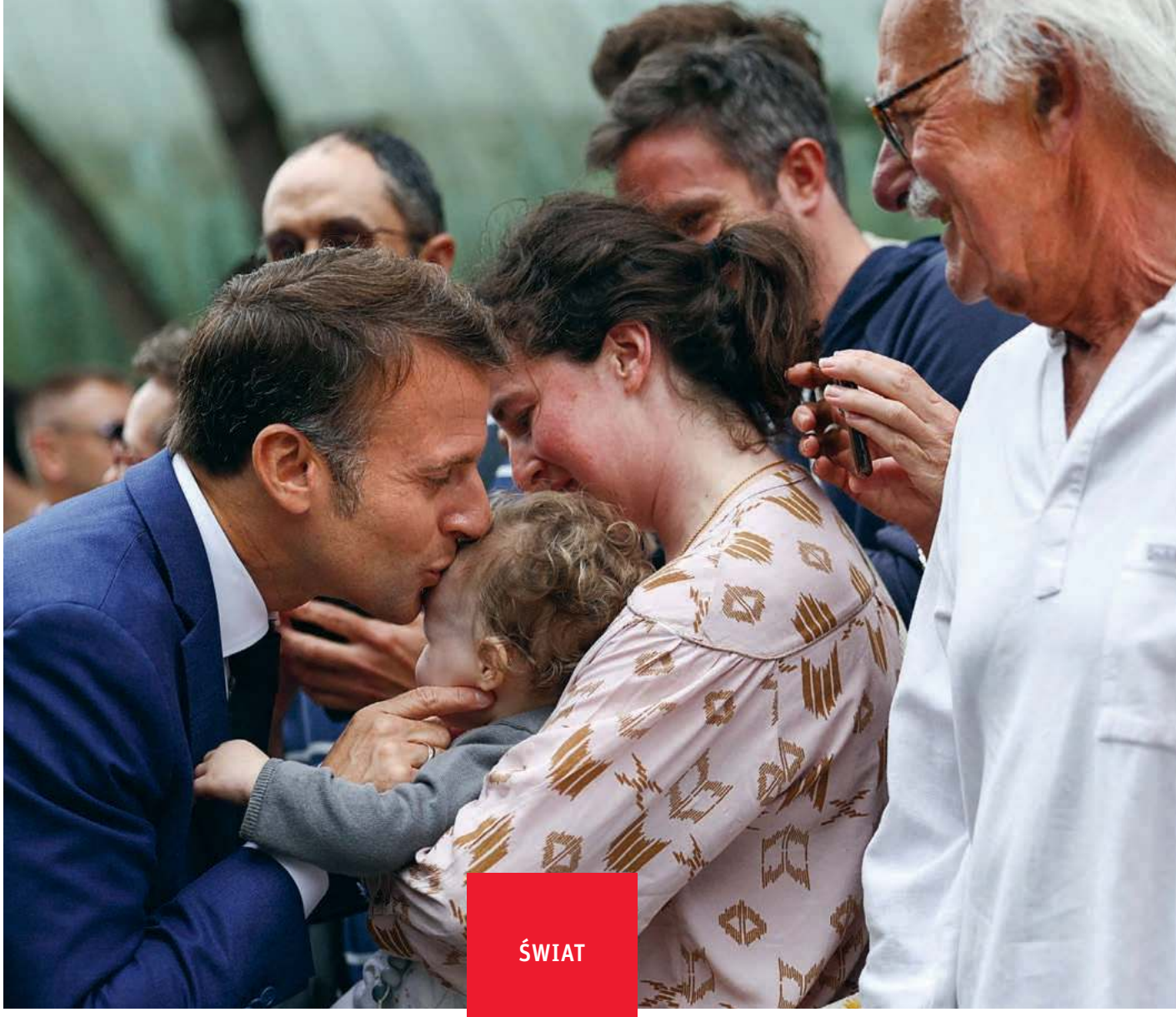
Zasłużona działaczka polonijna,
niestrudzona w dziele krzewienia języka i kultury
polskiej. Wielka polska patriotka
i Sprawiedliwa wśród Narodów Świata.

Stała czytelniczka „Tygodnika Powszechnego".
Do ostatniej chwili żyjąca sprawami Polski.

Niech odpoczywa w pokoju

Rodzina z Wielkopolski

eprasa.pl 0f983c43b1



ŚWIAT

BARYKADY DEMOGRAFII

Do niedawna Francja była wyspą dzietności na oceanie zapaści demograficznej w Europie. Dziś to przeszłość. Politycy proponują więc zachęty dla rodziców, a nestorka feminizmu wzywa mężczyzn do angażowania się w wychowanie.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Długowłosy brodacz w małym czarnym kapeluszu przywodzi na myśl odmłodzonego tolkienowskiego Gandalfa. Paryżanin Théo ma 32 lata. Z zawodu bibliotekarz, z upodobań miłośnik sztuki cyrkowej i średniowiecza oraz zapalony podróżnik. Jak mówi, ma mnóstwo pasji, na które brakuje mu czasu.

– Dawno temu postanowiłem, że nie będę mieć dzieci. Ojcostwo wymaga dużego zaangażowania i rezygnacji z części osobistej swobody. Ograniczałoby mnie. Na szczęście zgadzamy się w tej sprawie z moją dziewczyną – zauważa Théo.

Po namyśle dodaje, że „nie wyklucza", że „jest jeszcze młody" i że „może za pięć lat" zmieni zdanie w sprawie potomstwa. Jeśli tylko praca będzie zajmować mu mniej czasu, zastrzega się.

Théo dorzuca jeszcze, że wielu jego znajomych z paryskiej klasy średniej także nie myśli o dzieciach. Jedni boją się utraty wolności. Niektórzy motywują swoją decyzję lękiem o przyszłość ekonomiczną,

eprasa.pl 0f983c43b1



YARA NARDI / AFP / EAST NEWS

„Nowe zbrojenia demograficzne" – tak Emmanuel Macron określa rządowe plany wsparcia dla rodziców. Na zdjęciu: prezydent Francji wśród swoich zwolenników podczas wyborów w czerwcu 2024 r.

inni – nawet strachem przed katastrofą klimatyczną.

Théo przyznaje, że nie wszędzie we Francji tak jest: – Pochodzę z małego miasta w południowo-zachodniej Francji i dostrzegam, że moi tamtejsi rówieśnicy wciąż chcą mieć potomków.

Kres wyjątkowości

Sondaże pokazują, że coraz więcej młodych Francuzów i Francuzek podziela opinię Théo oraz jego partnerki. Z danych Państwowego Instytutu Demografii (INED) wynika, że mniej więcej co siódmy dorosły mieszkaniec Francji poniżej 30. roku życia (15 proc. mężczyzn i ponad 13 proc. kobiet) deklaruje, że nie zamierza mieć dzieci. Odsetek ten wzrósł aż trzykrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Jeszcze do niedawna Francja była, obok Irlandii, zdecydowaną liderką w Europie pod względem dzietności. *Baby boom* nad Loarą był przez kolejne lata powodem do narodowej dumy.

Dziś także dawną krainę Galów dopadła ogólnoeuropejska depresja demograficzna. W 2025 r. w kraju liczącym 69 mln mieszkańców zanotowano więcej zgonów niż narodzin. To moment przełomowy na miarę stulecia, gdyż stało się tak po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej.

Niepokojące liczby

Nic dziwnego, że liczni demografowie, publicyści i politycy – na co dzień zwaśnieni – tym razem wspólnie biją na alarm i rwą włosy z głowy. „Francja bez dzieci?" – niepokoi się na okładce „Le Nouvel Obs", tygodnik o lewicowo-liberalnym profilu.

Czy naprawdę jest powód do narodowego dramatu? W 2025 r. na świat przyszło o jedną czwartą mniej dzieci niż w 2010 r. Przed piętnastu laty statystyczna Francuzka miała dwoje dzieci, dziś statystycznie przypada na nią tylko 1,56 dziecka (mimo wszystko to więcej niż średnia w krajach UE; w Polsce ten wskaźnik wynosi według GUS tylko 1,03 dziecka na jedną kobietę).

Jednocześnie ze spadkiem liczby narodzin wydłużyła się przeciętna długość życia. W efekcie francuskie społeczeństwo starzeje się w zawrotnym tempie: obecnie jest we Francji tyle samo ludzi poniżej 20. roku życia, co seniorów (65 plus).

Stąd niepokój również o przyszłość systemu emerytalnego, który nad Sekwaną opiera się na tzw. solidarności międzypokoleniowej: płacąc składki, osoby w wieku produkcyjnym łożą tym samym na emerytury seniorów.

Przypadek francuski

Na przemiany demograficzne składa się wiele przyczyn: socjologicznych, ekonomicznych i kulturowych. Znany demograf Hervé Le Bras podkreśla, że załamanie się dzietności ma miejsce obecnie nie tylko we Francji oraz w ogóle w Europie, ale na całym świecie – od Dalekiego Wschodu (Korea Południowa, Chiny) przez Rosję aż po USA.

Uproszczeniem byłoby więc tłumaczenie tego trendu indywidualizmem, który ma cechować zwłaszcza mieszkańców Europy Zachodniej. Choć faktem jest, że rosnąca liczba singielek i singli, a także coraz częstsze rozpadanie się związków (i małżeństw, i tych nieformalnych) muszą wpływać na spadek liczby urodzeń. Tak jest również nad Sekwaną.

Przypadek francuski jest jednak szczególnie ciekawy, gdyż Francja długo opierała się ogólnej tendencji obecnej w młodym pokoleniu, zwanej *childless*, czyli bycia bezdzietnym.

Wciąż jeszcze dwie trzecie młodych Francuzów płci obojga deklaruje chęć posiadania co najmniej dwojga dzieci. Dzieje się to, warto zaznaczyć, w kraju, gdzie aborcja jest legalna od pół wieku i gdzie mieszka największy w Europie Zachodniej odsetek zdeklarowanych ateistów lub agnostyków.

Wartości wciąż ważne

Deklaracje te znajdują odbicie także w kulturze masowej. Dużą popularnością od wielu lat cieszą się telewizyjne *reality show* typu „Wielodzietne rodziny" na kanale TF1. Serial ten pokazuje codzienne, dość niespektakularne życie zwykłych francuskich par, wyróżniających się na tle ogółu tylko tym, że posiadają co najmniej piątkę potomstwa.

Dla większości Francuzów życie rodzinne i wychowanie dzieci pozostają ważnymi wartościami. Świadczyć o tym może również dość powszechne oburzenie opinii publicznej na niedawną reklamę francuskich kolei państwowych SNCF: promowały one w superszybkich pociągach TGV nową klasę biznesową Optimum, gdzie, jak napisano, „dla maksimum komfortu pasażerów dzieci nie mają wstępu".

Co ciekawe, reklama ta wywołała żywiołowe protesty internautów oraz wielu polityków – od komunistów przez centrum aż po skrajną prawicę. Przewoźnikowi zarzucono „wykluczanie najmłodszych". Dyrekcja kolei tłumaczyła się, dość niezręcznie zresztą, że użyła „niefortunnej formuły marketingowej", dodając, że strefa *no kids* obejmuje tylko 8 proc. miejsc w całym pociągu. ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ Jak pisze dziennik „Le Parisien", pod wpływem krytyki SNCF wycofała z internetu kontrowersyjną reklamę, ale podtrzymała samą ofertę klasy zastrzeżonej dla osób powyżej 12. roku życia.

Demograficzne zbrojenia

Jeśli załamanie się wskaźnika dzietności uderza w zbiorowe ego Francuzów, to również dlatego, że kraj ten przeznacza od lat najwyższe w Unii nakłady na politykę prorodzinną. Obejmuje ona najrozmaitsze instrumenty, dla przykładu: hojne zasiłki dla rodzin wielodzietnych (tj. mających troje dzieci lub więcej), przysługujące aż do osiągnięcia przez nie pełnoletności; dopłaty państwowe do opiekunek dla dzieci; coroczne wyprawki szkolne dla uboższych rodzin.

Jest też we Francji rozbudowana sieć żłobków i innych placówek publicznych dla dzieci do lat trzech, mająca ułatwiać kobietom łączenie pracy z wychowaniem dzieci.

Co więcej, już dwa lata temu prezydent Emmanuel Macron zapowiedział rządowy plan wsparcia dla nowych rodziców, okrzyknięty przez niego – ni mniej, ni więcej – „nowymi zbrojeniami demograficznymi". Ta wojskowa metafora, a w tych Macron się lubuje (przynajmniej od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę), oburzyła feministki, które nie życzą sobie, by państwo nakłaniało kobiety do prokreacji.

Program Macrona przewiduje m.in. wprowadzenie już w tym roku dodatkowych dwumiesięcznych płatnych urlopów rodzicielskich. Kumulują się one z obecnymi urlopami macierzyńskimi i ojcowskimi – w rezultacie po narodzinach dziecka matkom będzie przysługiwać w sumie pół roku płatnego urlopu, a ojcom trzy miesiące. Ma to skłonić także mężczyzn do większego zaangażowania w wychowanie.

List od rządu

Kolejny punkt „zbrojeń": z inicjatywy rządu wszyscy Francuzi płci obojga w wieku 29 lat mają latem tego roku otrzymać „list przeciw niepłodności".

Celem jest, jak uzasadnia to centroprawicowy gabinet Sébastiena Lecornu, uwrażliwienie młodych na tę kwestię i zachęcenie ich, aby leczyli ewentualne problemy związane z płodnością, zanim będzie za późno (niepłodność dotyka we Francji ponad 3 mln osób).

Załamanie się wskaźnika dzietności uderza w zbiorowe ego Francuzów także dlatego, że Francja przeznacza od lat najwyższe w Unii nakłady na politykę prorodzinną. Obejmuje ona szereg świadczeń, które teraz zostaną jeszcze bardziej rozbudowane.

Na tym nie koniec walki ze spadkiem dzietności. W lutym parlamentarzyści ogłosili raport, przedstawiony jako „rewolucja w polityce rodzinnej". Proponują w nim, by od tej pory przyznawać 250 euro miesięcznej premii na każde dziecko, niezależnie od dochodów – i to aż do ukończenia przez dziecko 20. roku życia.

„800 plus" po francusku?

Byłaby to w gruncie rzeczy rozszerzona na całe społeczeństwo i hojniejsza wersja już obowiązujących świadczeń. Obecnie przysługują one od drugiego dziecka, tyle że ich kwota zależy od wysokości dochodów rodziny.

To nowe świadczenie miałoby kosztować państwo od trzech do ośmiu miliardów euro. Prócz tego poselski raport postuluje m.in. wprowadzenie pożyczek o zerowym oprocentowaniu na zakup mieszkania dla świeżo upieczonych rodziców.

Autorzy raportu chcieliby tej prorodzinnej rewolucji od 2027 r. Biorąc jednak pod uwagę obecne ogromne problemy budżetowe Francji, wydaje się to mało realne.

Inna sprawa, że doświadczenie innych krajów pokazuje, iż samo finansowe wsparcie państwa dla rodziców nie wystarcza do podniesienia dzietności. „Fiasko silnej zachęty pieniężnej dla rodziców na Węgrzech, w Polsce czy Korei Południowej pokazuje, że dziecko nie rodzi się z motywacji finansowej" – komentuje chrześcijański „La Vie", tygodnik bliski politycznego centrum.

Gdzie ci mężczyźni?

Tu dochodzimy do jeszcze jednego francuskiego (i nie tylko) problemu: nierównego rozłożenia obowiązków rodzicielskich między płciami.

Obecnie Francuzki poświęcają dwukrotnie więcej czasu na zajmowanie się dziećmi niż ich partnerzy. W dodatku, jak podaje „La Vie", z powodu częstego rozpadania się par w jednej czwartej francuskich rodzin potomstwem opiekuje się samotny rodzic – zwykle jest to matka.

Wbrew stereotypom, aż do rewolucji obyczajowej z końca lat 60. XX w. Francja pozostawała krajem konserwatywnym w kwestii rodziny i relacji damsko-męskich. Dla przykładu: dopiero w 1965 r. przyjęto tu ustawę, która pozwalała zamężnym kobietom, bez zgody ich męża, podejmować pracę zawodową oraz zakładać własne konto bankowe *(sic!)*.

Na spuściznę po wiekach nierówności płciowej zwraca uwagę Elisabeth Badinter, znana francuska filozofka i publicystka, autorka prac poświęconych historii kobiet i macierzyństwa. Twierdzi ona, że we Francji „nigdy nie było tak trudno być matką jak dzisiaj".

Badinter uważa, że wiele Francuzek, pragnących równości w związku, zmaga się z podwójną społeczną presją: mają być jednocześnie idealnymi matkami i zarazem perfekcyjnymi pracowniczkami. Dlatego coraz częściej wybierają pracę i rezygnują z posiadania dzieci, gdy nie mogą liczyć na pomoc partnerów w domu.

Panowie, trochę wysiłku!

Czy da się to jakoś zmienić? Elisabeth Badinter, uważana za nestorkę francuskiego feminizmu, przekonuje, że mężczyźni powinni po równo dzielić ze swoimi partnerkami obowiązki domowe i wychowanie dzieci. Dopiero gdy tak się stanie, macierzyństwo odzyska dla kobiet swoją całą atrakcyjność.

„Panowie, jeszcze trochę wysiłku..." – zwraca się do mężczyzn filozofka (to tytuł jej eseju z 2024 r.).

Nie wiadomo, czy jej apel zostanie wysłuchany. Jednak, tak czy owak, na razie pogłoski o wymieraniu Francuzów wydają się lekko przesadzone.

© SZYMON ŁUCYK

eprasa.pl 0f983c43b1



ABDEL KAREEM HANA / AP / EAST NEWS

Omer Wenkert prowadzony przez członków Hamasu podczas wymiany izraelskich zakładników w obozie dla uchodźców Nuseirat w Deir al-Balah. Strefa Gazy, 22 lutego 2025 r.

Mój ból, twój ból

MICHAŁ KUŹMIŃSKI Z IZRAELA

BLISKI WSCHÓD | Izraelska armia po raz pierwszy nie wyparła się liczby 70 tysięcy ludzi zabitych w Gazie. Jak dziś Izraelczycy patrzą na palestyńskie ofiary zza „żelaznego muru”?

Wokół drzewa oliwne i palmy. Przestało padać, odzywają się ptaki. Pierwsze spalone domy stoją tuż przy drodze. Na ścianach napisy sprayem: okrąg z kropką pośrodku to znak, że w tym domu znaleziono zwłoki. W ogródkach zniszczone meble, wewnątrz rozrzucone zabawki i buty. Wszystko tak, jak zostało po 7 października 2023 r. W kibucu Be’eri większość zniszczonych domów już wyburzono, trwa odbudowa. Ten kwartał zostawiono.

Jesteśmy 4 km od Strefy Gazy. Kilkudziesięciu Palestyńczyków z brygad al-Kassam, zbrojnego skrzydła Hamasu, wdarło się tu wtedy przed 6 rano. Był to jeden z pierwszych celów. Tego dnia zginęło 1200 Izraelczyków, w tym 800 cywilów; 251 porwano do Gazy.

Avi (imię zmienione ze względu na jego bezpieczeństwo) był wtedy pod Tel Awiwem. Spieszył do punktu mobilizacyjnego i próbował utrzymać kontakt na WhatsAppie z rodziną szukającą kryjówki. Schrony w kibucach są przystosowane do ataków rakietowych, nie do broni ręcznej i granatów. Ciotkę Aviego zabili w domowym schronie. W Be’eri zginęło wtedy ponad 130 osób, 30 uprowadzono (część zginie w niewoli).

Avi wspomina, że gdy był dzieckiem, kibucnicy jeździli do Gazy na rowerach po zakupy na bazar. Tammy Suchman, w której spalonym domu rozmawiamy, pracowała tam w szpitalach. W 2005 r. Izrael wycofał z Gazy wojsko i osadników. Rok później wybory wygrał Hamas.

Avi: „Skąd masz te liczby?”

Po 7 października 2023 r. Izrael zaczął w Gazie niszczycielską ofensywę. Jest oskarżany o zbrodnie wojenne, w tym stosowanie głodu jako narzędzia przeciw cywilom. Wielu specjalistów prawa międzynarodowego, organizacji takich jak Amnesty International, a także badaczy Holokaustu nazywa działania Izraela przeciw Palestyńczykom ludobójstwem.

Pytam, jak mieszkańcy tego kibucu patrzą na Gazę, na kilkadziesiąt tysięcy ofiar izraelskiej armii, z których około połowy to kobiety i dzieci. Avi się denerwuje. – Skąd masz te liczby? Traktuj krytycznie to, co ci mówią tamci – poucza.

Jeszcze nieraz w Izraelu to usłyszę: że statystyki ofiar podaje Hamas, a zachodnie media ślepo je powtarzają. Ale niedługo po naszej rozmowie armia przyzna w briefingu dla prasy (później biuro rzecznika armii się z tego wycofa), że liczba ok. 70 tys. ofiar ich działań, podawana przez kontrolowane przez Hamas ministerstwo zdrowia Gazy, jest rzeczywista.

– Nie wiadomo, ilu z nich to byli terroryści – Avi nie kryje się z gniewem. – I nie zawsze liczby mówią wszystko. Czy jest symetria między ofiarą uboczną a niemowlakiem z Be’eri, któremu strzelono w głowę? Łatwo wam na Zachodzie przychodzi osądzanie.

To też usłyszę nieraz: nie wiecie, jak to jest tutaj żyć.

Miri Eisin: „Moralne PTSD”

Pułkownik wywiadu wojskowego w stanie spoczynku, Miri Eisin, pracuje dziś w Międzynarodowym Centrum na rzecz ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ Zwalczania Terroryzmu przy Uniwersytecie Reichmana w Tel Awiwie. Twierdzi, że 15 tys. izraelskich żołnierzy, którzy brali udział w operacji w Gazie, cierpi na „moralny zespół stresu pourazowego". Pytam ją, co to znaczy.

– Izrael, wbrew dezinformacji, przestrzega praw wojennych ściślej niż większość armii świata – twierdzi Eisin. – Według prawa wojennego, gdy nieprzyjaciel chce cię zabić, możesz go wziąć na cel. Ale musisz się upewnić, na ile to możliwe, że nie ucierpią postronni. I tu pojawia się moralne PTSD: bo terroryści, których bierzesz na cel, otaczają się cywilami. Zgodnie z prawem wojennym, nakazujesz cywilom się oddalić. Dajesz im godzinę lub dwie. My daliśmy im, co jest bez precedensu, dwa tygodnie. Ale część nie odeszła.

Między 7 a 27 października 2023 r. armia izraelska istotnie wstrzymywała się z ofensywą lądową. Jednak naloty trwały. Pierwszy atak na obóz uchodźców Dżabalija, gdzie mieli ukrywać się ludzie Hamasu, nastąpił 9 października, a więc po dwóch dniach, nie tygodniach. Według Biura Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka nie poprzedziło go żadne ostrzeżenie.

– Gdy cywile nie słuchają ostrzeżeń, żołnierz może się koniec końców najwyżej usprawiedliwiać, że mierzył w terrorystę, który chciał go zabić. Ale wie, że oni też tam byli – uważa Eisin. – Z tego powodu 15 tysięcy naszych żołnierzy zmaga się z moralnym PTSD.

Dodaje, że na swój sposób jest z tego dumna: – Bo to znaczy, że nasi żołnierze nie pojechali tam po prostu zabijać. Że są tego świadomi, że ich to zraniło i spędza im sen z powiek, a nawet czyni ich dysfunkcyjnymi. Ciekawa jestem, czy czegoś podobnego doświadczali terroryści, którzy 7 października metodycznie dokonywali swoich okrucieństw.



Miejsce pamięci ofiar masakry na festiwalu Nova nieopodal kibucu Re'im na południu Izraela, blisko granicy ze Strefą Gazy. W ataku Hamasu 7 października 2023 r. zginęło tu 378 osób, 44 zostały uprowadzone jako zakładnicy. Każda z ofiar została upamiętniona własną tablicą.

Remo Al-Hozayel: „Byliśmy jak rodzina"

Remo Salman Al-Hozayel mówi, że w Izraelu każdy do jakiegoś stopnia cierpi na PTSD. On ma stopień najwyższy: – Nie dowierzam dźwiękom. Piszczące dziecko biorę za paniczny krzyk, roboty budowlane za eksplozje, awionetki za drony. Chodziłem jak zombie, myślałem, że sam eksploduję. Żona omal ode mnie nie odeszła. Widziałem, co się dzieje z moją 10-letnią córką. Naprawdę nie wiecie, jak to jest.

Remo jest izraelskim policjantem, muzułmaninem i Beduinem. Tamtego dnia zabezpieczał festiwal muzyczny Nova koło kibucu Re'im, na którym bawiło się 3,5 tys. młodych ludzi. To miała być prosta fucha. Normalnie, jak mówi, nie brał fuch, ale koleżanka go namówiła: zarobisz, nic nie będziesz musiał robić, a pobędziesz na fajnej imprezie. Gdy 7 października rano wychodził, coś go, jak mówi, tknęło, i zabrał dodatkowy magazynek.

Opowiada o tym w miejscu pamięci urządzonym na terenie, gdzie ok. 7 rano festiwal zamienił się w koszmar. Remo podjął walkę. Wyprowadził spod ostrzału 200 młodych ludzi. Przez trzy godziny wywoził ich z opanowanego przez Hamas terenu festiwalu i wracał po kolejnych.

Na miejscu zginęło 378 osób, 44 uprowadzono. Jedna z dziewczyn, którą uratował, niedługo później popełniła samobójstwo. Z jego 36-osobowej zmiany poległo 20 policjantów. – Byliśmy pięknym, wielokulturowym oddziałem – mówi. – Żyd, muzułmanin, chrześcijanin, druz. Jedna drużyna, jedna rodzina.

Omer Wenkert: „Wolę wiarę w ludzi"

Miri Eisin mówi, że Izrael nie wyparł się tego, że w ofensywie ginęli cywile. Za to wyparcie można usłyszeć na izraelskiej ulicy. Kierowca, w drodze na lotnisko zagadnięty o cywilów w Gazie, przekonuje zupełnie serio: – Tam nie ma cywilów. Żeby mieć cywila z Gazy, musiałbyś zabrać stamtąd niemowlę i wychowywać poza Strefą.

Avi, później, już z większym spokojem: – Chciałbym, żeby wszystko było normalnie. My sobie żyjemy tu, oni sobie żyją tam, i wiele możemy zdziałać wspólnie. Ale oni są od małego uczeni nienawidzenia nas.

– Kiedy przywieźli mnie do Strefy, setki Gazańczyków podbiegły do ciężarówki. Zaczęli mnie linczować. Pięściami, kijami, prętami, kamieniami. Trwało to pół godziny. Od małych dzieci na ramionach rodziców po osiemdziesięciolatków – mówi Omer Wenkert.

Omer był jednym z uprowadzonych z festiwalu Nova. W niewoli spędził 505 dni, większość czasu w tunelach. Przez przeszło pół roku w całkowitej izolacji od innych ludzi. Opowiada, że strażnicy nie kryli chęci doprowadzenia go do obłędu. Później trzymano go z trzema innymi zakładnikami w tunelu metr na osiem. Mówi, że był bity i głodzony, stracił 38 kg wagi.

– Wciąż nie umiem powiedzieć, że wszyscy oni są tacy sami – mówi. – Gdybym uznał, że każdy w Gazie czy na Za-

eprasa.pl 0f983c43b1

chodnim Brzegu jest zły, wtedy to ja stałbym się taki jak Hamas, według którego wszystkich Żydów trzeba wypalić ogniem. Nie chcę być jak Hamas. Więc wybieram wiarę w ludzi i to, że niewinność istnieje. Trudno mi w to wierzyć, ale tak wolę.

David Koren: „Obok siebie"

Na skwerze w Zachodniej Jerozolimie wisi banner ku czci Trumpa. Na targu Mahane Yehuda hasło: „Wykończyć ich – naród Izraela żyje" (to drugie zdanie w Izraelu brzmi tak, jak dla nas „Jeszcze Polska nie zginęła").

Jerozolima jest podzielona. Jej wschodnią część, zajętą przez Izrael w 1967 r. w wojnie sześciodniowej, Palestyńczycy i większość krajów świata uważa za terytorium okupowane. Palestyńczycy ze Wschodniej Jerozolimy nie mają obywatelstwa, jedynie status stałego rezydenta, co uniemożliwia im udział w wyborach. I łatwiej go stracić.

Jerozolima jest też miejscem, gdzie świat żydowski i palestyński przenikają się. Na dobre czy na złe – ale na co dzień.

– W Jerozolimie Izraelczycy, którzy trafiają do szpitala, są leczeni przez palestyńskich lekarzy i przekonują się, że otrzymują dobrą i profesjonalną opiekę medyczną – mówi David Koren, dyrektor Jerozolimskiego Instytutu Badań nad Polityką Publiczną. – Widzą, że są ludźmi, którzy potrafią żyć obok siebie. Dla mnie Wschodnia Jerozolima jest modelowym przykładem deradykalizacji.

David Koren przedstawia się jako mediator między społecznością żydowską a palestyńską w tym mieście. Gdy w latach 2011-18 doradzał poprzedniemu burmistrzowi Jerozolimy, był nieoficjalnym rzecznikiem społeczności palestyńskiej w samorządzie miasta, gdzie nie ma ona praktycznie żadnej reprezentacji, gdyż bojkotuje wybory lokalne.

Jerozolima: rozmowy i aneksja

Po 7 października 2023 r. Izrael zwiększył liczbę osiedli żydowskich we Wschodniej Jerozolimie i wprowadził tu szereg restrykcji. Dostęp muzułmanów do meczetu Al-Aksa, świętego dla wyznawców islamu, drastycznie ograniczono. Wprowadzono też kolejne utrudnienia w przemieszczaniu się Palestyńczyków.

Pracownikom Agencji ONZ ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (UNRWA) odmówiono dalszego dostępu do Wschodniej Jerozolimy i Zachodniego Brzegu. W styczniu odcięto wodę i prąd w szkołach, ośrodkach zdrowia i innych placówkach opieki UNRWA we Wschodniej Jerozolimie.

Niemniej, zauważa Koren, we Wschodniej Jerozolimie nie doszło do poważnych zamieszek związanych z wojną w Gazie: – Nawet większość zwolenników Hamasu w Autonomii Palestyńskiej jest zmęczona walką i niemożnością normalnego życia.

Słowo „deradykalizacja", jakiego używa David Koren, niezbyt pasuje do zaostrzania przez Izrael restrykcji. Koren twierdzi jednak, że w grze są nie tylko represje: – Izraelczycy walczą z Hamasem w Gazie, ale we Wschodniej Jerozolimie rozmawiają z palestyńskimi przywódcami społeczności, również popierającymi Hamas lub Fatah – mówi. – Bo w dzisiejszych czasach po prostu nie ma nikogo innego, z kim można by rozmawiać.

Niedawno, w lutym, już po naszej rozmowie, rząd Izraela podjął tymczasem decyzję – w takiej formie po raz pierwszy od 1967 r. – o faktycznym rozszerzeniu granic Jerozolimy na fragment Zachodniego Brzegu, gdzie żydowscy osadnicy chcą budować kolejne osiedle. Ma to nie tylko ułatwić jego powstanie, ale też włączyć je jako dzielnicę do Jerozolimy. „To *de facto* aneksja, tyle że kuchennymi drzwiami" – komentowała tę decyzję izraelska organizacja Peace Now, która opowiada się za rozwiązaniem dwupaństwowym.



MICHAŁ KUŹMIŃSKI

REMO SALMAN AL-HOZAYEL, IZRAELSKI POLICJANT:

Byliśmy wielokulturowym oddziałem: Żyd, muzułmanin, chrześcijanin, druz. Jedna drużyna, jedna rodzina.

Elias Zananiri: „Wyjście do przodu"

– Gdy tamtego ranka usłyszałem, że jacyś Palestyńczycy przebili się przez mur Strefy, najpierw uznałem to za akt wolności – mówi Elias Zananiri, były rzecznik ministerstw Autonomii Palestyńskiej i wiceprzewodniczący Komitetu Organizacji Wyzwolenia Palestyny ds. Współpracy ze Społeczeństwem Izraelskim.

– Potem – dodaje – zaczęły spływać wiadomości i nagrania wideo. Pomyślałem, że to nie my, bo my Palestyńczycy tacy nie jesteśmy. I że to nie przysłuży się sprawie palestyńskiej.

Zananiri twierdzi, że gdy mówił to wówczas innym w Autonomii, był nazywany zdrajcą. – Tłumaczyłem, że zrozumieją, gdy przyjdzie odwet – mówi. – Że 7 października zranił dumę izraelskiej armii i odpowiedź będzie straszna. Sądziłem, że jak zwykle: za jednego Izraelczyka zginie dziesięcioro, może dwanaścioro Palestyńczyków. Ale odpowiedź Izraela przekroczyła wszelką skalę.

– Okropności 7 października nie mogą usprawiedliwiać tego, co zrobił Izrael w Gazie. Nie chodzi o to, że my jesteśmy aniołami, a oni diabłami czy odwrotnie. To po prostu zło. Po obu stronach – uważa Zananiri.

Jego zdaniem jedyne wyjście prowadzi do przodu: – Nie możemy się zamknąć w tym, co się stało. Musimy wykorzystać Gazę jako dynamikę do wyjścia z tego nonsensu, wojny i przemocy, w kierunku porozumienia pokojowego opartego na dwóch państwach. Inaczej się nie da. Tyle że Netanjahu świadomie niszczy wszelkie próby porozumienia, a większość Izraelczyków uznała 7 października za ostateczny powód, żeby rozwiązanie dwupaństwowe porzucić raz na zawsze, bo Palestyńczycy to potwory.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Klauzula jawności: autor przebywał w Izraelu na zaproszenie American Jewish Committee. Organizacja ta zapewniła, że jej fundusze nie pochodzą z żadnych dotacji rządowych. Kontakt z osobami z Gazy nie był możliwy. Izrael nie zezwala dziennikarzom na wjazd do Strefy Gazy.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl 0f983c43b1

Lilka umie kłamać

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

NIEMCY | Czy skrajną prawicę do władzy w Berlinie może poprowadzić lesbijka i ekonomistka z międzynarodowym doświadczeniem? Oto portret Alice Weidel, która w 2029 r. chciałaby objąć urząd kanclerza.



LIESA JOHANNSSEN / REUTERS / FORUM

Alice Weidel. Berlin, 20 lipca 2025 r.

Rok temu, w lutym 2025, w przedterminowych wyborach do Bundestagu zdobyli ponad jedną piątą głosów i drugie miejsce po zwycięskiej chadecji (CDU/CSU). Od tego czasu Alternatywa dla Niemiec (AfD) cały czas pnie się w sondażach, w ostatnich miesiącach utrzymując pozycję lidera.

Formalnie AfD ma dwóch równych sobie współprzewodniczących. Jednak to 47-letnia Alice Weidel, która rok temu występowała już w roli kandydatki na urząd kanclerza Republiki Federalnej, jest dziś twarzą ugrupowania.

Jak z obrazu

Aby mocno otworzyć tamtą kampanię, na początku 2025 r. Weidel udała się z ekipą filmową do malowniczej Saskiej Szwajcarii. Młodzieżówka AfD wpadła na pomysł, by w spotach sięgnąć po kody zakorzenione w niemieckiej kulturze. Tutaj – te nawiązujące do epoki romantyzmu, gdy Niemcy chcieli widzieć się jako naród wędrowców-filozofów, którzy cenią sobie i związki z naturą, i namysł nad sensem istnienia.

Najsłynniejszym obrazem niemieckiego romantyzmu jest ten z 1818 r.: „Wędrowiec" Caspara Davida Friedricha. Na skalnym filarze w Saskiej Szwajcarii, nad morzem mgły, stoi, spoglądając przed siebie, mężczyzna. Krajobraz wkoło to głównie niebo i kilka pagórków wystających z chmur. Daleko od cywilizacji, będąc świadkiem cudów natury, niemiecki umysł może pochylić się nad egzystencjalnymi pytaniami. To nie przypadek, że obraz Friedricha zdobił okładki dzieł Friedricha Nietzschego, także Niemca.

W tamtym spocie wyborczym Weidel również obcuje z przyrodą Saskiej Szwajcarii. Zostawia ślady na mieniącym się w słońcu śniegu. Dotyka mchu i skał. Widzimy, jak liderka AfD wędruje coraz wyżej, jednocześnie podniosłym tonem recytując artykuł 56. konstytucji.

Kilka linijek tekstu to przysięga wypowiadana podczas zaprzysiężenia niemieckich kanclerzy: „Przysięgam, że siły swe poświęcę dla dobra Narodu Niemieckiego, że będę pomnażać jego dobro, chronić od szkody, strzec i bronić Ustawy Zasadniczej i ustaw federalnych, że będę sumiennie wypełniać swe obowiązki oraz że będę sprawiedliwy dla każdego".

Gdy Weidel dociera do celu, za jej postacią rozciąga się krajobraz zbliżony do tego z obrazu Friedricha. Tyle że ona stoi twarzą do widza, gdy wypowiada ostatnie słowa przysięgi: „Tak mi dopomóż Bóg". Jako kandydatka na urząd kanclerza, prezentuje się tu jako mąż stanu.

„Marionetki" z Berlina

Zupełnie odmienne wrażenie można odnieść, zaglądając do jej prywatnej korespondencji. Kilkanaście lat wcześniej Weidel uderzała w inne tony. 24 lutego 2013 r. – w czasie, gdy założyciele AfD dopiero postanawiali powołać nowe ugrupowanie – wysyła maila do znajomego.

„Drogi J., powód, dla którego jesteśmy zalewani przez obce kulturowo narody, takie jak Arabowie, Sinti i Romowie itd., to systematyczne niszczenie społeczeństwa obywateli jako możliwej przeciwwagi dla wrogów konstytucji, przez których jesteśmy rządzeni" – pisze.

Dalej: „Te świnie to nic innego jak marionetki zwycięskich mocarstw II wojny światowej, które mają za zadanie utrzymywać naród niemiecki w słabości, wywołując »molekularne wojny domowe« w centrach miast poprzez zalanie ich obcym żywiołem".

Mail kończy: „Serdeczne pozdrowienia, Lille". „Lille" można przetłumaczyć na polski jako „Lilka". Znajomi Alice Weidel tak do niej mówią.

Wiele lat później, już w czasach jej zaangażowania politycznego, treść maila wycieka do mediów. Weidel nigdy nie przyzna, że jest on autentyczny.

eprasa.pl 0f983c43b1

Ale dziennikarze skrupulatnie wywiązują się ze swoich obowiązków: docierają do odbiorcy maila, a on potwierdza autentyczność korespondencji. Media potwierdzają też w wielu źródłach prawdziwość adresu mailowego, z którego Weidel wysłała swoje przemyślenia.

Z jednej strony mamy więc aspirowanie do funkcji szefowej rządu, z drugiej podawanie w wątpliwość suwerenności własnego państwa. To nie jedyne dwuznaczności związane z kobietą, która stoi na czele AfD – partii, która w tym roku może objąć władzę w dwóch wschodnich landach. W Saksonii-Anhalt i Meklemburgii-Pomorzu Przednim sondaże dają AfD nawet 40 proc. głosów.

Z Nadrenii w świat

Alice Weidel rodzi się w 1979 r. na zachodnioniemieckiej prowincji. Dorasta w miasteczku Harsewinkel, w landzie Północna Nadrenia-Westfalia. W tej okolicy dominują podobne do siebie domy jednorodzinne z czerwonej cegły, równo przystrzyżone trawniki i pola uprawne.

Ojciec zajmuje się sprzedażą mebli, matka domem i trójką dzieci. To od rodziców Lilka uczy się sumienności i punktualności. Mama codziennie budzi dzieci o 6 rano. Sama jest już perfekcyjnie ubrana i umalowana. Lilka woli domowy dryl od atmosfery w szkole. Po latach w jednym z wywiadów nazwie swoich nauczycieli – ludzi o lewicowych poglądach – bandą leni w sandałach. Aby ich denerwować, po otrzymaniu prawa jazdy jeździ do gimnazjum ojcowskim mercedesem.

Na jej późniejsze poglądy wpływ ma też pochodzenie jej rodziny. Jak w przypadku kilku innych wpływowych polityków AfD, rodzina jej ojca Gerharda musiała opuścić ziemie, które odebrano Niemcom po II wojnie światowej. Jej przodkowie mieszkali w Leobschütz (Głubczyce, dziś w województwie opolskim). Tak opisuje dzieje swojej rodziny: „Weidel to nazwisko z Górnego Śląska, moja rodzina ze strony ojca pochodzi z Leobschütz. Zawsze odmawiałam sprawdzenia, jak brzmi polska nazwa tego miasta (...). Ojciec miał straszne dzieciństwo, stracił rodziców i brata".

Weidel nie ma za to nic do powiedzenia na temat dziadka, Hansa Weidla. Był w NSDAP i SS, służył jako sędzia wojskowy. W 1944 r., mianowany przez samego Hitlera, zaczął pracę sędziego sztabowego i skazywał przeciwników systemu. Po wojnie zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek na temat zbrodni. Pytana przez dziennikarzy o dziadka-nazistę, Weidel odparła, że nie miała z nim kontaktu (za sprawą „nieporozumień rodzinnych") i nie wiedziała o jego roli w czasie wojny.

Wybuchowe paradoksy

W szkole jest wyróżniającą się uczennicą. Więcej można się o tym dowiedzieć z gazetki maturalnej, którą jej klasa przygotowuje w 1998 r. Jeden z wpisów dotyczy dziewczyny o pseudonimie „Lille". Wymienione są jej liczne talenty: znakomicie jeździ na rowerze szosowym, ale rozumie też złożone procesy ekonomiczne. Jest pełna „wybuchowych paradoksów". Już wtedy koledzy dostrzegają jej dominujący charakter i niezwykłą asertywność. Zarazem Lilka potrafi być „bardzo wrażliwa, sentymentalna, czasem nawet słaba".

Najbardziej intrygujące są ostatnie zdania. Bliski przyjaciel opisuje jej największy talent. To sztuka kłamstwa. „Ale prawdziwym problemem nie jest to, że od czasu do czasu kłamiesz. W końcu wszyscy to robimy. Nie, ty po prostu kłamiesz zbyt dobrze. Chyba nigdy nie spotkałem nikogo, kto z tak niewzruszoną pewnością siebie jak ty wypowiadałby kłamstwa i nie okazywał nawet najmniejszych oznak zdenerwowania".

Po maturze Alice studiuje zarządzanie i ekonomię na uniwersytecie w Bayreuth. Jest najlepsza na roku. W 2004 r. broni z wyróżnieniem pracę magisterską pt. „Rola banków w nadzorze korporacyjnym jako koncepcja polityki transformacyjnej na przykładzie Chińskiej Republiki Ludowej".

Akces do AfD

Potem jej życie przyspiesza. Zostaje zatrudniona we frankfurckim oddziale Goldman Sachs, jednego z największych banków inwestycyjnych na świecie. Jednak w świecie finansjery wytrzymuje tylko rok. Dzięki stypendiom przeprowadza się najpierw do Japonii, a później na kilka lat do Chin. W Pekinie pisze doktorat o chińskim systemie emerytalnym; broni go w 2011 r. Uczelnia wyróżnia wyjątkową jakość jej pracy.

W 2013 r. Alice Weidel zamieszkuje ze swoją partnerką, Sarah Bossard, w miejscowości Biel. To jedno z najbardziej lewicowych i liberalnych miast w na ogół konserwatywnej Szwajcarii. Sarah jest producentką filmową. Pochodzi ze Sri Lanki, a została adoptowana i wychowana przez szwajcarskiego pastora i jego żonę. W tym czasie przyszła liderka AfD prowadzi własną działalność doradztwa finansowego.

Pewnego wieczoru między partnerkami dochodzi do kłótni. Sarah zarzuca Alice, że po raz kolejny na organizowanej w ich domu imprezie zamęczała gości wywodami politycznymi, głównie krytykując Unię Europejską. W jej monologach w równie ciemnych barwach rysować miała się sytuacja w Niemczech. „Zamiast zanudzać wszystkich swoimi tyradami, sama zajmij się polityką!", wypala Sarah.

Są razem do dziś, ale Sarah podobno czasem żałuje tamtych słów. Bo Lilka istotnie postanawia się zaangażować: jesienią 2013 r. wstępuje do AfD.

„Oraz inne łajzy"

W AfD Weidel szybko pnie się w górę. Już w 2017 r. zostaje posłanką do Bundestagu i szybko staje się rozpoznawalna. Blond włosy spięte w kok, na szyi perły (rodzinna pamiątka), garsonka, biała koszula ze sporym kołnierzem, wąskie jasnobrązowe spodnie, kończące się na wysokości kostki, i białe sportowe buty. Tak niemal zawsze występuje publicznie.

Ważne jest też, jak występuje. Jej sposób mówienia jest ostry, cyniczny, niemal pogardliwy. W pierwszych latach nie zamierza się nikomu kłaniać ani przymilać.

16 maja 2018 r. w Bundestagu trwa debata nad budżetem. Pierwsi mówcy przerzucają się liczbami, proponują a to cięcia w jednym obszarze, a to dosypanie pieniędzy w innym. W końcu do mównicy podchodzi Weidel. Alternatywa dla Niemiec jest w Bundestagu dopiero niespełna rok. Posłowie AfD już wiedzą, że łamanie reguł i konwenansów zwiększa ich popularność w social mediach.

„Burki, dziewczynki w chustach, utrzymywani z zasiłków nożownicy i inne łajzy nie zapewnią nam dobrobytu, wzrostu gospodarczego ani państwa socjalnego!" – mówi Weidel na forum izby. Jej słowa stają się viralem, krążą po internecie. Jedni są oburzeni, inni wiwatują. ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ O Alice Weidel się mówi. AfD zaś na zawsze zmienia ton parlamentarnych dysput. Elokwentna i bezwzględna, Weidel ma w tym spory udział.

Życiowa układanka

Jej działalność polityczna wzbudza co i rusz falę krytyki – także w Biel, gdzie wraz z partnerką wychowują dwóch małych synów. Kobiety są wielokrotnie publicznie wyzywane. Podczas gdy chłopcy bawią się na placu zabaw, rozlegają się okrzyki w rodzaju: „Pieprzona nazistka!", „Pieprzone AfD!". Sarah Bossard traci kontrakty i większość przyjaciół. Para postanawia się wyprowadzić.

W 2019 r. na nowy dom wybierają miasteczko Einsiedeln, pół godziny samochodem na południe od Zurychu. Jeśli chodzi o politykę, to tutaj, na konserwatywnej szwajcarskiej prowincji, kobiety nie wzbudzają już takiego oburzenia. Choć małomiasteczkowa społeczność nieufnie podchodzi do homoseksualnego związku z dwójką dzieci.

Przy tym Weidel nie może oficjalnie przyznać się, że tam mieszka. Politykę robi przecież w Niemczech. Coraz częściej dziennikarze pytają, jak to możliwe, że liderka nacjonalistycznej niemieckiej partii mieszka na co dzień w Szwajcarii. Dlatego rodzina jest oficjalnie zameldowana w niemieckim Überlingen nad Jeziorem Bodeńskim.

Cała ta skomplikowana życiowa układanka podporządkowana jest jednemu celowi: Weidel chce awansować w AfD. Kolejne lata to kolejne sukcesy, pozycja współprzewodniczącej, na koniec nominacja na *Spitzenkandidatin* partii – kandydatkę AfD na urząd szefowej rządu.

Osiemnaście wiatraków

Decyzję, aby wystawić Alice Weidel do walki o fotel kanclerski, partyjni delegaci podejmują na zjeździe AfD we wschodnioniemieckim miasteczku Riesa, w styczniu 2025 r.

Weidel wychodzi tam na scenę. Blond włosy spięte w kok, granatowa marynarka, biała koszula, perły, czyli z wyglądu ta sama Alice, którą kraj zna od lat. Ale na początku 2025 r. jej partia jest już drugim pod względem popularności ugrupowaniem w skali kraju, a ona sama walczy o władzę z Friedrichem Merzem i Olafem Scholzem, kandydatami chadecji i socjaldemokracji, którzy polityczną karierę zaczynali jeszcze w latach 80. XX w. O rozmowę z nią zabiega Elon Musk, a także ludzie z administracji Donalda Trumpa.

„Czarny, czerwony, złoty" – mówi Weidel w Riesa. Zamiast przywitać delegatów po długich wiwatach, zaczyna przemówienie od wymienienia niemieckich barw narodowych. Robi to wolno i z namaszczeniem.

Chcąc rozgrzać emocje partyjnych dołów, sięga po swój stary szkolny talent. „Kiedy przejmiemy władzę, usuniemy wszystkie elektrownie wiatrowe. Precz z wiatrakami hańby!" – niemal krzyczy, wzbudzając wielki entuzjazm.

Słowa te mają wyrazić jej sprzeciw wobec zielonej transformacji energetycznej i szybkiego odchodzenia od gazu i węgla. Rozumiane dosłownie, brzmią jednak absurdalnie: w Niemczech w tym czasie jest już blisko 30 tys. wiatraków, które przy dobrych wiatrach produkują blisko jedną trzecią krajowej energii.

Dopytywana o to zdanie już po zjeździe, stwierdzi zdziwiona, że przecież chodziło jej tylko o osiemnaście wiatraków, które mają stanąć w jednym z lasów w Hesji, przeciwko czemu protestuje miejscowa społeczność.

Kłamstwo performatywne

Alice Weidel, a w ślad za nią szereg jej partyjnych naśladowców, do perfekcji opanowała sztukę tzw. kłamstwa performatywnego. Sam elektorat doskonale wie, że to, co słyszy, jest kłamstwem, ale ponieważ wymowa jest atrakcyjna i prowokująca, wzbudza ono entuzjazm.

Jeszcze kilkanaście lat temu takie polityczne szarlataństwo nie miałoby w Niemczech żadnych szans. Dziś – w okresie gospodarczej stagnacji, międzynarodowej niepewności, rozemocjonowanych do granic mediów społecznościowych, a także kolejnych wystąpień Donalda Trumpa, podczas których prezydent USA luźno podchodzi do kwestii prawdy – coraz więcej Niemców skłania się ku Alternatywie.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Tekst jest zredagowanym fragmentem książki Łukasza Grajewskiego pt. „Alternatywa dla Niemiec czy zagrożenie dla świata? Kulisy marszu AfD po władzę", która ukazuje się właśnie nakładem wydawnictwa Szczeliny.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **WROCŁAW,** niedziela, 8 marca, godz. 16.00, Tajne Komplety (Przejście Garncarskie 2), spotkanie z redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego" Jackiem Stawiskim, „Sens zamiast sensacji"
- **WROCŁAW,** poniedziałek, 9 marca, godz. 18.00, Klub PROZA, Wrocławski Dom Literatury (Przejście Garncarskie 2), spotkanie autorskie z Jackiem Stawiskim wokół książki „Trzecia transformacja, czyli historia odzyskana. Polska 1989-1995".
- **POZNAŃ,** wtorek, 10 marca, godz. 17.00, Gmina Wyznaniowa Żydowska w Poznaniu – Synagoga (ul. Stawna 10), „Poznańscy Żydzi". Spotkanie poprowadzi dziennikarka Sława Kęszycka.
- **KATOWICE,** środa, 11 marca, godz. 18.00, sala Feliksa Netza BŚ (Plac Rady Europy 1) Rozmowę z Rafałem Cekierą, doktorem nauk społecznych, prof. UŚ w Katowicach, poprowadzi Aleksandra Klich, dziennikarka, dyrektorka Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rybniku, „Od bezinteresownej gościnności do bezinteresownej niechęci? Stosunek Polaków do Ukraińców po 2022 r.".

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

eprasa.pl 0f983c43b1



FUNDACJA SŁONECZKO

To nie jest historia o pieniądzach

Ja tu opowiadam o butach, pasach, poduszkach przeciwodleżynowych. O śrubkach w wózku, które nie wytrzymują napięcia. O ciszy, która boli bardziej niż krzyk. Bo zwykle jest tak: najpierw się prosi, a potem tłumaczy. A ja nie umiem prosić, kiedy nie opowiem.

To nie jest historia o pieniądzach. To jest historia o tym, że człowiek czasem musi kupić sobie kawałek ruchu. Kawałek oddechu. Kawałek jutra. Są rzeczy, które wyglądają jak luksus, a są tylko ratunkiem.

Jak pan słyszy „fura", widzi pan błyszczący lakier. A ja widzę samochód, do którego można wjechać wózkiem. Widzę wózek za kilkanaście tysięcy – wymieniany co dwa, trzy lata, bo pękają oparcia, psują się podnóżki, zużywają poduszki. Poduszka przeciwodleżynowa potrafi kosztować 4 tysiące. Buty – 1700 zł, choć dziecko nie chodzi. Stabilizują stopę, żeby przy podparciu nie złamać nogi.

Najdroższy jest dotyk. Ten fachowy, który prostuje ręce, rozluźnia, nie pozwala ciału zamienić się w bryłę bólu. Około 200 zł za godzinę. A co to jest godzina, kiedy walczy się o przyszłość?

NASZE SŁONECZKO

Urodziłem się z dodatkowym 21. chromosomem. Wtedy nie było internetu, mama nie mogła sprawdzić, co to znaczy. Ćwiczyła ze mną na kuchennym stole, między wałkowaniem ciasta a lepieniem pierogów. Od tego zależało, czy kiedyś postawię nogę. Rehabilitacja nie jest po to, żebym biegał jak w reklamie. Jest po to, żebym za pięć lat mógł trzymać sztućce. Żebym nie cofał się. Żeby ciało nie poddało się wcześniej niż ja.

Z jednego dziecka zrobiła się wspólnota. W 2004 roku powstała Fundacja „Słoneczko". Najpierw kilkadziesiąt osób, potem 500. Dziś ponad 12 tysięcy podopiecznych. To całe miasto – bez rynku i ratusza, za to z wózkami, ortezami, turnusami, fakturami i rodzicami, którzy nie śpią tak, jak pan śpi.

TO NIE FANABERIA

Adrian miał osiem lat, gdy potrącił go samochód. Uraz czaszkowo-mózgowy, śpiączka, czekanie bez końca. Dziś ma niedowład czterokończynowy. Każdy ruch to efekt pracy, nie cudu.
Turnus rehabilitacyjny to harówka. Przenoszenie z wózka na łóżko kilkanaście razy dziennie. Ćwiczenia, które bolą. „Fura" u nich to nie fanaberia – to samochód, który pozwala ruszyć się z domu. Wózek kosztuje kilkanaście tysięcy. Sprzęt się psuje, mięśnie napinają się jak u sportowca. Wszystko trzeba wymieniać.

PIĘĆ LAT NA JEDEN KROK

Nina przestała osiągać kolejne etapy rozwoju, gdy miała pół roku. Rezonanse, wizyty u specjalistów, pytania: przejdzie? Nie przeszło. Pierwszy samodzielny krok – w ortezach, po latach ćwiczeń – postawiła w wieku pięciu lat. W 2025 roku usłyszała diagnozę: ultrarzadka choroba genetyczna „pod maską mózgowego porażenia dziecięcego".

Dziś potrzebuje stałej rehabilitacji, opieki okulistycznej, ortopedycznej, psychologicznej. Sprzętu. Wsparcia. Mimo to chce żyć pełnią życia.

NAMIASTKA WOLNOŚCI

Roksana ma 22 lata i czterokończynowe mózgowe porażenie dziecięce. Nie chodzi. Nie siada. Jej wózek to namiastka wolności – możliwość pojechania do ludzi, a nie patrzenia na nich przez okno.

1,5% NA ŻYCIE

Pan pewnie czeka, aż poproszę. No to proszę.

Dla pana to jedno kliknięcie. Dla nas – wózek, turnus, prywatna wizyta wtedy, gdy nie da się czekać. Prowadzimy bezpłatne subkonta, pomagamy tysiącom rodzin. W zespole pracują także osoby z niepełnosprawnością.

Najważniejsze jednak dzieje się po cichu – w fakturach i w dotyku.

Mam na imię Kuba. Mam 34 lata i zespół Downa. Ode mnie to wszystko się zaczęło. Ja byłem i jestem Słoneczkiem. Pan też może.

A gdyby pan zapytał, co powiedziałbym, żeby zachęcić do przekazania 1,5% podatku, odpowiedziałbym prosto: Kocham cię.

Podaruj 1,5% podopiecznym Fundacji.
To nic Cię nie kosztuje.
Bądź dla kogoś Słoneczkiem.

Podaruj to, co najważniejsze

fundacja słoneczko
Rozwój. Wsparcie. Moc.

Przekaż 1,5% podatku
dla Podopiecznych Fundacji Słoneczko
Numer KRS
0000186434

ZESKANUJ KOD I POMÓŻ

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 0f983c43b1

KURS DO ŚRODKA

TOMASZ ORGANEK, MUZYK:

Wyzbycie się żółci, wyrzutów, żalów zatruwających myśli i uczucia, jest krokiem do życia na własnych warunkach. W sumie to ostateczna rozgrywka o samego siebie. Jedyne, co mogę zrobić, to odpuścić.



MARTA KACPRZAK

eprasa.pl 0f983c43b1

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Wybiegasz myślami w przyszłość?

TOMASZ ORGANEK: Przyzwyczajam się do faktu, że w tym roku, w Andrzejki, skończę 50 lat.

Jakieś przygotowania?

Odwyk od mediów społecznościowych.

BHP dla mózgu?

Łatwo nie było, ale odstawiłem silne bodźce, które są w telefonie i tych wszystkich migających obrazkach płynących z nadmiaru ekranów dookoła. W takim zalewie już nie widzi się szczegółów i półcieni. A tylko one mogą dawać wgląd w istotę rzeczy.



TOMASZ ORGANEK – muzyk, kompozytor, wokalista, autor tekstów, założyciel zespołu Ørganek. Na zdjęciu: w opuszczonym już rodzinnym domu w Raczkach

W jakim sensie?

W takim, że trzeba zanurkować głębiej. A nie zatrzymać się na tym, co powierzchniowe. Zdumiewa mnie, że ludzie dziś wszystko rozumieją dosłownie. Ironię, sarkazm, tekst piosenki, wiersz. Literalizm – choroba, o której pisała Olga Tokarczuk w liście pożegnalnym dla prof. Marii Janion. Coś takiego jak metafora przestaje być czytelne. No, ale na czym się jej uczyć? Na serialach Netliksa? Rolkach z TikToka? Ja od tego świata uciekłem. Nawet muzyki mało słucham.

Muzyki?

Cierpię na dźwiękową nadwrażliwość. Taki paradoks, bo mój zawód skazuje mnie na dźwięk, nawet hałas. Ale jak tylko mam możliwość, wyłączam wszystko.

Cisza koi?

Prawdę powiedziawszy, prawie nic nowego już mnie nie wzrusza i nie frapuje. Wszystko jest coraz bardziej uładzone, wydelikacone i nudne jak flaki z olejem. Ludzie co chwila popadają w jakieś mody, zachwycają się byle czym.

Nadchodząca 50-tka skłania do rewizji życia?

O tyle nie, że dystans wobec trudów przeszłości pojawił się we mnie już wcześniej. Moje życie naznaczyły przede wszystkim ważne śmierci, począwszy od tej ojca. To był rok 1992. Usłyszałem krzyk matki z pokoju obok...

Nagłe odejście?

Wpływające na życie całej rodziny, na jej kondycję. Mama została sama ze mną i młodszym bratem. W domu jeszcze były dwie babcie. Wychowywały mnie więc kobiety.

Matriarchat?

Babcia Waleria, matka mojego ojca, w domu postać najsilniejsza. Rządząca. Umarła w wieku 94 lat. I babcia Stefania, mama mojej mamy. Była babci Walerii podległa. Dość zabawna zależność, choć jak ktoś obserwował to z zewnątrz, nie rozumiejąc układu, mógłby się nawet zbulwersować. Babcie były mniej więcej równolatkami, mimo to Stefania mówiła: „pani Walerio", a Waleria zwracała się do niej per „Stefanio", jak do służącej. Stefania nigdy nie powiedziała do niej per „ty", sama taką decyzję podjęła. Była delikatną, bogobojną kobietą z malutkiej podlaskiej wsi. A pomiędzy babciami stała moja mama, która wdową została jako 36-latka.

Dużo za wcześnie.

Ojciec był moim bohaterem. Chodził w skórze, palił Marlboro, czytał Raymonda Chandlera. Grał na gitarze i perkusji, słuchał Hendriksa, Beatlesów i Nalepy. Chciałem być jak on.

Wspólny czas?

Przez pewien czas jeździł na taksówce Mercedesem, tak zwaną beczką, którego przywiózł z Niemiec. I zabierał mnie do tej taksówki, numer 3. Taki obrazek: czekamy na postoju na ryneczku w Raczkach, gadamy, słuchamy muzyki i jeździmy z klientami po okolicznych wioskach. Żadnych fajerwerków.

Zwyczajność?

Ojciec zabierał mnie czasami na próby swojego zespołu, kilka domów dalej, u państwa Czuprów, na wylocie do Suwałk. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie „A Whiter Shade of Pale" zespołu Procol Harum, z organami Hammonda na wstępie. To było zanurzenie się w obcy, wspaniały świat, do którego od razu chciałem należeć. Ojciec mi go pokazał.

Zachowały się nagrania?

Kasety magnetofonowe. Oraz kasety wideo z nagraniami wydarzeń rodzinnych. Jesteśmy na nich wszyscy – mama, brat, ojciec, ja. Ale do dzisiaj ich nie włączyłem. Nie jestem gotowy.

Wspomnienia bolą?

Bolą emocje, które te wspomnienia mogą uruchomić. Bo ojciec był barwną postacią, ale był też alkoholikiem. W sumie nie wiadomo, czy lepiej, jak do domu na noc wracał, czy jak nie wracał.

Strach?

Ten strach latami leżał we mnie dobrze zakopany – nieuświadomiony albo na pół uświadomiony Prawie całe dorosłe życie go wypierałem. Dopiero po latach zrozumiałem, że w dzieciństwie bałem się nieustannie. O ojca, o mamę, o brata, o siebie. Byłem niezwykle poruszony, kiedy po raz pierwszy na głos to uczucie nazwałem po imieniu. ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ **Ulga?**

Oczyszczenie. Ale i wyrwa wraz ze śmiercią ojca. Dojmująca świadomość, że nie da się go zastąpić. Sądzę, że śmierć ojca i to, jak za życia funkcjonował w rodzinie, doprowadziła do tego, że w młodości i dorosłości bałem się mężczyzn, miałem z nimi słaby kontakt, nie umiałem budować relacji.

W zespole Ørganek przecież są sami mężczyźni.

Ale to niczego nie zmienia. Choć tym samym busem od dwudziestu lat jeździmy razem w trasy i więcej czasu spędzamy ze sobą niż z rodzinami. Braku zaufania do mężczyzn nie rozwiązuje się żartami w busie czy wspólną kolacją w hotelu. Lubimy się, szanujemy. Tyle że to jest koleżeństwo, męska szorstka przyjaźń, nic ponad to.

Jak poszedłem do liceum, to sobie ubzdurałem, że to będzie mat.-fiz. Po miesiącu byłem kompletnie zagubiony w tych całkach, ciągach liczbowych, tangensach i cosinusach. Któregoś dnia na korytarzu spotkałem dwóch kolegów z humana. Powiedzieli, żebym się nie męczył i przepisał do ich klasy. Będę czytać książki, śmiać się, gadać, pisać itp. Przeniosłem się więc do klasy, w której z wyjątkiem naszej trójki były same dziewczyny. To była najlepsza decyzja, jaką mogłem podjąć w tamtym czasie.

Sprytnie.

Tyle że jak umarł tata, mama powiedziała: ty jesteś teraz najstarszym mężczyzną w rodzinie.

Co to znaczy dla piętnastolatka?

To znaczy, że musiałem wziąć odpowiedzialność. Za mamę, brata i sklep, bo tata też prowadził taki niewielki interes z owocami, warzywami, kwiatami.

Zbyt dużo na dziecięcą głowę.

W psychologii jest taki termin: bohater rodzinny. To ja nim byłem. To ja poszedłem do księdza załatwiać pogrzeb ojca, bo mama nie była w stanie. Ja musiałem jeździć do Augustowa samochodem bez prawka po zaopatrzenie do sklepu. Musiałem załatwiać mnóstwo rzeczy, bo czułem, że to jest mój obowiązek. I że mu sprostam. To mnie nobilitowało we własnych oczach.

Planuję zejście ze sceny mainstreamowej, to mnie przestało interesować: telewizja, amfiteatry, wielkie sceny, festiwale, nagrody.

W psychologii jest jeszcze inny termin adekwatny do tej sytuacji: parentyfikacja.

Odwrócenie ról, dziecko przejmujące obowiązki dorosłego. Jeszcze za życia ojca słyszałem takie zadania: „No, idź po tatę do knajpy". I szedłem. Wyobraź to sobie: przy barze siedzi zanietrzeźwiony ojciec, przychodzi synek i mówi: „Tato, ale chodź już do domu".

A tata?

Nie idzie.

Co robi dziecko?

Czuje się źle, bo nie jest w stanie sprostać temu wyzwaniu właśnie dlatego, że jest dzieckiem. Dziś współczuję temu dziecku, które poddano takiej presji. To okropnie demoralizujące.

Ale wcale nie rzadkie.

Kiedyś ojciec wyszedł do mnie przed knajpę i się tłumaczył, że musi zostać, bo coś tam. Nawet się rozpłakał z bezradności. On wiedział, że ma problem z nałogiem, ale nie umiał z niego wyjść. Zapewne był też w depresji i zapijał swoje bóle, smutki, niedostatki. Widziałem, że przeżywa ten alkoholizm mocno. Na drugi dzień, już na kacu, kajał się, przepraszał.

Jak wygląda dorosłość bohatera rodziny?

Myśli się: muszę stanąć na głowie, by wszyscy byli szczęśliwi. Mam ratować każdego, cały świat, czyli przede wszystkim swoją rodzinę. Ten mechanizm wpisuje się mocno w konstrukcję psychiczną. Dziecko tłumi swoje prawdziwe emocje pod maską niezwyciężonego, ale wewnątrz jest samotne i przerażone, z przeraźliwie niską samooceną. To prowadzi do katastrofy w relacjach tworzonych wiele lat później.

Tych partnerskich?

Ale nie opartych na partnerstwie, tylko na krzyżowych relacjach. Ten rodzinny bohater jako dorosły czuje się ciągle gorszy, niedoceniony, niezrozumiany i umęczony samym sobą. Wyręcza ludzi, wchodzi w nie swoje role, bo spala go niekończąca się potrzeba kontroli. Ja również przejmowałem opiekę. Poniekąd ojcowałem. A z drugiej strony sam oczekiwałem matkowania... Przecież matka była całe życie najbliżej. Tworzy się w ten sposób dziwna plątanina zależności.

Powiesz więcej o mamie?

Po śmierci taty popadała w stany depresyjne, nerwice, które objawiały się np. padaczką... We mnie i bracie budziło to strach. Wiedzieliśmy, co to oznacza, że mama jest „chora". Albo jak zbliża się moment, że zacznie chorować. I znowu trzeba się wszystkim zająć.

Mama zmarła dziewięć lat temu. Przez rok walczyła z nowotworem trzustki. Umierała z pełną świadomością. Ostatnie zdjęcie zrobiłem jej w Wielkanoc. Chudziutka, waży 35 kg, w ręku trzyma koszyczek. Ale myśmy zagadywali jej śmierć, nie umieliśmy o niej rozmawiać.

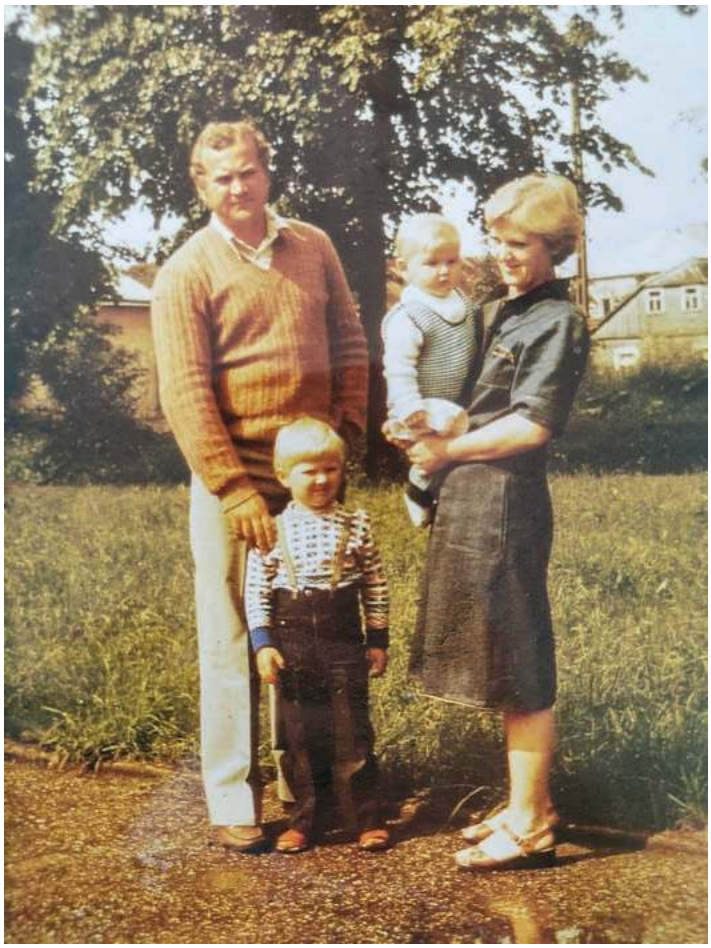
Bo to piekielnie trudne.

U nas w domu w ogóle nie mówiło się niczego wprost. Wszystko było dookoła. Albo niedopowiedziane, albo przemilczane. Jeśli dochodziło do jakichś otwartych rozmów, to toczyły się na wysokich emocjach. Nie miały cech dialogowania: spójrz na to z innej perspektywy, można dokonać jeszcze takiego wyboru, szukajmy rozwiązania. Ale w sumie też trudno mi się temu wszystkiemu dziwić.

Dlaczego?

Mama i ojciec byli bardzo niedojrzali, mieli po 20 lat, kiedy okazało się, że zostaną rodzicami. Urodziłem się w roku 1976, gdzieś na wschodnich rubieżach Polski, na zupełnej prowincji. Obie rodziny katolickie – dziewczyna przy nadziei, to trzeba brać ślub. Rodzice nie mieli za bardzo wyjścia, tak się wtedy robiło. Oni nawet nie mieli czasu, by się siebie nauczyć, jakoś poznać. A cztery lata później urodził się mój brat. I on wyniósł lepsze doświadczenia z rodziny, nie pamięta tylu złych rzeczy. Dzisiaj wiedzie całkiem niezłe życie. I ma dzieci.

eprasa.pl 0f983c43b1



ARCHIWUM PRYWATNE

Moi rodzice: Wojciech i Wanda oraz ja z bratem Marcinem na rękach mamy. Park w Raczkach na przełomie lat 70. i 80.

A Ty?

Ja nie mam, bo bałem się je mieć. Panicznie. Dopiero teraz zaczynam zmieniać zdanie, inaczej odczuwać i rozumieć odpowiedzialność. Zdrowieję emocjonalnie.

Udało się?

Patrzę w tej chwili na swoich rodziców jak na ludzi, a nie jak na matkę i ojca... Oni też byli kiedyś dziećmi, ich też ktoś starał się wychować, pewno niejedno zaniedbał. Ale to były też zupełnie inne czasy.

W teledysku do „Samolotów" w pewnym momencie mówisz, że mama zawsze w Ciebie wierzyła i żałujesz, że Twój ojciec nie może zobaczyć, kim jesteś dzisiaj.

Mama, na zasadzie kompensacji widziała siebie we mnie. Synek poszedł w świat, radzi sobie i jest w porządku. Trochę realizowałem jej marzenia, jak ona chciałaby żyć. Tylko jej się nie udało. Dlatego mi zawsze kibicowała. Chociaż początki bywały trudne. Skończyłem na UMK anglistykę i mama mówiła: „Idź do normalnej roboty, w weekendy będziesz grał". Ja na to, że nie mogę tak robić, że się nie uda. Jeśli chcę żyć z muzyki, muszę być w tym na sto procent. Bywało, że niewiele było nadziei, możliwości, pieniędzy, czasem nawet na jedzenie brakowało.

Pogodziłeś się z rodzicami.

Zaocznie, ale zrobiłem to. Najdłużej zajęło mi godzenie się z ojcem. Po jego śmierci najpierw byłem w szoku, potem czułem pustkę. A jeszcze później, jak już zaczynałem więcej rozumieć, przyszedł ogromny zawód. Moje życie mija, a ojca nie ma. I on na własne życzenie zrezygnował z tego, byśmy byli razem. Nie mogłem z nim już rozmawiać, przeżywać życia, renegocjować żadnych warunków.

Wybaczenie, o którym rozmawiamy, potrzebne jest do tego, żeby pogodzić się z samym sobą. To wyzbycie się ogromu bólu, żółci, wyrzutów, żalów zatruwających myśli i uczucia, jest krokiem do życia na własnych warunkach. Wyzwolenie się z cienia przodków, dziedzictwa. W sumie to ostateczna rozgrywka o samego siebie. Jedyne, co mogę zrobić, to odpuścić.

Sobie też?

Do niczego dobrego nie prowadzi ciągłe ruganie siebie, stawianie pod pręgierzem, co ja źle zrobiłem i ile we mnie jeszcze niedostatków. Ja już nie mam czasu na samobiczowanie. Nie ścigam się też z młodością, ona minęła. Bezpowrotnie.

Żal?

Z tym się też godzę. Chyba właśnie przebrnąłem przez tzw. kryzys wieku średniego. Kiedyś myśl, że się będę starzał, traktowałem jako czysty abstrakt. Wszystko mogłem, byłem rozwichrzony, miotałem się, moja uwaga była wszędzie, nie wiedziałem, na co spojrzeć.

A teraz przyszedł moment, kiedy zauważam zmiany w ciele, brakujące siły. I zaczyna się liczyć co innego.

Co?

Skupienie. Taki rodzaj dystansu, którego nigdy mi nie brakowało, ale teraz jest w nim jeszcze spokój. Bez zbędnej nerwowości i napięcia. To prowadzi do większej niezależności i pewności w działaniu. A może to się nazywa dojrzałość? Przychodzą też nowe, niczym nieskrępowane pomysły do głowy. Na przykład taki, by w końcu napisać kolejną książkę. Albo założyć nowy zespół. Planuję zejście ze sceny mainstreamowej, to mnie przestało interesować: telewizja, amfiteatry, wielkie sceny, festiwale, nagrody.

Co Ty mówisz!

Spełniłem swoje ambicje, nie mam większych. Niczego tu nie znalazłem poza umiarkowaną popularnością. Nasyciłem się – nic mi to już nie daje w sensie artystycznym, towarzyskim ani żadnym innym. Dziś do takiej wzmożonej ekspozycji potrzebny jest duży kompromis artystyczny, a ja mam w głowie coś zupełnie odwrotnego. Kariera się wydarzyła, ona była na zewnątrz – eksplozywna. Angażująca pół Polski, długie trasy, wielu ludzi, spektakularna organizacja. To nie jest kwestia liczby sprzedanych biletów, tylko pewnej zgody co do kierunku i sposobu, w jaki chciałbym się rozwijać. A on jest teraz do wewnątrz. Właśnie: dla mnie najważniejsze jest to, by się zespoić wewnętrznie. To gwarancja sukcesu na polu zawodowym i prywatnym. Chyba jestem na dobrej drodze.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

eprasa.pl 0f983c43b1



Wiara mnie jara

MARCIN TUSIŃSKI

EWANGELIZACJA | Żarliwe uwielbienie i nowoczesny design. Krakowska wspólnota ewangelizacyjna przyciąga setki osób, które czekają na powtórne przyjście Pana.

Logo na szybie to napis „Głos na Pustyni" i mężczyzna w szortach. Postać wznosi ramiona ku niebu w geście „Y", którym w górach wzywa się helikopter na pomoc.

Ulica Balicka 214, Kraków. Miłe powitanie przez młodych uśmiechniętych ludzi. Przydymione światło szatni i zapach szarugi przyniesionej na ciemnych płaszczach. A kilka kroków dalej – jasna, wykończona skandynawskim drewnem sala i rzędy foteli otoczone półkolistym sklepieniem. Dwie setki ludzi: dobrze ubrani dorośli, rozbiegane dzieci. Gwar.

Po lewej stronie – profesjonalna konsola dla didżejów. Z przodu – potężny drewniany krzyż i scena jak na koncertach. Po prawej – ściana pełna obrazów o religijnej symbolice: gołębie, lwy, motywy przyrodnicze. Powyżej antresola dla rodzin z dziećmi.

Na początku ruch, krzątanina. Aż nagle – wybuch muzyki i pieśni „uwielbieniowych". Modlitwa za królów, przywódców państwowych i prezydenta. Za papieża, biskupów i księży. „Posyłaj im anioły, które będą ich prowadzić do Ciebie". A potem za Gosię i Karola, liderów ruchu: „Wylewaj na nich swe charyzmaty!". Gitara, keyboard, wokal. Ludzie wznoszą ręce i bujają się w takt muzyki, a dzieci z harfami tańczą pośrodku sali. Ekstaza.

Z korporacji do fundacji

Wspólnota charyzmatyczna Głos na Pustyni powstała w 2011 r. Założyciele podkreślają, że błogosławił im sam Grzegorz Ryś, wtedy biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej. To on powołał Sekretariat ds. Nowej Ewangelizacji, który do dziś prowadzi Karol Sobczyk, psycholog i współzałożyciel Głosu. Małgorzata Sobczyk pracowała wówczas w korporacji.

Zaczynali od małego pokoiku w prywatnym mieszkaniu. Grupa modlitewna rozrosła się szybko w dużą i rozpoznawalną wspólnotę, której członkowie z czasem powołali fundację. Dostali asystenta kościelnego ze strony krakowskiej kurii, franciszkanina, o. Mariusza Orczykowskiego.

Pracy jest dużo. Sobczykowie cały swój czas poświęcają fundacji. Zatrudniają siedem osób, które zajmują się wydawnictwem, pomocą charytatywną, administracją, organizacją pracy wspólnoty, poradnią psychologiczną i działem PR.

– Podczas spotkań mamy jeszcze „posługę": parkingowego i witających – wyjaśnia pani Małgorzata.

– Miękka wykładzina na podłodze ma sprawić, żeby ludzie poczuli tutaj zalążek domu. Chcemy, żeby wszystko wokół reprezentowało Boga, na miarę naszych możliwości. Spotkania są świętowaniem. Śpiewamy i wywyższamy Boga.

Cztery filary

– Różnica między koncertem muzyki chrześcijańskiej a uwielbieniem jest taka, że koncert zazwyczaj służy rozrywce, a uwielbienie jest głęboką modlitwą, w której się spotykam z Bogiem – mówi Ewa Nowak.

W trakcie pandemii śledziła konta chrześcijańskich twórców na Instagramie i przeżyła „przebudzenie wiary". Zaczęła czytać codziennie Pismo Święte. Potem założyła własny profil o treściach chrześcijańskich. Zawodowo zajmuje się mediami społecznościowymi projektu ewangelizacyjnego „Blisko Rahamim", stworzonego przez Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia z krakowskich Łagiewnik.

eprasa.pl 0f983c43b1

Nawrócenie dużo ją kosztowało: straciła część znajomych, z którymi kiedyś imprezowała. Wspólnotę odnalazła w Głosie na Pustyni. Poznała cztery filary, na których oparta jest wspólnota (Słowo Boże, jedność chrześcijan, przekonanie o istotnej roli Izraela w Bożym planie zbawienia oraz czekanie na powtórne przyjście Jezusa) i upewniła się w swym wyborze.

– Te rzeczy zaczęły odgrywać dużą rolę w moim życiu – mówi, podkreślając jednocześnie, że wspólnota nie zastępuje jej całości uczestnictwa w życiu Kościoła, lecz go dopełnia.

Jak krzak Mojżesza

Wracam do jasno oświetlonej sali. W rogu wielki tablet z napisem: „Dziękujemy za tworzenie tego miejsca z nami" oraz czytnik kart płatniczych. Obok – stojak z egzemplarzami Pisma Świętego na sprzedaż. Za mną – księgarnia z publikacjami Głosu na Pustyni.

Uwielbienie dobiega końca. Na scenie pojawia się łysy mężczyzna z rudą brodą, w granatowych dżinsach i katanie. „Bóg żyje! Amen?!" – krzyczy. „Amen!" – odpowiada tłum. „Najważniejszy jest Pan, ale wy zaraz za Nim! Amen?!". „Amen!".

Tematem jego wystąpienia jest „Przymierze krwi. Potęga relacji z Bogiem". „Czeka na ciebie rzeczywistość lepszego przymierza! Dlaczego?!" – pyta prowadzący. „Bo takie jest serce Ojca!" – odpowiada sam sobie. „Jara cię to, brachu?! Mnie to jara jak krzak Mojżesza!". Zapamiętałem jeszcze opowieść o afrykańskich plemionach Szibilibi i Szubulubu, która miała zobrazować, czym jest przymierze.

– Mamy różnych mówców z różnymi ekspresjami i wrażliwościami. Ich życie świadczy jednak o tym, że poszli za Jezusem – tłumaczy Małgorzata Sobczak. – Ten dziś na scenie to Michał Nikodem. Jest konferansjerem i prowadzi zabawy na weselach. Taki ma styl.

W ostatnich tygodniach z tego samego miejsca przemawiali m.in. psychoterapeuta Krzysztof Demczuk, ks. Radek Rakowski, kulturoznawca Jakub Krauze czy znany biblista, prof. Marcin Majewski. Spory rozrzut osobowości i tematów.

Odnowione ciała

Siedzimy za wielkim stołem w sali konferencyjnej, tuż za ścianą. Czysto, cicho, profesjonalnie. Zapach nowości. Pytam, w co konkretnie wierzą założyciele i członkowie wspólnoty?



MACIEJ CHUDZIKIEWICZ / WSPÓLNOTA GŁOS NA PUSTYNI X2

Zdjęcia ze spotkania wspólnoty Głos na Pustyni. Powyżej: Ewa Nowak.

– Bóg ma plan, który jest opisany w Biblii. Od wybrania Abrahama i stworzenia ludu Izraela, aż do przyjścia Zbawiciela całego świata. Końcem planu jest powtórne przyjście Jezusa, o którym w naszym Kościele mówi się stosunkowo niewiele – tłumaczy Małgorzata.

Pytam, jak to będzie wyglądało.

– Czekamy na powtórne przyjście w sensie fizycznym. Słowo Boże mówi, że śmierć zostanie pokonana i będziemy mieli odnowione, zmartwychwstałe ciała, które nie będą podlegać chorobie. Nadejdzie Królestwo Boże i to będzie fizyczne królestwo – odpowiada założycielka wspólnoty.

– Podczas każdej Eucharystii wszyscy katolicy na świecie wypowiadają słowa: „Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale". To wszystko jest. Tylko nieodkryte, niezaakcentowane – kończy.

Sukces i uzdrowienie

Po wystąpieniu mówcy atmosfera w sali się zmienia. Trzecia część wieczoru przebiega w głębszej zadumie. To czas poświęcony modlitwie wstawienniczej.

– Czasami wychodzi z tego coś konkretnego: uzdrowienia, Boże prowadzenie w pracy – tłumaczy Tomasz Pradela, członek wspólnoty. – Ludzie proszą o modlitwę za zwykłe, codzienne sprawy: uzdrowienie chorego kręgosłupa czy strun głosowych. Potem czasami piszą maile, że faktycznie im się polepszyło. Pan Bóg chciał ich uleczyć – dodaje.

Tomasz kilka lat temu przeprowadził się do Krakowa z żoną Agnieszką i czworgiem dzieci. Mieszkają w domu na obrzeżach miasta. On jest inżynierem w firmie budowlanej, ona filolożką i menadżerką kultury, aktualnie opiekującą się dziećmi. Do pierwszej wspólnoty charyzmatycznej trafili dużo wcześniej, w Warszawie.

– To był taki moment, w którym powstało kilka grup charyzmatycznych: Głos na Pustyni, Metanoia, Głos Pana, Dom w Ramionach Ojca, Abba – wylicza Agnieszka. Wspólnoty religijne stały się punktami zakotwiczenia w nomadycznym stylu życia Pradelów. Mieszkali w Warszawie, Poznaniu, teraz w Krakowie. – Dzięki temu mamy relacje z ludźmi o podobnych wartościach – mówi Agnieszka.

Dzieci Pradelów uczestniczą w spotkaniach dla najmłodszych, podczas których łączą zabawę z zajęciami biblijnymi i wspólną modlitwą. Rodzice z kolei należą do małej grupy domowej, jednej z wielu działających w Głosie na Pustyni. Podczas spotkań studiują Biblię, słuchają świadectw wiary, wspierają się nawzajem z innymi rodzinami. Są zaangażowani w tworzenie muzycznej oprawy środowych spotkań wspólnoty.

– W taki sposób możemy się spotkać z Duchem Świętym. Dajemy sobie otwartość na to, że w ramach muzycznej przestrzeni On też będzie się z nami komunikował. Dajemy się prowadzić – mówi Tomasz.

Fundament i sztafeta

Nim przystąpi się do Głosu na Pustyni i jednej z grup domowych, trzeba przejść kurs Fundament. W taki sposób weszła do wspólnoty Ewa Nowak.

– Są tam osoby wierzące i niewierzące, które poznają, czym jest chrześcijaństwo oraz jak wygląda życie we wspólnocie – tłumaczy Karol Sobczyk.

– Raz w miesiącu trwamy również w sztafecie modlitewnej, podczas której co pół godziny przekazujemy sobie modlitwę, którą otaczamy osoby po ludzku nieuleczalnie chore z naszej wspólnoty. Dotykamy tematu służby, bo każdy z nas ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ ma jakieś miejsce swojej posługi – ciągnie.

W przypadku Ewy Nowak to goszczenie przybyłych na środowe spotkanie.

– Na koniec wspólnie podejmujemy decyzję, czy widzimy w tej drodze Boże prowadzenie i czy chcemy razem dzielić życie we wspólnocie – kończy Sobczyk.

Ryzykowny charyzmat

– Zawsze trzeba być czujnym – odpowiada Ewa Nowak na moje pytanie, czy nie obawia się ryzyka związanego z projekcją, hermetycznością grupy lub gloryfikacją prowadzących. Pytanie nie bezzasadne, biorąc pod uwagę choćby ostatnio opisywaną historię megakościoła Bethel Church, którego lider czerpał „proroctwa" z internetu i wykorzystywał seksualnie podwładnych.

– Dobrze jest mieć autorytety, ale niebezpieczne jest opieranie swojej wiary wyłącznie na zdaniu jednej osoby, bez uwzględnienia szerszego nauczania Kościoła oraz prawdy zawartej w Ewangelii – tłumaczy.

– Zadaniem lidera jest zachęcać, wspierać w wierze, powierzać odpowiedzialność. Podążamy za Jezusem, budujemy razem wspólnotę. Ale wiem, że są takie miejsca w Kościele katolickim, gdzie mówi się nieprzychylnie o charyzmatach. A przecież rozdział 12 Pierwszego Listu do Koryntian mówi, że to dar dla każdego z nas. Jako chrześcijanie jesteśmy posłani do posługiwania zgodnie z charyzmatem, czyli z tym, czym obdarował nas Duch Święty. Wierzę, że charyzmatyczność może wychodzić z kontemplacji i do kontemplacji prowadzić – kończy.

Pradelowie na to samo pytanie odpowiadają z przekonaniem, że to, co robią, jest osadzone w kontekście Kościoła katolickiego. Dlatego nie rezygnują z cotygodniowej mszy i co jakiś czas jeżdżą na rekolekcje ignacjańskie. – Czy ktokolwiek, kto dzisiaj nazywa się osobą wierzącą, nie boi się tego, o czym mówisz? Wszyscy ryzykują. Wiara zakłada, że po prostu: wierzymy. I że musimy zaufać – odpowiada mi Agnieszka.

Z kolei Sobczykowie przekonują, jaką wartością jest dla nich zespołowe przywództwo. Liderzy grup korzystają z pomocy spowiedników i towarzyszy duchowych.

– Każdy dorosły, z około dwustu członków wspólnoty, należy także do domowych grup formacyjnych – tłumaczy Karol Sobczyk. – Czytamy Słowo i staramy się wprowadzać je w życie. Staramy się być dla siebie autentyczni, dzieląc się naszym życiem. W szczerości i otwartości.

Uciecha z modlitwy

Wracam do Ewy Nowak z pytaniem o rozbawioną, roztańczoną formułę środowych spotkań.

– Gdy wchodzisz tu z ulicy, nie znając kontekstu, widzisz skaczących, tańczących ludzi i możesz oceniać to po pozorach, zupełnie nie wiedząc, co dzieje się w ich wnętrzach. Nie wyobrażam sobie chrześcijaństwa bez ciszy i kontemplacji – mówi Ewa.

– Ale też wierzę, że wyrażamy się również poprzez swoje ciała. Taka forma modlitwy pomaga mi się spotkać z Bogiem i wbrew pozorom skupić się tylko na Nim. Robię tak również w domu, choć to nie jedyna praktykowana przeze mnie forma modlitwy. Środowe spotkania Głosu są ważną częścią mojego życia i myślę, że trudno bez wspólnoty żyć wiarą i rozwijać się w niej.

– Dostajemy od Boga to, co najlepsze, więc chcemy przekazać to dalej, tym, z którymi się dzielimy. Teoretycznie każda parafia mogłaby tak wyglądać – mówi Tomasz Pradela.

– Życie we wspólnocie to nie tylko branie, lecz także dawanie. W ten sposób uczymy się, że innych mamy traktować tak, jak samych siebie. I odwrotnie. Modlitwa grupy ma moc.

– Naszym pragnieniem jest odnowiony Kościół pełen odnowionych ludzi, którzy w mocy miłości i jedności, świadomi swojego dziedzictwa duchowego zwiastują Królestwo Boże – mówi Karol Sobczak.

– A to oznacza: doświadczyć na sobie bezwarunkowej miłości. Jest wielu nominalnych katolików, którzy idą do kościoła, ale ich życie nie ma związku z tym, co usłyszeli. Ci, którzy doświadczą miłości, bezwarunkowego przyjęcia, wiedzą, że naszym zadaniem jest na nie odpowiedzieć. I że to przemienia całe życie.

© MARCIN TUSIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 0f983c43b1

Strażak M.

PAULINA GUZIK

PRZEMOC | Były dominikanin, skazany za seksualną przemoc, udziela w internecie porad, przedstawiając się jako ofiara systemu.



MARIANNA OSKO / EAST NEWS

Kościół dominikanów we Wrocławiu

Paweł M., oskarżany o przemoc duchową, fizyczną i seksualną wobec kobiet, został trzy lata temu skazany prawomocnym wyrokiem na karę bezwzględnego pozbawienia wolności za gwałt na zakonnicy – jedyne przestępstwo, które w momencie przedstawiania mu zarzutów nie było przedawnione. Nie jest już ani zakonnikiem, ani księdzem. Jak ujawnił Szymon Piegza na łamach „Newsweek Polska", został internetowym coachem, reklamującym swoje usługi w internecie jako „strażak", który stracił „dom, pracę, przyjaciół, sens, wolność", ale chce pomóc innym przejść „transformację, jakiej on doświadczył". Elementami jego terapii są m.in. „dotknięcie serca", „praca z uczuciami" i „wejście we wspólnotę".

BEZKARNOŚĆ | Mój tekst o Pawle M. („Dominikańska recydywa") ukazał się na portalu „Więź" w marcu 2021 r. Opowiadał historie kobiet skrzywdzonych przez byłego duszpasterza z Wrocławia.

Zaczęło się od duchowego uwiedzenia całej wspólnoty. Potem doszła przemoc wobec wybranych kobiet. „W imię Trójcy Świętej": bicie, gwałty, manipulacja. Duszpasterstwo przybrało rysy sekty.

Przez niemal dwadzieścia lat Paweł M. funkcjonował praktycznie bezkarnie. Gdy młode kobiety zwróciły się do zakonu o pomoc, starano się je uciszyć, uznano za ladacznice. Wobec Pawła M. nie wszczęto postępowania kanonicznego, zadowalając się jedynie „zakazami administracyjnymi", które po pewnym czasie przestawano egzekwować. „Pomoc dla ofiar była nieadekwatna" – przyznał po 20 latach prowincjał.

UKŁUCIE | Dwa lata po tamtej publikacji w sanktuarium na Bachledówce nagrywałam program dla telewizji. Kiedy skończyłam pracę, podeszła do mnie nieznajoma kobieta. „To pani – powiedziała, wbijając wskazujący palec w moje ramię – pani zniszczyła życie Pawła i jego rodziny". Pamiętam do dziś to ukłucie.

Wspomnienie wraca, gdy słyszę w internecie głos Pawła M., reklamującego swą pomoc w „odnalezieniu fundamentów życia". Owszem, pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, była pragmatyczna: skoro nie jest już duchownym, musi z czegoś żyć. Jeśli wybrał coaching, dobrze, że w internecie. Przynajmniej nikogo nie dotknie. Ale zaraz pojawiła się głębsza refleksja. O fundamentalnym fałszu tej propozycji i braku skruchy.

Gdyby Paweł M. pozostał w zakonie, mógłby do końca życia być pod jego kontrolą, lepszą lub gorszą, ale jednak możliwą. Dziś odpowiedzialność za to, by nikogo nie skrzywdził, spoczywa już tylko na jego najbliższych. Być może także na kobiecie z Bachledówki. To oni muszą zobaczyć, że Paweł M. potrzebuje nie tylko pomocy psychologicznej, ale – mówiąc kolokwialnie – „upilnowania".

SKRUCHA | Internetowe nagranie przywołało też inne wspomnienia. Patrząc na jego twarz, myślałam o Theodorze McCarricku, jednym z najpotężniejszych amerykańskich kardynałów, który molestował kleryków (wykorzystał też seksualnie dziecko swoich przyjaciół). Do końca życia nie przyznał się do winy, nie przeprosił. W liście do Jana Pawła II przysięgał na Boga, że jest czysty jak łza. Umarł, negując zniszczenia, których dokonał.

Pamiętam, że po tym spotkaniu w Bachledówce modliłam się za Pawła M., by umiał okazać skruchę, przyznać się do winy, prosić o wybaczenie tych, którym złamał życie. Nagranie z internetu, w którym mówi o sobie jako o ofierze, świadczy jednak o braku refleksji z jego strony.

Zdecydowanie częściej modlę się za prawdziwie Skrzywdzonych. O nich zwykle zapominamy. Pisząc o przestępstwach seksualnego wykorzystania, skupiamy się na oskarżonym, jego winie i karze. Na systemie, który umożliwia takie krzywdy, i instytucji, która je tuszuje. Konieczne jest „nawrócenie na Skrzywdzonych". Słuchanie ich i przyjmowanie jako tych, którzy potrzebują profesjonalnej opieki i empatii.

WRAŻLIWOŚĆ | Ofiarom Pawła M. poświęciłam drugą część mojego dziennikarskiego śledztwa („Dla czystego wszystko jest czyste. Dominikańskie historie prawdziwe", „Więź", 20 lipca 2021). Ich relacje były szczegółowe i szokujące.

Kilka dni później w „Rzeczpospolitej" ukazał się felieton Roberta Mazurka zatytułowany „Nauka płakania". Autor zarzucał mi, że zbyt emocjonalnie, jak na profesjonalnego dziennikarza, opisałam sprawę. Stawiał tezę, że w oskarżeniach Pawła M. chodzi tak naprawdę o wyciągnięcie od zakonu odszkodowania przez grupę „roztrzęsionych kobiet". Bo przecież nie o gwałt. „Prawo karne nie może zakazać dwojgu ludziom współżycia, nawet jeśli jedno jest księdzem, a drugie zakonnicą" – argumentował felietonista.

Gdy w marcu 2023 r. uprawomocnił się wyrok skazujący Pawła M. na trzy lata więzienia, naiwnie czekałam na jakieś „ad vocem" i przyznanie się do błędu.

Niektóre teksty nie starzeją się dobrze. Ja jednak wciąż mam nadzieję, że zestarzeję się w Polsce, w której społeczeństwo będzie bardziej wrażliwe na los osób wykorzystanych seksualnie. Nie tylko w Kościele. ©

eprasa.pl 0f983c43b1

ZUZANNA

Radzik:
Wszystko dla Dzieła



Pan Sekta – tak go przezwałyśmy. Pamiętam jego kremową koszulę z krótkim rękawem, okulary, oraz że było to w okolicach Bożego Ciała. Właściwie nie zauważał dziewczyn, jakbyśmy były przezroczyste. Krążył wokół kilku nastoletnich chłopaków: harcerzy, poważnych, ideowych, jakoś pobożnych, a na pewno wierzących. Zwłaszcza Wojtka wciągał w poważne rozmowy.

Była końcówka lat 90., Opus Dei działało w Polsce prawie od dekady i, jak wszędzie na świecie, także tu rekrutowało członków – zwłaszcza dobrze zapowiadających się, poważnych i religijnych chłopaków. Podobno, gdy studenci przestali się łapać na konserwatyzm i rygorystyczne akademiki, zaczęli szukać przyszłych numerariuszy wśród nastolatków, choć nie pozwala na to prawo kanoniczne. Na całym świecie rozwijali wtedy sieci szkół, elitarnych, kuszących, a im dających dostęp do młodzieży. U nas jeszcze takich nie było, więc Pan Sekta krążył wokół naszych kolegów z harcerstwa.

Wspomnienie kremowej koszuli i tego dziwnego polowania na Wojtka wróciło do mnie przy lekturze śledczej książki o Opus Dei, napisanej przez Garetha Gore'a. Nie specjalizuje się on w czarnych kartach współczesnej historii Kościoła, tylko w upadkach banków. Na temat Dzieła trafił, zajmując się historią hiszpańskiego Banco Popular, gdy ten upadł nagle w 2017 r. Dość nietypowo jak na książkę o potężnym ruchu religijnym, ta zaczęła się więc od serii artykułów w „International Financing Review".

Na początku książka wydaje się ciut przygodowa, potem już głównie mroczna. Mania wielkości założyciela, ambitna wizja nieznosząca sprzeciwu i synergia finansowa z reżimem Franco to tylko kilka niepokojących rysów początku tej organizacji. Choć różne ciemne jej strony były ujawniane przez kolejne książki i dziennikarzy oraz byłych członków, to Gore imponująco rekonstruuje biznesowo-finansowy aspekt ich sukcesu. Oparty również na nadużyciach, korupcji i manipulacji oraz rozbudowanej sieci spółek i organizacji, które rozsiane są po całym świecie, a od których przy jakimkolwiek kryzysie Opus Dei może się odciąć.

Charakterystyczną i umożliwiającą taki sposób działania cechą tej organizacji jest obecna w niej od zawsze obsesyjna kontrola członków – tworzenie kart osobowych, podsłuchy, używanie informacji wrażliwych do wymuszania dotacji. Rozwijanie ruchu cenione ponad osobistą wolność i dobrostan jego członków. Pragmatyzm relacji z władzą i biznesem. Wszystko po to, by mieć możliwości i pieniądze na rozwój Dzieła.

Daleko mi do Opus Dei od zawsze, więc choć mroczna, nie jest to lektura, która sprawiałaby ten rodzaj przykrości, co śledztwa w sprawach środowisk i osób bardziej bliskich. Jednak przy okazji pokazuje ona jakiś rodzaj dziwacznej teologii sukcesu, która panowała i może wciąż panuje w Watykanie oraz w głowach wielu biskupów. Imponuje im szybki wzrost i wielkie dzieła, tworzone za wielkie pieniądze. Czemu tak łatwo uwierzyć, że dzieło jest Boże, gdy rośnie, gromadzi tłumy i przekonuje darczyńców? Aż tak trudno krytycznie spytać, czy członkowie nie są manipulowani, a środki zdobywane bez skrupułów? Może powinniśmy mieć kościelną listę pytań, które należy zadawać, nawet gdy sukces jakiegoś rozwijającego się ruchu czy środowiska uwodzi wielu.

Wśród licznych wątków, groźnych, choć fascynujących, moją uwagę zwrócił ten dotyczący służby w domach Opus Dei. W 1945 r. Josemaría Escrivá zaprzysiągł pierwsze numerarie pomocnicze, które pochodziły z biednych rodzin i były zatrudniane do obsługi w eleganckich domach ruchu i prowadzonych przez niego akademikach. Był świadomy, że niższa klasa członkiń zbuduje w numerariuszach poczucie wyjątkowości. Jak zauważa Gore, był to też sprytny chwyt biznesowy, bo podobnie jak inni członkowie ruchu, również one oddawały organizacji swoje wynagrodzenie. W efekcie pracowały za darmo, obsługując mężczyzn i kobiety z wyższej kasty. Escrivá kwitował, że numerarie pomocnicze to „największy cud, który Pan uczynił dla Dzieła". I wyjaśniał: „One wcześniej po prostu obierały ziemniaki. Teraz poprzez to obieranie ziemniaków osiągają świętość".

Obracam w myślach to zdanie. Wzdragam się, bo ten pomysł na osiąganie świętości jest niebezpiecznie bliski niewolnictwu. Zresztą, dalsza historia organizacji pokazuje, że z czasem zamienił się on w praktyki handlu ludźmi, stosowane przez spółki związane z Opus Dei. Jak nierzadko bywa, cały ten żerujący na kobietach model, stopniowo coraz bardziej osadzony w biednych krajach globalnego Południa, oblany jest grubą warstwą duchowości, która go sprzedaje. Teologii, która wciśnie kobiecie jej cierpienie i upodlenie opakowane tak, by czuła, że służy ono wyższym celom.

Pod tym względem Escrivá nie był w sumie oryginalny. Warto się rozglądać, gdzie w Kościele kobiety obierają ziemniaki za darmo, dla osiągnięcia świętości. A tak naprawdę – dla wygody mężczyzn i grubych oszczędności. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl 0f983c43b1

O. WACŁAW

Oszajca: *Rozwodniczka*



Jezus, przeciwstawiając się zrytualizowanej pobożności pogan i Żydów, proponuje uczniom, a więc i nam, swój sposób podejścia do Boga. Na czym on polega, dowiadujemy się z opowiadania o spotkaniu Jezusa z Samarytanką przy studni Jakubowej. Idąc po wodę, Samarytanka zapewne nie rozważała o „wielkich dziełach Bożych". Miała na głowie naszykowanie obiadu dla kolejnego partnera. A że była człowiekiem sprawiedliwym, to znaczy rozróżniającym dobro od zła, robiła, co do niej należało, z poetycko-mistycznym zacięciem, który tak opisuje Janusz Pasierb: „W gruncie rzeczy / nie ma nienawiści // są tylko gorzkie / zawiedzione miłości / miłości / które ludziom / udało się jakoś / zdławić". Jakoś, to znaczy nie do końca, o czym świadczy życie jej samej, ale też Piotra i Pawła, Judy z Iskariotu, jak też Matki Jezusa oraz Jego braci i sióstr.

Wskutek tej rozmowy kobieta po pięciu rozwodach i sześciu zamążpójściach okazuje się uczennicą Jezusa bardziej pojętną od apostołów, wciąż kurczowo „trzymających się ludzkiej tradycji" zamiast przykazań: „Dziwili się, że rozmawiał z Samarytanką". Ona też się dziwiła, ale nie gorszyła zachowaniem Jezusa. Nie zlekceważyła Go i nie odeszła. Wdaje się z Nim w rozmowę, chce wiedzieć, jak jest naprawdę. Zaciekawiona niecodziennym podejściem Jezusa do spraw Boskich i ludzkich, biegnie do swoich z nowiną: „Chodźcie, zobaczcie człowieka, który mi powiedział o wszystkim, co zrobiłam; czy to nie jest Chrystus?". I tak bez chrztu, bez namaszczeń i bez włożenia rąk, bez misji kanonicznej i posłania, narodził się jeszcze jeden apostoł. Tym razem w spódnicy. By tak się stało, wystarczył rozumny zachwyt człowiekiem, z którym przypadkowo dało się po ludzku porozmawiać.

Zachęceni przez ich rodaczkę Samarytanie „przyszli [do Jezusa] z prośbą, aby pozostał u nich [i] jeszcze więcej uwierzyło dzięki głoszonej przez Niego nauce. Do tej kobiety zaś mówiono: Teraz wierzymy już nie na podstawie tego, co nam powiedziałaś, lecz dlatego, że sami Go usłyszeliśmy. Wiemy, że On naprawdę jest Zbawicielem świata". Jeśli dzisiaj ludzie nas, apostołów, unikają, to przede wszystkim dlatego, że jesteśmy za bardzo podobni do tych uczniów, którzy z przyjemnością potępiali świat, a za mało do Samarytanki, która miała odwagę uznać za prawdę to, co uchodziło za herezję. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Maksymalizm Jezusa*



„Wszystko, co chcielibyście, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie. Albowiem to jest istota Prawa i Proroków" – to Jezusowa wersja tzw. złotej zasady, w zapisie św. Mateusza (zob. Mt 7, 12). To jednak co innego niż powtarzane przez nas na co dzień powiedzenie: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe". Jezusowy przekaz jest pozytywny: „Czyń!", „Czyńcie!" znaczy znacznie więcej niż tylko „Nie rób mu nic złego". „Czyń!" znaczy „Zaangażuj się! Podejmij jakiś wysiłek. Bądź dla swojego bliźniego". Jest też maksymalistyczny: „Czyńcie wszystko!". Nie odrobinę, nie tyle, ile muszę albo ile wypada... Wszystko!

Pewnie czujemy, że taki maksymalizm nie może być jedynie nakazany. Dlatego ogłaszając swoją wersję złotej zasady, Jezus odwołuje się nie tylko do Prawa, ale również do Proroków. Prawo stawia wymagania; Prorocy ogłaszają obietnicę i Bożą łaskę.

„Czyńcie innym wszystko, co byście chcieli, by wam czynili" nie jest więc tylko poleceniem, jest również obietnicą: stanie się tak w twoim życiu, jeśli tylko będziesz tego chciał. Bóg sprawi w twoim życiu to, co w pierwszej chwili wydaje ci się niemożliwe do spełnienia.

Pojawia się jednak pytanie: czy rzeczywiście chcę? I tu pomocny jest najbliższy kontekst naszego logionu. A jest nim Jezusowa zachęta do modlitwy: „Proście, a będzie wam dane..., każdy kto prosi, otrzymuje". Możliwe jest i takie tłumaczenie: „Każdy, kto prosi, przyjmuje"!

To ważna podpowiedź: modlitwa otwiera nas na Boże dary. Jeśli się nie modlę – nie przyjmę od Boga darów, które mi zsyła. Chleb dany mi przez Boga będę uważał za kamień, a podaną rybę uznam za węża. Jeśli się modlę, otwieram się na wszystko, co w moim życiu przychodzi od Boga.

Dzieje się tak, gdyż modlitwa przede wszystkim buduje relację zaufania. Upewnia mnie co do tego, pozwala mi doświadczyć tego, że Bóg jest Ojcem. Więc wszystko, co mi daje, jest dla mnie dobre: także ów maksymalizm w podejściu do innych, opisany Jezusową złotą zasadą. Ale: potrzebuję się modlić, by go podjąć wtedy, gdy Pan Bóg mi go udziela. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 0f983c43b1



HISTORIA

WAF / NAC

Kobieca brygada budowlana na zdjęciach dla czasopisma „Przyjaciółka", 1949 r.

AMORTYZATORKI

BŁAŻEJ BRZOSTEK, HISTORYK:

Dzień Kobiet w PRL-u nie był okazją, by zwrócić uwagę na warunki pracy i płacy. Ale mimo fasadowej oprawy kobiety chciały go świętować, bo odbierały go jako rzeczywiste dowartościowanie.

EWELINA BURDA: Skąd się wziął Dzień Kobiet?

PROF. BŁAŻEJ BRZOSTEK: Miał swoją tradycję, ale PRL wpisał go we własny kalendarz, który miał wzmocnić symboliczną rolę państwa. Nasycono go świętami różnych grup, głównie zawodowych: Dzień Hutnika, Kolejarza, Energetyka. Bo świętowanie było dla ludzi ważne, ale opierało się głównie na kalendarzu katolickim.

Władzy zależało, by stworzyć przeciwwagę, która nabierze właściwego znaczenia, gdy społeczeństwo się zurbanizuje i zlaicyzuje.

I w tym zestawie pojawia się także Dzień Kobiet.

Który dobrze pokazuje, jak myślano wówczas o kobietach: jak o jednorodnej grupie. Świętowanie włączone było w rytm pracy: zwłaszcza w mieście, w zakładach. Ten dzień miał dowartościować kobiecą część załogi, kobiety-pracowniczki.

Kobiety tamtych czasów go lubiły?

Tu mamy dwie opowieści: przeciwstawne, a jednocześnie się uzupełniające. Pierwsza wynika z odrzucenia PRL-owskiego rytualizmu, którego 8 marca staje się wyraźnym przykładem. To rytualność powierzchowna, tandetna, która zawiera w sobie elementy przymusu i przemocy.

Do czego zmuszało świętowanie?

Do uczestnictwa w akademiach, na których przemawiali mężczyźni pełniący kluczowe funkcje w zakładach pracy. Święto kobiet nie było momentem na zwrócenie uwagi na warunki pracy i płacy. Kobiety miały ustawiać się w rządku, uśmiechać, przyjmować goździki, wyrażać zadowolenie i wdzięczność.

eprasa.pl 0f983c43b1



HENRYK ROSIAK / CAF / PAP

Kwiaty dla milicjantki w Dniu Kobiet. Warszawa, 8 marca 1972 r.

A ta druga opowieść?

Z opowieści i dokumentów wybija się narracja o tym, że w załogach kobiecych ten dzień był traktowany bardzo poważnie: jako rzeczywiste dowartościowanie pracownic. I coś, co rozrywało mozolną rutynę pracy. W PRL-u istniał duży deficyt godności pracownika i pracownicy, o którym opowiedziano w pełni w okresie Solidarności. I takie uroczystości, nawet ze świadomością ich fasadowości, ten deficyt w pewnym stopniu zaspakajały.

Jaskrawy przykład: 8 marca 1971 r. w zakładach dziewiarskich „Watra" w Lubawce miał miejsce strajk, który wynikał z niedostatecznie uroczystego obejścia tego dnia przez dyrekcję. Nie było to oczywiście typowe zachowanie, ale kobiety za fasadową oprawą uroczystości chciały i organizowały ten dzień, który był szansą na miłe spotkania, drobne upominki, przyjemności.

Dzień Kobiet, jak to często z nim bywa, jest pretekstem: tutaj do rozmowy o życiu codziennym kobiet w PRL-u, któremu poświęcił Pan książkę. Jak opisać codzienność w tak zróżnicowanym pod względem realiów życia okresie?

Nie da się sprowadzić do jednego mianownika doświadczeń społecznych z okresu stalinizmu, ze środkowego czy schyłkowego PRL-u. To egzystencja kilku pokoleń, spotykających się na różnych etapach życia. Doświadczenia kulturowe i cywilizacyjne kobiet z tych pokoleń dzieli przepaść.

Trudne jest też opisywanie historii kobiet jako jednej grupy.

Znam wątpliwości na temat tego, czy należy wyróżniać historię kobiet, ale nie podzielam ich: pisanie o historii zawsze jest wyróżnianiem. Nie ma historii totalnej, w której zawrzemy cały kształt życia. Zawsze się coś wyróżnia: grupę, przestrzeń, ciąg zdarzeń.

Zarzuty o wyróżnianie pochodzą z różnych stron.

Jeden z tych argumentów nazwałbym „męskim". Cechuje się on podejrzliwością: dlaczego właściwie skupiać się na historii kobiet? Czy przypadkiem nie z powodów politycznych? A może to ideologia *gender*? Może feminizm czy inny jakiś „-izm" wypaczający perspektywę? Niestety, myśli tak też niemało osób z dyplomem historyka.

A ten drugi argument?

Jest zupełnie przeciwstawny. Zakłada, że wyróżnianie kobiecej historii jest jakimś rodzajem stygmatyzacji: wyodrębnia ją jako temat, czyli potencjalnie czyni z niej obszar „młodszy", mniej ważny, podrzędny. I przede wszystkim esencjonalizuje kobiecość, przypisuje jej jakieś stałe cechy. A to już może być uprzedmiotowieniem.

Uważam, że ważne jest to wszystko, co jest „pomiędzy". Przede wszystkim badanie tego, jak dawniejsze społeczeństwo konstruowało płeć, przydawało jej sensy. Dostrzeżenie odrębnych przestrzeni kobiecych i męskich w społeczeństwie wieku XX jest rzeczą elementarną.

Jedną z zasadniczych różnic, którą Pan punktuje, jest czas. „Czas wytwarzany społecznie był w dużym stopniu odrębny dla mężczyzn i kobiet".

Ta odrębność właśnie jest społecznie wytwarzana, więc ma też charakter historyczny. W próbie opowiedzenia o życiu codziennym kobiet w PRL-u zwracam uwagę na cykle i rytmy. Te wielkie i naturalne, jak pory roku i następujące po sobie lata, cykl biologiczny kobiety czy cykl rolny, ale i te cykle społecznie wytwarzane.

To prześledźmy taki cykl życia. W PRL-u rodzi się dziewczynka...

I jest większa niż kiedykolwiek wcześniej nadzieja na to, że nie umrze przy porodzie lub w pierwszych miesiącach życia. Idzie do szkoły, która jest masowa i koedukacyjna, a przed sobą ma bezpłatne szkolnictwo średnie i wyższe. Dorasta w społeczeństwie, które jest chyba bardziej niż kiedykolwiek jednolite i społecznie wyrównane.

Zaczyna dojrzewać. W poradniku z 1956 r. autorstwa doktora Pumpiańskiego przeczyta: „U zdrowej kobiety miesiączka zazwyczaj nie wywołuje żadnych dolegliwości".

Pierwsza miesiączka bardzo dobrze pokazuje zmiany, jakie zachodzą w społeczeństwie, w jego psychofizycznej ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ kondycji. W PRL-u szybko obniża się wiek pierwszej miesiączki, bo dzieci są nieźle odżywione.

Ale o pierwszej miesiączce wstydzi się powiedzieć.

Albo boi się, że coś złego się z nią dzieje, że jest śmiertelnie chora. To stale był temat zamknięty, może na wsi traktowany bardziej naturalnie, tak jak poród, bo przecież dzieci znały życie zwierząt gospodarskich. Tak czy owak o miesiączce mówi się między kobietami, a mężczyźni nie chcą o niej wiedzieć, choć to oni są zwykle lekarzami „od spraw kobiecych" i publicznie wypowiadają się na te tematy. Natomiast w poradnictwie traktowano te sprawy dość technicznie, od strony higieny.

Skok w zakresie dostępności środków higieny nastąpił w latach 70., nawet w Polsce zaczęto produkować tampony. Ale zaraz potem nastał ciężki kryzys i wszystko znikło. Nawet wata i lignina bywały trudno dostępne.

Tak jak mleko w proszku, które promowano jako najlepszy sposób karmienia dzieci.

Nowoczesność opierała się na kulcie fachowca. Przez lata przekonywano, by dziecko szybko „odstawiać" i przejść na pokarm sztuczny. Tylko że w drugiej połowie lat 70. nastał kryzys dostępności i tysiące niemowlaków znalazły się w zagrożeniu. I znowu kobiety ruszyły na „polowanie", zawiązując mnóstwo relacji i sieci. Tak było zresztą w ogóle z zaopatrzeniem domu: kobiety amortyzowały gospodarkę niedoboru.

To znaczy?

Gospodarka niedoboru oznacza, że schemat zarządzania jest sztywny, odgórny i zarazem rozrzutny, planuje się stale ponad stan, a potem „goni plan". Buduje się osiedle, ale brakuje środków na przedszkole. W tej sytuacji to właśnie kobiece sieci społeczne sprawiały, że rodziny dawały sobie radę. Podobnie z brakami mięsa: tu ratowała „baba z mięsem", która nielegalnie przywoziła je ze wsi. Amortyzowaniem systemu była wszelka podobna działalność, domowa zapobiegliwość, samopomoc i wystawanie w kolejkach.

A na co miały wpływ PRL-owskie kobiety?



MATERIAŁY PRASOWE PIW

BŁAŻEJ BRZOSTEK jest historykiem, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim i w Muzeum Warszawy. Zajmuje się historią społeczną i dziejami miast. Pisał o życiu robotników warszawskich lat stalinizmu, o codzienności w przestrzeni publicznej Warszawy i o kuchni w PRL-u. Zajmuje się także historią Rumunii. Jego najnowszą książkę „Życie codzienne kobiet w PRL" wydał Państwowy Instytut Wydawniczy.

Na wiele sfer życia. Były branże, np. szkolnictwo, w którym zyskiwały stopniowo władzę. Znamienne jednak, że w głoszącym równość kobiety systemie konserwowały się bardzo tradycyjne struktury społeczne. W dużym stopniu za sprawą kobiet. Mam na myśli zwłaszcza życie religijne. Z różnych badań z lat 70. wynika dość jednoznacznie, że w rodzinach kobiety pilnowały pewnych zasad i obyczajów częściej niż mężczyźni. Np. odmawiania domowego pacierza, a zwłaszcza porządku i rytuału świąt domowych. Opisała to wtedy socjolożka Jadwiga Komorowska.

Można się zastanawiać, czy ta świąteczna aktywność nie była odreagowaniem poczucia zależności w życiu powszednim. Zresztą czynnikiem tego konserwatyzmu była często obecność babci, nierzadko opiekującej się miejskimi wnukami, ale zanurzonej w kulturze wsi.

Bo kobiety licznie migrują do miast.

Stale, ale w różny sposób. Wspomniane babcie czasowo. Ale całe pokolenia młodych kobiet zmieniają miejsce życia. Pod koniec PRL-u, gdy migracje były bardzo małe, to kobiety w nich przeważały. Musiały zwykle wykonać większy niż mężczyźni wysiłek, aby otrzymać zadowalającą pracę. Daleko już było wtedy do obietnic z lat 50., gdy wzywano kobiety za kierownice traktorów i do murarki. Tu mamy zróżnicowane opowieści o ich losie.

Jakie one są?

Pierwsza wskazuje na wielkie wyzwolenie kobiet w latach 50. dzięki tym ruchom. Zdążają do samodzielnej pracy i po wiedzę, na budowy, do fabryk i szkół. Odrywają się od patriarchalnych rodzin. Druga opowieść rysuje czarną stronę tej sytuacji, czyli ucieczkę przed kolektywizacją rolnictwa, biedą i brakiem nadziei – ku niepewnej, budzącej lęk przyszłości.

Jak żyje w mieście ta kobieta pracująca?

Słowem kluczem jest awans społeczny. Ale czy ciężka, niskopłatna praca i łóżko w hotelu pracowniczym nie stanowią „awansu" tylko na chwilę? A wielu ludzi żyło tak latami. Otworzyły się drogi do kształcenia zawodowego, ale po całym dniu pracy wytrwanie w szkole wieczorowej było trudne. Wielu tysiącom kobiet się to udało, ale wielu tysiącom nie – to istotna różnica losu. Zbierając opowieści ze wspomnień czy konkursów pamiętnikarskich, widzimy głównie doświadczenie tych, którym się udało. Inne losy są trudniejsze do odtworzenia. I często są bardzo smutne.

Dziesięć procent pracownic przemysłowych jako pierwszy kontakt seksualny wskazywało gwałt.

Tak czytamy w badaniach wrocławskich z lat PRL-u. Weźmy pod uwagę, że sama deklaracja tego typu jest trudna, więc realnie było ich pewnie więcej. To fragment życia społecznego, który wciąż wymaga badań historycznych. Wydaje się, że dezorganizacja społeczna lat 50., w tym wielkie migracje, odegrała tu swoją rolę.

Z tych losów nieopowiedzianych zwraca Pan uwagę na to, co się działo na samym początku PRL-u z kobietami i ich biznesami.

Po II wojnie światowej typowe stało się zakładanie przez kobiety mikrofirm, dających utrzymanie jednej, dwóm, trzem osobom. Państwo zniszczyło bezwzględ-

eprasa.pl 0f983c43b1

nie tę tkankę w czasie tzw. bitwy o handel.

Z czego to wynikało?

Zniszczenie – z projektu ideologicznego. Postanowiono zlikwidować prywatną gospodarkę. A dawała ona oparcie co najmniej setkom tysięcy kobiet. Po wojnie te mikrobiznesy rozwinęły się, gdyż kobiet było więcej niż mężczyzn, wiele straciło bliskich w czasie wojny i wykorzystywało „domowe" umiejętności do utrzymania się.

Była to głównie mała gastronomia: sodowiarnie, paszteciarnie, kawiarenki, ale też krawiectwo czy fryzjerstwo. Prowadzone na spółkę z siostrami czy koleżankami. W informatorach adresowych sprzed 1950 r. widać setki nazw małych firm z kobiecymi nazwiskami.

Co się dzieje z tymi kobietami później?

Muszą iść do pracy na państwowym albo do spółdzielni, też przez państwo kontrolowanej. Albo decydują się na działalność nielegalną, domową, domokrążną. Wtedy są zagrożone milicyjnymi represjami. A w przedsiębiorstwach państwowych kto na ogół kieruje odcinkiem pracy, brygadą, wydziałem?

Najpewniej mężczyzna.

Otóż to. Dyrektorami, kierownikami, szefami spółdzielni, organizacji partyjnych czy związkowych są na ogół mężczyźni. Mężczyźni nadzorowani przez innych mężczyzn. Kobiety są w sytuacji podległości strukturalnej, która będzie trwać przez kolejne dekady.

Świetnie pokazuje to scena z filmu Zanussiego „Bilans kwartalny" z 1974 r. Pracownica z działu księgowości, którą gra Maja Komorowska, przychodzi na zebranie dyrekcji, bo jest przedstawicielką związku zawodowego. Tam siedzi ośmiu facetów spowitych dymem papierosów, którzy sprawy załatwiają wyłącznie między sobą. Kobieta? Obecna, ale się nie liczy.

A polityka?

Najbardziej charakterystyczny wydaje mi się tu bilans całego PRL-u. Kontrowersje wokół Okrągłego Stołu, które znamy od lat, dotyczyły tego, czy należało „negocjować z komuną". Natomiast nie istnieje w zasadzie problem tego, kto negocjował. Tymczasem po obu stronach negocjowali niemal wyłącznie mężczyźni. Po stronie PZPR-u do stołu dopuszczono jedną kobietę. Po drugiej stronie musiał zachorować mężczyzna, szacowny profesor, aby do obrad dołączyła kobieta.

Wcześniej toczyły się negocjacje w Magdalence, które też obrosły negatywnymi emocjami, gdy opublikowano zdjęcia bruderszaftów opozycjonistów z szefem MSW Czesławem Kiszczakiem. Ale mnie bardziej znamienny wydaje się schemat „męskiego dogadania się przy wódce", bo tak te zdjęcia też można odczytać.

Okrągły Stół jest dla mnie symboliczny: pokazuje granice społecznej emancypacji. Jest naprawdę uderzające, że tak skończył się system głoszący równość płci, i że tak to zakończenie rozegrała również strona zwana społeczną.

Wróćmy do codzienności: dlaczego ciągnie nas do opowieści o niej?

W kropli codzienności widać funkcjonowanie społeczeństwa. I tak jak kropla wody, codzienność jest czymś przejrzystym – po prostu się dzieje. Ciekawe są tu ruchy cykliczne i wracanie przez kolejne pokolenia do pewnych wzorców, które wydawały się już odłożone na boczny tor.

Przykłady z kobiecego losu?

Zmiany prawa aborcyjnego. A z tych mniej oczywistych np. zmiany emocji wokół tzw. porodów domowych. We wczesnym PRL-u były one powszechne. Po prostu rodziło się w domu, zgodnie z zasadami znanymi od pokoleń. Ale te porody bywały trudne, nader często kończyły się tragicznie. Gdy przyjeżdżał lekarz, było za późno.

Aby ten stan zmienić, dokonano „medykalizacji" porodu: przeniesiono go do szpitala, co było standardem w latach 70. Wtedy właśnie rodzić się zaczęły nostalgie za porodem domowym, idealizowanym, bo różnym od anonimowych porodówek pozbawiających intymności, w odcięciu od bliskich. To opowieść o realiach kobiecych w PRL-u, a brzmi...

...brzmi zupełnie jak z dziś.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

TYGODNIK POWSZECHNY
Sklep „Tygodnika Powszechnego"


DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA
SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 0f983c43b1

NAUKA

MUSISZ W TO KLIKNĄĆ

„Nigdy w to nie uwierzysz! Znowu to zrobił! Chodzi o Putina". Pewnie wszyscy przyzwyczailiśmy się do nagłówków wyłudzających nasze kliknięcia. A nie powinniśmy.

ŁUKASZ KWIATEK



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 0f983c43b1

W 1994 r. George Loewenstein, wschodząca gwiazda badań nad ludzkimi motywacjami i podejmowaniem decyzji, opublikował wpływowy artykuł o psychologicznych ujęciach zjawiska ciekawości.

Loewenstein zaczął od przeglądu i krytyki dotychczasowych koncepcji, powstałych w ciągu poprzednich dwóch dekad, które dawały niespójny i niepełny obraz ciekawości. Jedni autorzy postrzegali ją jako naturalny popęd, podobny do głodu i pragnienia, który stale musimy zaspokajać; inni – jako cechę osobowości, którą bez większego powodzenia próbowali mierzyć kwestionariuszami i wyrażać na skonstruowanych skalach. Jeszcze inni uznawali, że ciekawość to reakcja jednostki na nowość w jej otoczeniu, sprzyjająca zdobywaniu użytecznej wiedzy.

Funkcją, którą przypisywano ciekawości w tym ujęciu, była redukcja pobudzenia, wywoływanego w układzie nerwowym przez pojawienie się nowości, niepewności czy niejednoznaczności. W duchu tej koncepcji prowadzono badania na małpach czy szczurach – obserwowano, jak manipulują przedmiotami czy eksplorują środowisko w reakcji na nowe bodźce.

Ujawnił ważny brak. „Nieprzyjemne napięcie"

Do zrozumienia, czym ciekawość jest, szczególnie nas to nie przybliżyło – przekonywał Loewenstein. I wskazywał, że dotychczas badaczom nie udało się zidentyfikować konkretnego mechanizmu poznawczego odpowiadającego za ciekawość, a dominujące opisy tego zjawiska miały poważne braki. Przywołane koncepcje nie wyjaśniały np. selektywności ciekawości (nie każda nowość wzbudza nasze zainteresowanie), nie uwzględniały roli dotychczasowej wiedzy w powstawaniu ciekawości i nie potrafiły wytłumaczyć, dlaczego ciekawość rośnie, gdy znalezienie rozwiązania zagadki czy wyjaśnienia wątpliwości jest blisko.

To wszystko skłoniło badacza do sformułowania własnej koncepcji, zgodnie z którą ciekawość jest specyficznym stanem poznawczym wywołanym przez uświadomienie sobie braku pewnej informacji. Pojawia się więc wtedy, gdy ktoś dostrzega lukę między tym, co już wie, a tym, co mógłby lub chciałby wiedzieć. Ta luka prowadzi do powstania raczej nieprzyjemnego napięcia, które samo z siebie motywuje do rozładowania go, czyli wyszukiwania brakującej informacji. Loewenstein powiązał także ciekawość ze stanem wiedzy: największy poziom osiąga wtedy, gdy coś już wiemy w danym temacie albo znamy kontekst – i brakuje nam tylko kluczowej informacji.

Gdy Loewenstein opublikował swój tekst, internet był ciągle w powijakach: dopiero powstał portal Yahoo, „New York Times" nie miał jeszcze wersji online, nie istniał też Google, w Polsce nie było nawet Onetu. Nikt chyba nie wyobrażał sobie jeszcze wielkich portali, mediów społecznościowych, nagłówków i algorytmów, które bezwzględnie wykorzystywać będą mechanizm opisany przez Loewensteina, by wyłudzać od nas kliknięcia i rządzić naszym zachowaniem w sieci.

Tak się robi clickbait. Chodzi o kluczową rzecz

W literaturze naukowej poświęconej clickbaitowi – rozrastającej się zwłaszcza w ostatnich latach – koncepcja „luki informacyjnej" Loewensteina jest najczęściej punktem wyjścia w analizach. Zgodnie z jego modelem, w nagłówkach dostajemy informacje, których kontekst znamy i rozumiemy, ale czegoś w nich brakuje. Pojawia się więc nieprzyjemne napięcie, które chcemy rozładować. Na szczęście to bardzo łatwe: wystarczy jedno kliknięcie.

Oczywiście zjawisko clickbaitu nie jest nowe – różni autorzy szacują, że to słowo (kombinacja wyrazów oznaczających kliknięcie i przynętę) narodziło się na przełomie XX i XXI w. Nowością, która inspiruje kolejne publikacje naukowe, może być jednak skala clikbaitu oraz różnorodność stosowanych na portalach metod – bo nie chodzi tu już wyłącznie o granie na naszej ciekawości.

Dziś do klikania w nagłówki mają nas także skłaniać zasiewane w nas emocje – np. strach czy oburzenie. Wyznacznikiem popularności tej metody manipulacji uwagą czytelników jest sukces określenia *rage bait*, oznaczającego właśnie prowokowanie reakcji (kliknięć, udostępniania czy komentowania) poprzez wywoływanie u czytelnika oburzenia czy złości. *Rage bait* wybrano słowem roku 2025 w plebiscycie Oxford University Press, o którym od jakiegoś czasu jest dość głośno – nagłówki o nim zapewne dobrze klikają się na portalach.

Badacze zjawiska wymieniają wiele technik przykuwania uwagi stosowanych przez wydawców. Oczywiście wszyscy je widzieliśmy, ale czytanie o nich może być zaskakująco oczyszczające – prześledźmy więc najpopularniejsze.

Najprostsze i chyba nadal najpopularniejsze jest pomijanie kluczowej informacji („Kaczyński ma już kandydata PiS na premiera. Nagle zmienił zdanie"), częste są też hiperbolizacje („»Chiński szok« niszczy przemysł Niemiec. Masowo tracą pracę"), wywoływanie strachu („W Ukrainie mówią o »trzeciej wojnie«. Przerażające relacje") czy oburzenia („Gwałcili i torturowali 26-latka. Wizerunek Alana Bartczaka ujawniony"). Łatwo trafimy także na odwołania do wspólnej tożsamości („Polacy się tego wstydzą. To nagranie powinien zobaczyć każdy") czy porównania („Ile trzeba mieć, by być klasą średnią? [KWOTY]").

Niewyjaśnione zaimki („To on...", „Tyle...", „Tego nie wiedzieliście" itd.) są zresztą jednym z najczęstszych zabiegów w tzw. „odwołaniu wyprzedzającym", czyli nawiązaniu do informacji, która stanie się zrozumiała dopiero po kliknięciu. Przeprowadzona w 2015 r. przez Jonasa Bloma i Kennetha Hansena analiza (100 tys. nagłówków opublikowanych na 10 duńskich portalach) pokazała, że to jeden z najpopularniejszych mechanizmów clickbaitu.

Poza tym bohaterowie nagłówków „zaskakują", „szokują", „mówią otwarcie" i „wprost" (już nawet mało kto „przerywa milczenie" – chyba dlatego, że mało kto już potrafi milczeć), co sugeruje, bardzo na wyrost, że mają coś ważnego do powiedzenia. Oczywiście jeden nagłówek może wykorzystywać kilka mechanizmów przykuwania uwagi („Gwiazdor stanął przed sądem. Jest oskarżony o gwałt i napaść" – nawet jeśli nie klikniemy, by się dowiedzieć, o kogo chodzi, to zawsze możemy kliknąć z powodu moralnego wzburzenia).

Polityk mówi wprost: będzie się klikał

Kilka badań nad reakcjami wywoływanymi clickbaitem przeprowadził Supavich Pengnate z Uniwersytetu Stanowego Północnej Dakoty w Fargo. Stosował w nich różne pomiary fizjologiczne. Badania potwierdziły, że clickbait, w porównaniu do nagłówków czysto informacyjnych, ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ wywołuje większe pobudzenie emocjonalne (czego objawem jest np. rozszerzanie się źrenic), które przekłada się na chęć kliknięcia. Co znamienne, choć uczestnicy badań Pengnate'a negatywnie oceniali clickbaitowe nagłówki, to i tak mieli wielką ochotę w nie kliknąć.

Ten swoisty paradoks – wiemy, że mamy do czynienia z manipulacją, irytujemy się, ale trudno powstrzymać się przed kliknięciem – może wyjaśniać, dlaczego clickbait jest tak wszechobecny.

Przykłady clickbaitu, które podałem wyżej, pochodzą z czterech najpopularniejszych polskich portali. Polska jest przypadkiem szczególnym, ponieważ portale Onet, Interia, Wirtualna Polska i Gazeta.pl, na których trudno już znaleźć nagłówki niebędące jakimś rodzajem clickbaitu, znajdują się w ścisłej czołówce najchętniej odwiedzanych stron internetowych.

W wielu innych krajach do najpopularniejszych witryn należą wydania online tradycyjnych telewizji czy czasopism (w USA „New York Times", w Wielkiej Brytanii BBC, w Hiszpanii sportowa „Marca", we Francji „Le Figaro"), gdzie dominują nagłówki informacyjne, a nie clickbait. Ekspozycja na clickbait w Polsce jest prawdopodobnie wyższa niż tam.

To prowokuje do pytania o to, jak popularność clickbaitu wpływa na jednostki, ekosystem medialny i całe społeczeństwo. Nie przeprowadzono dotąd wielu badań, które zbliżyłyby nas do odpowiedzi na to pytanie, jednak pesymistycznych refleksji nie brakuje.

Np. Peter Ayolov z Uniwersytetu w Sofii w jednym z esejów pisze o tym, że moralne oburzenie stało się walutą w mediach elektronicznych, i zauważa, że w takich warunkach ewoluuje rola mediów, które przestają dostarczać informacji prawdziwych – muszą jedynie dostarczać treści klikalnych. To być może największy problem społeczny z clickbaitem (zwłaszcza rage baitem): dla wydawców portali nie ma znaczenia, czy polityk oburza się słusznie, czy niesłusznie, czy coś ukradł, czy został o to jedynie pomówiony – liczy się tylko to, że oburzony polityk, który „mówi o tym wprost", będzie się klikał. W efekcie czytelnik portali nie dostaje na ogół skomplikowanych wyjaśnień ani nie konfrontuje się z innym punktem widzenia – otrzymuje jedynie emocjonalne impulsy, które podtrzymują go w zyskownym dla wydawców wzburzeniu. Zgodnie z najważniejszym medialnym przykazaniem naszych czasów, iż „wkurzeni użytkownicy klikają więcej".

> Jeśli zabraniamy trucia środowiska naturalnego, moglibyśmy zadbać o czystość ekosystemu medialnego, **eliminując z niego clickbait.**

Kiedyś, pisze Ayolov, wyzwaniem dla mediów – przynajmniej w naszej części świata – była propaganda, próbująca zakłamać rzeczywistość i pacyfikować nastroje w społeczeństwie. W epoce kompulsywnych kliknięć prawda i to, czy ktoś ma rację, czy nie, staje się całkowicie drugorzędna, zaś podburzenie emocji i sianie fermentu sprzyja zyskom (bo każde kliknięcie oznacza wyświetlone reklamy). Platformom medialnym opłaca się więc nakręcanie polaryzacji i radykalizacji – wiemy, że w ten sposób działają algorytmy gigantów, takich jak Facebook, ale dokładnie z tych samych powodów zyski mogą czerpać także wydawcy portali, którzy rzadziej niż Big Techy są oskarżani o niszczenie więzi społecznych czy nakręcanie niezdrowych emocji. A przecież naiwnością byłoby sądzić, że wkurzeni użytkownicy jedynie więcej klikają.

W druku nie zadziała? Sprawdzamy

Już w 2016 r. – lata przed rozwojem ChataGPT i narzędzi AI – spora część publikacji naukowych na temat clickbaitu opisywała algorytmy, które go rozpoznają. Rozwijano je po to, by walczyć z clickbaitem, zwłaszcza z używającymi go do łowienia ofiar oszustami. Współczesne narzędzia AI nie mają najmniejszego problemu ze wskazaniem clickbaitu w nagłówkach portali – w teorii moglibyśmy ich więc używać do tego, by chroniły użytkowników przed clickbaitem, gdybyśmy tylko postanowili go prawnie zakazać.

Pomysł może brzmieć naiwnie, ale jeśli przyzwyczailiśmy się do tego, że zabraniamy trucia środowiska naturalnego, a nawet coraz częściej dyskutujemy nad pociąganiem do odpowiedzialności właścicieli tzw. mediów społecznościowych, oskarżanych m.in. o dewastowanie psychiki dzieci i młodzieży, to moglibyśmy przekonać się także do tego, że warto zadbać o czystość ekosystemu medialnego, eliminując z niego clickbait, a przynajmniej jego najbardziej agresywne formy.

Potrzebujemy większej liczby badań długofalowego wpływu clickbaitu na użytkowników – ale już te, które dotąd przeprowadzono, sugerują, że clickbait nie sprzyja refleksyjnemu i krytycznemu odbiorowi informacji. Zmniejsza przy tym zaufanie do mediów i może wpływać na ocenę wiarygodności informacji.

Być może najbardziej ponurym aspektem modelu Loewensteina jest to, że choć przy silnie pobudzonej ciekawości zaspokojenie jej brakującą informacją łagodzi dyskomfort poznawczy, to jednak jeśli informacja jest banalna, wcale nie odczujemy ulgi, lecz rozczarowanie. Uczucie znane każdemu, kto zetknął się z niskiej jakości materiałem, afiszowanym uwodzącym clickbaitem w nagłówku.

Dopóki nie zakażemy clickbaitu, każdy może pracować nad sobą, by go unikać. Najłatwiej – sięgając po tradycyjne media. W druku clickbait nie zadziała.

Ten ważny psycholog lepszy od Einsteina? [LICZBY]

70-letni Loewenstein, który zidentyfikował mechanizmy psychologiczne wykorzystywane w clickbaicie, jest dziś gigantem nauki. Uznaje się go za jednego z tych badaczy, którzy wywrócili do góry nogami obraz człowieka panujący dawniej w ekonomii (zgodnie z którym podejmujemy decyzje czysto racjonalne, kierując się pragnieniem maksymalizacji korzyści, nie zważając na reputację, preferencje, mody itd.). Jego badania wpłynęły na funkcjonowanie państw, np. sposób komunikacji z obywatelami w sprawach podatkowych, zdrowotnych czy klimatycznych i stosowane zachęty. O jego wpływie świadczy m.in. wskaźnik cytowań – naukowcy powoływali się na jego prace (których Google Scholar wymienia przeszło 800) ponad 177 tys. razy. Niewiele rzadziej niż na Einsteina i Darwina.

Loewenstein nie dostał jeszcze Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, w przeciwieństwie do swojego bliskiego współpracownika Richarda Thalera, z którym trochę spierał się w ostatnich latach o skuteczność interwencji behawioralnych. Ale w końcu na pewno ją dostanie – i wtedy będzie można zrobić naprawdę zabawne nagłówki. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

eprasa.pl 0f983c43b1

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny” i odbieraj w Żabce, po sąsiedzku!



Pragniemy być jeszcze bliżej naszych Czytelników, dlatego z przyjemnością informujemy, że „Tygodnik” jest już **dostępny do odbioru w sieci sklepów Żabka**.

Co zyskujesz?

- **140 zł taniej** rocznie, niż przy zakupach w kiosku.
- Swój „Tygodnik Powszechny” **odbierasz już w środę**.
- **Darmowa dostawa** do tysięcy sklepów Żabka i innych punktów obsługiwanych przez kurierów GLS.

Wiemy, że zapachu papieru i szelestu stron nie zastąpi najlepszy ekran. Jeśli i Państwo cenią sobie tę formę lektury, zachęcamy do zamawiania naszego pisma z odbiorem po sąsiedzku.

Zamówienia prenumeraty z odbiorem w sklepach Żabka i innych punktach obsługiwanych przez GLS można dokonać **TYLKO** na naszej stronie internetowej: TygodnikPowszechny.pl

Prenumeruj Tygodnik!

TygodnikPowszechny.pl/dostawa_zabka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 0f983c43b1

Cricoteka i żywe archiwum Kantora

JACEK TARAN

Cricoteka udowadnia, że archiwum Tadeusza Kantora nie jest zamkniętym zbiorem dokumentów. Swoim programem pokazuje, jak dziedzictwo artysty wchodzi w dialog ze współczesną sztuką.



Wernisaż wystawy „Kantor. Terapia widzeń". Kraków, 16 lipca 2025 r.

Cricoteka stanęła przed paradoksem: jak być archiwum artysty, który nienawidził archiwów. Jak zbudować muzeum dla kogoś, kto w muzeum nie chciał być zamknięty. To napięcie wyznacza realny program instytucji, która od lat mierzy się z pytaniem, jak dokumentować twórczość Tadeusza Kantora, nie zamieniając jej w muzealny relikt.

Odpowiedzią stała się formuła „archiwum performatywnego", czyli miejsca, w którym dziedzictwo nie jest martwym depozytem, lecz zaproszeniem do gry. Oznacza to przesunięcie akcentu z przechowywania na aktywizację. Dokumentacja pozostaje fundamentem, ale nie jest celem samym w sobie.

MIĘDZY ARCHIWUM A ŻYWĄ PRAKTYKĄ

W programie wystawy „Nic 2 razy", połączonej z działaniami performatywnymi, która inaugurowała nową siedzibę Cricoteki w 2014 r., wyraźnie nazwano napięcie „między archiwum a żywą praktyką" . Pytanie, które wtedy postawiono, powraca dziś w nowych odsłonach: jak reinterpretować dziedzictwo, nie produkując jego kopii? W refleksji nad polityką archiwizacji podkreślano, że „encyklopedyczna wierność jest mało ciekawa", a bardziej płodne bywa sprawdzanie, jak Kantor „zabrzmi w zderzeniu ze współczesnymi praktykami" .

Ta zasada nie jest deklaracją programową bez pokrycia. W projektach artystycznych archiwum Kantora bywa bezpośrednio włączane w strukturę nowych prac – jak w przypadku realizacji Catherine Sullivan, gdzie materiały archiwalne funkcjonowały jako jedno z teatralnych źródeł kompozycji.

Z czasem rola dokumentacyjna Cricoteki została dodatkowo rozszerzona. Jak zapisano, instytucja „stopniowo staje się archiwum nie tylko Tadeusza Kantora, ale światowego teatru we wszystkich jego wymiarach". Oznacza to przejście od archiwum monograficznego do archiwum relacyjnego, które dokumentuje nie tylko dzieło, lecz także jego wpływy, dialogi i rezonanse.

„KANTOR. TERAPIA WIDZEŃ" – ARCHIWUM W KONSTELACJACH

Najpełniejszym wyrazem strategii Cricoteki jest trwająca wystawa „Kantor. Terapia widzeń", w której obok dzieł zaprezentowano unikatowe archiwalia związane z twórczością Tadeusza Kantora. Nie stanowią tu one osobnej, odseparowanej sekcji. Zostały wpisane w sześć konstelacji tematycznych, które zestawiają materiały historyczne z pracami współczesnych twórców, sygnalizując ciągłość artystycznych napięć między przeszłością a teraźniejszością.

Kuratorski wybór prezentuje wątki takie jak „Ja to ktoś inny", „Ta niesamowita codzienność" czy „(Nie)pamięć", oddając głos artystkom i artystom, jak Aneta Grzeszykowska, Gisèle Vienne, Nikita Kadan, których prace kulturowo rezonują z estetyką i doświadczeniem Kantora – daje to szerszą perspektywę interpretacji archiwaliów niż tylko ich materialny status.

Ważnym elementem ekspozycji jest także rozbudowany program performatywny, który integruje archiwum z żywymi formami teatralnymi i performatywnymi. W programie znalazły się wydarzenia z udziałem takich twórców, jak Jan Bačynsjkyj, Niko Płaczek, Kacper Szalecki, Agnieszka Szczotka, Cezary Bodzianowski czy Katarina Gryvul. Te performanse wchodzą w dialog z archiwaliami, testują ich brzmienie dziś, w obecnej wrażliwości kulturowej.

Dzięki temu dokumentacja nie jest tu tylko „zbiorem" obiektów. Staje się materiałem do pracy twórczej – narzędziem aktywizującym, które nie tylko mówi o przeszłości, lecz także pyta o jej znaczenie tu i teraz.

GRA Z KANTOREM – ARCHIWUM W OBIEGU MIĘDZYNARODOWYM

Program „Gra z Kantorem" rozwija te idee jeszcze szerzej, pokazując żywy wpływ Kantora na teatr współczesny poza Polską. To realizowany od 2018 r. projekt artystyczno-badawczy, który od 2023 r. funkcjonuje formalnie jako

eprasa.pl 0f983c43b1

festiwal analizujący recepcję twórczości Tadeusza Kantora jako żywego źródła inspiracji dla kolejnych pokoleń artystów z całego świata.

– Z teatrologicznego punktu widzenia „Gra z Kantorem" staje się cennym oknem na świat i okazją do poznania zjawisk teatralnych w różnych kontekstach – mówi Aldona Mikulska, kierująca Działem Upowszechniania i Wydarzeń. – Tadeusz Kantor jest dla nas naturalnym punktem wyjścia do takiego spojrzenia. To twórca, który za życia, i w dużej mierze także dziś, bywa bardziej rozpoznawalny i respektowany za granicą niż w Polsce. To dla nas oczywisty impuls, by patrzeć szerzej.

W 2025 r. festiwal odbywał się pod hasłem „Gra z Kantorem: Rumunia – Widma przeszłości". W ramach tej edycji pokazano między innymi spektakle rumuńskich twórców, takie jak „Maria Stuart" w reżyserii Andreia Șerbana z Teatru Narodowego w Bukareszcie oraz eksperymentalne realizacje młodszego pokolenia: „Piosenki, które odpędzają strach" Ady Milei czy choreograficzny „DUAL. Spektakl o przyjaźni" Lety Popescu.

Program festiwalu obejmuje także wystawy, warsztaty, wykłady i sesje naukowe, które analizują historyczne i współczesne związki twórców z całego świata z twórczością Kantora. Dzięki temu festiwal nie tylko prezentuje obce repertuary, ale stawia Kantora w relacji z kulturowymi i artystycznymi trajektoriami innych środowisk – to wizualizacja sposobu, w jaki dokumentacja Kantora „gra" poza granicami Polski.

– Program „Gra z Kantorem" pozwala nam przyglądać się temu, w jaki sposób twórczość Kantora rezonuje w różnych obszarach geograficznych i kulturowych – podkreśla Mikulska. – Nie chodzi tylko o pokazywanie, jak polska sztuka inspiruje twórców międzynarodowych. Chcemy też przybliżać ważne nazwiska z danych środowisk. Mamy już za sobą edycje hiszpańską, belgijską, rumuńską, a w tym roku planujemy francuską.

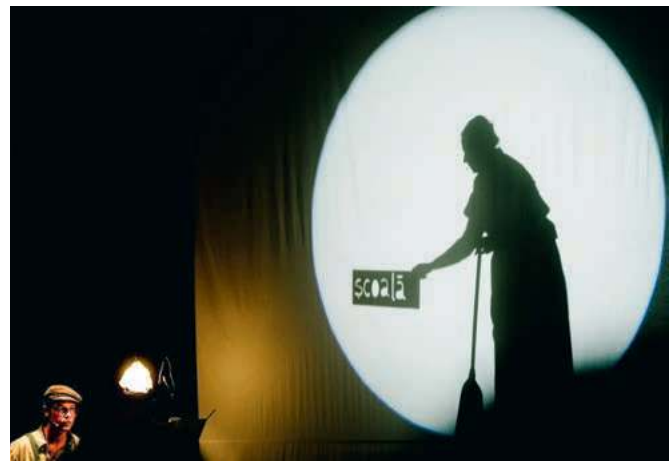
SZTUKA KANTORA PROMIENIUJE

Rumuńska odsłona przyniosła spotkanie z twórczością Andreia Șerbana – twórcy rozpoznawalnego na arenie międzynarodowej i niemal kultowego w Rumunii. – Jego pozycja w międzynarodowym obiegu teatralnym oraz wyrazistość autorskiego języka przywodzą na myśl rangę, jaką w Polsce ma Krzysztof Warlikowski – mówi Mikulska. – Udało się nam zaprezentować jego spektakl dzięki współpracy z Kieleckim Międzynarodowym Festiwalem Teatralnym. Takie rzeczy naprawdę się dzieją.

Planowana edycja francuska obejmie m.in. twórczość Gisèle Vienne, Nach oraz wystawę Philippe'a Quesne'a. – Vienne to artystka o wyrazistym języku, której zainteresowanie lalką, manekinem i figurą sztucznego ciała w naturalny sposób prowadzi do dialogu z Kantorem.

Podobnie Quesne rozwija linię myślenia o teatrze jako autonomicznej, materialnej przestrzeni, w której przedmiot i obraz mają pierwszeństwo przed narracją – dodaje Mikulska. – Te analogie są dla nas szczególnie ciekawe.

W ten sposób Cricoteka realizuje strategię, w której archiwum nie jest tylko depozytem, lecz punktem wyjścia do rozmów kulturowych i artystycznych, także na poziomie międzynarodowym.



Spektakl „Piosenki, które odpędzają strach", reż. Ada Milea. Kraków, 16 października 2025 r.



Spektakl „Maria Stuart", reż. Andrei Șerban. Kielce, 15 października 2025 r.

SZYMON SOKOŁOWSKI / CRICOTEKA / MATERIAŁY PRASOWE

MACIEJ ZYGMUNT / CRICOTEKA / MATERIAŁY PRASOWE x2

MUZEUM JAKO PROCES

Model Cricoteki polega więc na traktowaniu muzeum nie jako struktury zamkniętej, lecz jako procesu. Archiwum nie jest tu zapleczem – bywa częścią doświadczenia. W projekcie „Rezonanse" instalacje dźwiękowe powstały także w przestrzeni archiwum, czyniąc z niej element aktywnego instrumentu budynku. To symboliczne przesunięcie: archiwum zaczyna „grać".

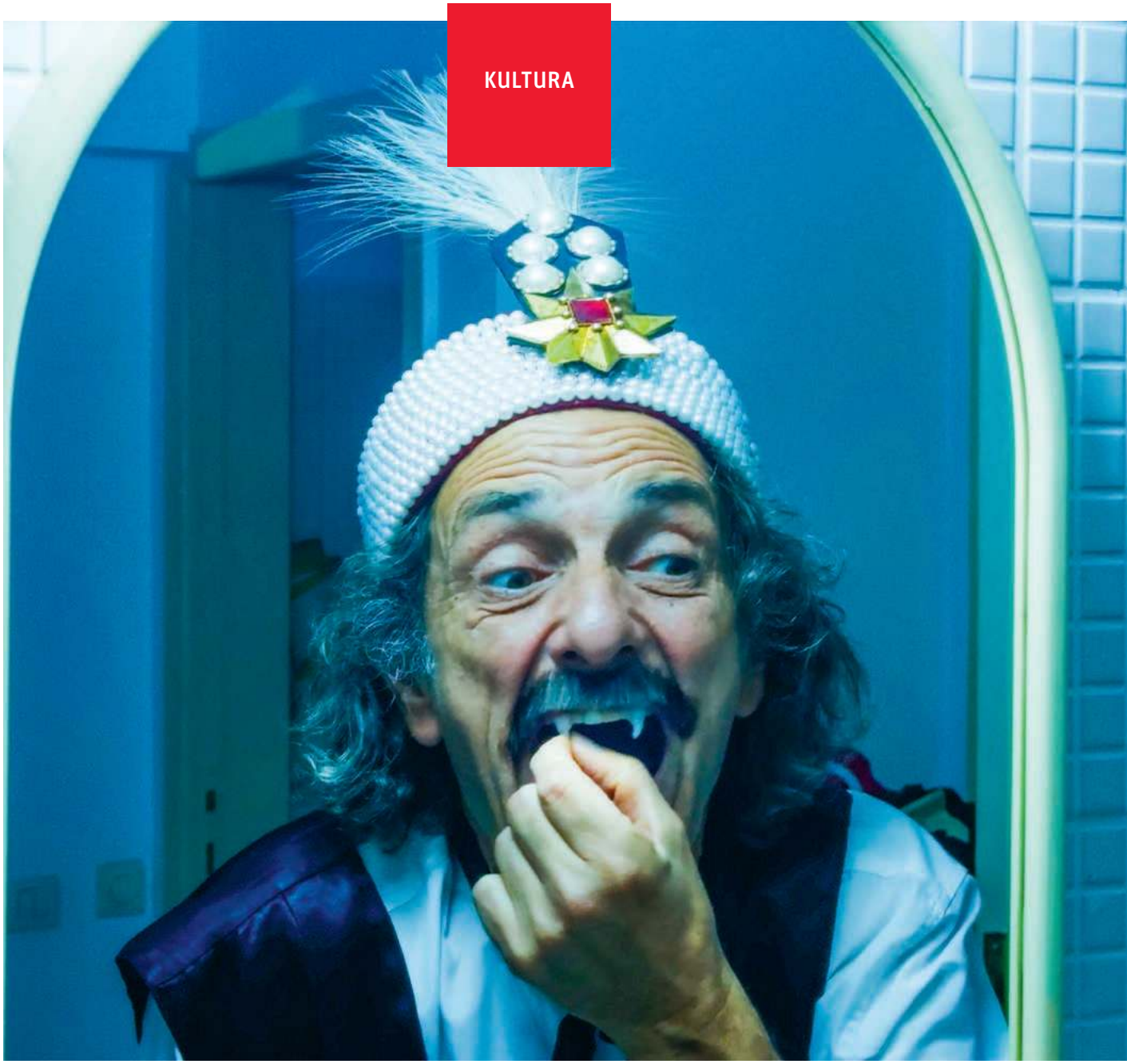
Również wystawy nie funkcjonują jako statyczne prezentacje obiektów. Performans został uznany za równorzędne medium interpretacji wobec tekstów kuratorskich czy katalogów . Muzeum nie kończy się na ekspozycji; jego sens dopełnia się w działaniu.

W efekcie dokumentacja w Cricotece nie oznacza jedynie ochrony zbiorów. Obejmuje ich opracowanie, udostępnianie, badanie, a przede wszystkim – włączanie w nowe konteksty artystyczne i intelektualne. Archiwalia są zabezpieczane, ale zarazem poddawane reinterpretacji. Historia nie zostaje zamknięta w gablocie.

Można powiedzieć, że Cricoteka realizuje model instytucji, która pozostaje ośrodkiem dokumentacji sztuki Tadeusza Kantora, a jednocześnie nie rezygnuje z dynamiki właściwej teatrowi. Archiwum nie jest grobem. Jest miejscem pracy i – co pokazują ostatnie miesiące – przestrzenią, w której archiwum pozostaje w stałym ruchu. ©℗

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 0f983c43b1



DRAKULA Z iPHONE'A

W obliczu kryzysu kina mamy dwie możliwości: uciekać lub szukać sposobu, aby uczynić częścią kina to, co kryzys ów wywołuje – twierdzi reżyser Radu Jude.

JULIUSZ PIELICHOWSKI

eprasa.pl 0f983c43b1



MATERIAŁY PRASOWE

Film „Dracula", reż. Radu Jude, dystr. Aurora Films

W listopadowe deszczowe popołudnie pod bukareszteński kompleks hotelowy nieopodal parku Văcărești podjeżdża granatowy Volkswagen Golf. Gdy otwieram drzwi, ze środka bucha odurzający zapach wanilii. Witam się po angielsku z siedzącą za kierownicą kobietą koło trzydziestki. Wymieniamy spojrzenia we wstecznym lusterku. Dana. Tyle wiem z aplikacji.

Podczas półgodzinnej podróży do centrum miasta, niemal w całości upływającej nam w korku, rozmawiamy o tym, jak się jeździ po Bukareszcie. Mówię, że po jednej próbie poruszania się po nim własnym samochodem, spasowałem i przesiadłem się do Ubera. „*Good choice*" – stwierdza z uśmiechem Dana. Pyta o moje plany na wieczór. Odpowiadam, że jadę do kina. Dopytuje o tytuł filmu. „Dracula", rzecz jasna, brzmi znajomo. O reżyserze nie słyszała.

Przed wejściem do Cinema Union, jednego z kilku ostatnich kin studyjnych w stolicy Rumunii pozostających w rękach państwa, gromadzi się niewielka grupka ludzi. Wybieram miejsce na balkonie. Kino lata świetności ma już dawno za sobą. Do tego akurat dziś doszło do awarii klimatyzacji. Wyświetlacz na szumiącym upiornie nawiewie pokazuje 26 stopni. Zdezorientowana obsługa otwiera na oścież wszystkie drzwi. Do sali dochodzą dźwięki z ulicy. Po chwili rozpoczyna się seans jednego z najdziwniejszych filmów, jakie w minionym roku trafiły na ekrany kin.

Dobre kina

Niespełna trzy miesiące później, pod koniec stycznia, opowiadam Radu Judemu o jesiennej wizycie w Bukareszcie. Nie było go wtedy w Rumunii, bo pracował nad jednym z kilku filmów, który będzie miał premierę w tym roku. Zawsze pracuje nad kilkoma projektami równolegle. Tempo, w jakim dokłada kolejne pozycje do swojej filmografii, jest imponujące i – zwłaszcza w ostatnich latach – nieco szalone.

Pytam, które z bukareszteńskich kin jest jego ulubionym. – Dobre kina w Rumunii to głównie multipleksy. Cinema Union i Eforie, kina studyjne, są już nieco przestarzałe – odpowiada. – Istnieją jeszcze dwa inne kina artystyczne – jedno w Instytucie Francuskim, drugie w Muzeum Rumuńskiego Chłopa. Kilka zostało niedawno zamkniętych, bo znajdowały się w budynkach stwarzających zagrożenie. Moim ulubionym jest Arta, ale ono znajduje się w Klużu.

Kluż pojawia się w naszej rozmowie nieprzypadkowo. Zanim do kin wszedł „Dracula", publiczność w całej Europie mogła obejrzeć bezpretensjonalny w swej prostocie i klarowności „Kontinental '25", świadomie nawiązujący do „Europy '51" Roberta Rosselliniego. Akcja filmu, rozgrywającego się w położonym w północno-zachodniej Rumunii Klużu, drugim co do wielkości mieście w kraju, koncentruje się – jak zwykle u tego reżysera – na postaciach uwikłanych w realia współczesnego kapitalizmu.

Stosunkowo prosta historia łączy elementy satyry społecznej, ironii i czarnego humoru, a także analizy politycznej i ekonomicznej. Tytuł filmu nawiązuje do nazwy hotelu, który stanowi symboliczną przestrzeń spotkania różnych światów i interesów, ukazując napięcia między klasami społecznymi, a także – co nie mniej istotne – obłudę instytucji, tak publicznych, jak prywatnych.

Małe miasteczka

Pytam Radu Judego, dlaczego zdecydował się osadzić akcję filmu właśnie w Klużu. Dotąd znakomita większość jego filmów, z najgłośniejszym (i na dziś chyba najlepszym) „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata" (2023) na czele, rozgrywała się w Bukareszcie.

– Było ku temu wiele powodów – mówi. – Wcześniej nie znałem tego miasta zbyt dobrze, tylko co nieco o nim wiedziałem, ponieważ tam wykładam. Znam miasteczka w okolicy, widziałem, jak zmieniły się one z punktu widzenia rozwoju urbanistycznego, jak dotykały je takie zjawiska jak gentryfikacja. W pewnym momencie, podczas zbierania materiałów i konstruowania fabuły, pomyślałem, że będzie to odpowiednie miejsce dla tej historii. Oczywiście problem dotyczy również Bukaresztu. Dopiero po czasie uświadomiłem sobie, że „Kontinental '25" to opowieść o setkach, jeśli nie tysiącach analogicznych miast i miejsc – w Transylwanii, Europie, na całym świecie.

Wymieniamy się spostrzeżeniami na temat przemian, jakie w ostatnich trzydziestu kilku latach – po upadku naszych nieco odmiennych komunizmów – zachodziły w Rumunii i w Polsce. Analogie są oczywiste.

– Branża budowlana w Rumunii oszalała. Dobrym przykładem może być Florești, które do niedawna było wsią na przedmieściach Klużu, liczącą 6 tys. mieszkańców. W przeciągu dziesięciu lat rozrosło się do liczącego 70 tys. mieszkańców miasta. Łatwo sobie wyobrazić, jak obłędny i niekontrolowany jest to rozwój. Trochę jak w Chinach – mówi Jude.

Opowiadam mu o tym, jak wyglądało to w Polsce. Przywołuję termin „patodeweloperki", który zrobił u nas zawrotną ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

karierę, stając się inspiracją dla całej rodziny pojęć z przedrostkiem „pato-", opisujących stan współczesnej Polski.

– Nie jestem przeciwny postępowi i dobrej architekturze. Niestety ta, która w ostatnich dekadach powstała i powstaje, taka nie jest. Budynki są źle zlokalizowane, niszczone są parki i tereny zielone – opowiada reżyser. – Jakość nie jest dobra, a ceny są wysokie. Nie ma żadnej ochrony socjalnej. Jest za to dużo spekulacji. To skrzyżowanie chciwości korporacji i korupcji. O tym też jest ten film. Oczywiście nie jest to jego główny temat, a jedynie tło, na którym rozgrywa się akcja.

Nowe fale

Rozmowę prowadzimy raptem trzy tygodnie po tym, jak świat obiegła wiadomość o śmierci Béli Tarra. Choć na pierwszy rzut oka trudno o przykład reżysera bardziej odmiennego od Judego, niż twórca „Szatańskiego tanga", wczesne filmy Tarra, jak jego debiutanckie, utrzymane w duchu *cinéma vérité* „Ognisko zapalne" (1979), mogą przywodzić na myśl chociażby „Wszystkich w naszej rodzinie" (2012) Judego czy – szerzej – kino spod znaku rumuńskiej nowej fali (*vide* „Sieranevada" Cristiego Puiu). Jako jedną ze swoich największych inspiracji – zwłaszcza w początkowym okresie twórczości – Tarr wskazywał wszak Jeana-Luca Godarda, który, jak się wydaje, pozostaje nie mniej istotnym, stałym źródłem inspiracji także dla Judego.

– Godard jest dla mnie bardzo ważny. Zasadniczo cała francuska *nouvelle vague* i wszystkie nowe fale, które pojawiły się w kinie po wojnie – w latach 50. i 60. Jednym z powodów jest to, że zmieniły one kino przynajmniej na dwa fundamentalne sposoby: po pierwsze, filmy były znacznie tańsze w produkcji niż wcześniej – nie zapominajmy, że Rohmer zaczynał kręcić na taśmie 16 mm – a po drugie, były one znacznie bardziej otwarte na eksperymenty z formalną stroną filmu. Kino, dzięki *nouvelle vague*, a także dzięki Rosselliniemu przed nią, stało się bardziej eseistyczne i bardziej otwarte na eksperyment. Pomysł, aby pchnąć je w miejsca, w których nigdy wcześniej go nie było, jest mi bardzo bliski.

Dość nieoczekiwanie – a może tylko pozornie nieoczekiwanie – Béla Tarr powraca w naszej rozmowie, gdy pytam o kwestie techniczne dotyczące pracy nad ostatnimi filmami. Zarówno „Kontinental '25", jak i „Dracula" nakręcone zostały przy pomocy iPhone'a. Co ciekawe, również w kinie komercyjnym głównego nurtu pojawił się w ubiegłym roku przynajmniej jeden tytuł („28 lat później" Danny'ego Boyla), którego twórca zdecydował się na zastąpienie profesjonalnych (drogich) kamer filmowych – kamerami w kilku zmodyfikowanych telefonach.

Radu Jude nie ma wątpliwości, że jest to tendencja, która będzie przybierać na sile, co zresztą wywołuje spory niepokój w całej branży filmowej. Jej przyszłość, jak wielu innych, nigdy nie była równie niepewna, co dziś.

– Tarr powtórzył w Klużu słowa, które w ostatnich latach wielokrotnie kierował do młodych filmowców – żeby „pieprzyli przemysł filmowy", wzięli do ręki telefony i zaczęli kręcić filmy. I ja się z nim zgadzam. Jeśli naprawdę chcesz nakręcić film, dostępna jest dziś technologia, która pozwala zrobić to za niewielkie pieniądze lub nawet za darmo.

W kinie Radu Judego nowe technologie współistnieją ze starymi, sprawdzonymi. Pod tym względem wydaje się on jednym z najbardziej wszechstronnych twórców kina.

– Jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju technologie stosowane w produkcji filmowej, chciałbym, aby stare i nowe współistniały. Tak jak w malarstwie. Interesują mnie wszystkie rodzaje kina. Tworzę filmy za pomocą iPhone'a, wykorzystując archiwalne materiały filmowe, fotografie, kręcę na taśmie celuloidowej, zarówno 16 mm, jak i 35 mm, a także domowymi kamerami cyfrowymi.

W swoim najnowszym filmie krótkometrażowym, „Plan contraplan", zaprezentowanym podczas tegorocznego Berlinale, po raz kolejny w swojej karierze Radu Jude wykorzystał materiały archiwalne – tym razem były to zdjęcia, jakie amerykański dziennikarz Edward Serotta wykonał w latach 1985-1987 podczas swojej podróży po Rumunii. W centrum jego zainteresowania byli rumuńscy Żydzi – ich sytuacja pod rządami komunistów. Co ciekawe, Serotta był śledzony przez funkcjonariuszy Securitate, którzy potajemnie dokumentowali – na zdjęciach, a jakże – jego pracę.

W eseju filmowym Judego oba zestawy zdjęć „przyglądają się" sobie w sekwencji ujęć i kontrujęć.

– Uważam, że ten rodzaj kina jest tak samo uzasadniony, jak każdy inny – mówi Jude. – Film może być kompilacją zdjęć własnych lub zrobionych przez innych. Nie ma to znaczenia.

Stare historie

„Dracula", ostatnia pełnometrażowa fabuła Radu Judego, nie jest klasyczną adaptacją powieści Brama Stokera. To raczej współczesny, ironiczny i polityczny esej filmowy, który wykorzystuje postać Drakuli jedynie jako punkt wyjścia do refleksji nad kapitalizmem (raz jeszcze), przemysłem turystycznym czy komercjalizacją legendy Vlada Palownika.

Równie istotnym tematem pozostaje relacja między Wschodem a Zachodem Europy, stereotypami dotyczącymi Rumunii, a także refleksja nad historią i jej przekształcaniem w produkt kulturowy. Zamiast horroru dostajemy analizę mitu Drakuli jako „towaru eksportowego" i symbolu, który Zachód Rumunom w dużej mierze narzucił.

Jude, jak ma w zwyczaju, w swojej reinterpretacji narodowego mitu miesza dokument z fikcją, cytaty z literatury z obrazami współczesności, archiwalia z komentarzem politycznym. Sięga wreszcie po wciąż zakazany w wielu kręgach filmowych owoc naszych czasów – sztuczną inteligencję.

Co ciekawe, obecna jest tu na dwóch poziomach: zarówno jako wątek fabularny (główny bohater, młody reżyser, w poszukiwaniu inspiracji radzi się SI w kwestiach fabularnych), jak i narzędzie w rękach rzeczywistego reżysera filmu, służące do generowania najbardziej absurdalnych, dziwnych, a wręcz czasami odrażających obrazów.

– Zwracam uwagę na zalew wszelkiej maści obrazów i treści wideo, z którymi mamy do czynienia na co dzień, ponieważ uważam, że kino jest w głębokim kryzysie i mamy dwie możliwości: uciec lub przyjąć fakt kryzysu do wiadomości i poszukać sposobu, aby uczynić częścią kina to, co kryzys ów wywołuje. Czyli przede wszystkim nieprzebrane morze obrazów, jakie nas otaczają. „Dracula" częściowo dotyka właśnie tej kwestii. Z jednej strony staram się pokazać pewne możliwości wykorzystania takich narzędzi jak sztuczna inteligencja, a z drugiej archiwalnych obrazów do ponownego opowiadania starych historii.

RONNY HARTMANN / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl 0f983c43b1



Rumuński reżyser **RADU JUDE** *od lat cieszy się nad Wisłą reputacją najwybitniejszego twórcy filmów o Polsce, których akcja nie toczy się w Polsce. W 2025 r. zaprezentował dwa kolejne – „Kontinental '25" oraz „Draculę" – w których, jak ma w zwyczaju, poddał krytycznemu oglądowi najważniejsze zjawiska trawiące rumuńskie społeczeństwo, ale i kulturę jako taką. Na zakończonym przed kilkunastoma dniami Berlinale oglądaliśmy też pierwszą z jego tegorocznych premier.*

Motyw sztucznej inteligencji poruszył niedawno w „Drugim akcie" (2024) Quentin Dupieux – inny niezwykle płodny reżyser, reagujący niemal w rzeczywistym czasie na przemiany kulturowe. W jego tylko pozornie humorystycznej wizji współczesnej branży filmowej sztuczna inteligencja nie tyle służy reżyserowi wsparciem i radą, co po prostu go zastępuje.

– Nie widziałem jeszcze filmu Dupieux, ale szanuję go jako filmowca. Jeśli chodzi o sztuczną inteligencję w filmie, traktuję ją jak kolejne narzędzie, z którego mogę skorzystać. Jeśli chcesz nakręcić film na podstawie scenariusza napisanego przez sztuczną inteligencję, zrób to – zachęca Jude. – Tak postąpiłem w przypadku „Draculi". Trzeba spróbować i zobaczyć, jaki będzie rezultat. Nigdy nie ukrywałem, że wykorzystałem obrazy generowane przez sztuczną inteligencję. Uważam je za bardzo interesujące pod wieloma względami. Jeśli mogę je twórczo wykorzystać i mam ku temu powód, robię to. Jeśli produkcja filmowa jest skazana na całkowite przejęcie przez maszyny, zapewne będziemy musieli zmienić profesję i zwrócić się ku, na przykład, teatrowi. Obawiam się sztucznej inteligencji, jak wszyscy, ale wolę spróbować się z nią skonfrontować, niż przed nią uciekać.

Inne filmy

Choć na stałe mieszka w Budapeszcie, Radu Jude podkreśla, że jego korzenie to rumuńska prowincja.

– Dorastałem na dość ubogiej wsi, w której warunki życia były zbliżone do średniowiecznych, mimo że położona jest około 70 kilometrów od Bukaresztu. Oczywiście miasto oferuje inny styl życia, inne relacje i być może właśnie dlatego od zawsze tak bardzo pociągało mnie życie w mieście. Lubię rodzaj kolażu, jaki oferuje miejski pejzaż. Szczególnie w Bukareszcie, który jest tak bardzo chaotyczny.

Po chwili jednak dodaje:

– Co ciekawe, obecnie pracuję nad dwoma filmami, które będą kręcone na wsi, więc wkrótce spróbuję pokazać również inne rodzaje przestrzeni. Oba są współczesnymi opowieściami – jedna rozgrywa się latem, a druga zimą.

Gdy pytam, czy – jak wielu reżyserów z tej części świata – odczuwa pokusę, by spróbować kręcić filmy „na Zachodzie", a w szczególności – filmy anglojęzyczne, oderwane od środkowo-wschodnioeuropejskich traum i nie zawsze jasnych dla odbiorców spoza Mitteleuropy kontekstów, zdecydowanie zaprzecza, choć w naturalny sposób coraz częściej jego projekty wychodzą poza granice Rumunii.

– Jednym z moich ostatnich przedsięwzięć jest krótki film wykorzystujący zwiastuny włoskich filmów porno. W pewnym sensie jest to więc film włoski, sfinansowany przez Museo Nazionale del Cinema w Turynie. Właśnie skończyłem także prace nad montażem filmu nakręconego we Francji, głównie w języku francuskim. Przymierzam się również do napisania scenariusza pod roboczym tytułem „Frankenstein w Rumunii", głównie w języku angielskim. Wszystko zależy od projektu. Ale nie myślę – i nigdy nie myślałem – w kategoriach kroków w karierze. Rumunia i rumuńskie historie przyciągają mnie. To interesujący kraj, który wyswobodził się spod brutalnej dyktatury komunistycznej, choć obecnie rządzi nim inna, nie mniej brutalna ideologia, czyli neoliberalna gospodarka. Również położenie geograficzne na skraju Europy Środkowej i Wschodniej, blisko Rosji i Turcji, religia, historia, język – wszystkie te rzeczy sprawiają, że Rumunia jest trudnym krajem do życia, ale interesującym pod względem narracyjnym.

Polskie konteksty

Opis ten pasuje poniekąd do Polski. Popularność Radu Judego w naszym kraju jest fenomenem wartym osobnego omówienia. Jak Rumuni, przeszliśmy drogę od komunizm do neoliberalnego kapitalizmu. Stąd filmowe diagnozy stawiane po drugiej stronie Karpat wydają się boleśnie znajome: znamy cenę transformacji, bezbłędnie rozpoznajemy hipokryzję elit, rozumiemy rozczarowanie demokracją tych, którzy w bilansie nowego porządku znaleźli się po stronie strat.

Jak Rumuni, toczymy nieustanne spory o pamięć historyczną. Wreszcie: posiadamy bogatą tradycję kina moralnego niepokoju. Radu Jude doskonale wpisuje się w tę estetykę – choć w bardziej ironicznym, postmodernistycznym wydaniu, którego we współczesnym kinie polskim wciąż brakuje.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

eprasa.pl 0f983c43b1



MATERIAŁY PRASOWE

Serial „Splinter Cell: Deathwatch", Netflix

Hobby: szpieg

JAN ŻERAŃSKI

GRY | Tajne operacje, podwójne tożsamości i misje, o których nikt oficjalnie nie mówi – gry szpiegowskie pozwalają nam wejść do świata międzynarodowych intryg.

Sam Fisher to fikcyjna postać stworzona ponad dwadzieścia lat temu na potrzeby serii gier „Tom Clancy's Splinter Cell", w których, zamiast zabijać przeciwników, nacisk położony jest na elementy zwane „*stealth*", czyli skradanie się (stąd polska nazwa „gry skradankowe" albo po prostu „skradanki").

Zadania? Dostać się do bazy wroga albo tajnego laboratorium, zdobyć tajne dokumenty albo prototypy wynalazków, czasem: zniszczyć elementy infrastruktury wroga.

Komandor podporucznik Fisher dostał właśnie od Netfliksa ośmioodcinkowy serial animowany „Splinter Cell: Deathwatch". Polscy gracze zacierają ręce, bo okazuje się, że były członek Navy Seals i oficer CIA emeryturę postanowił spędzić... na Suwalszczyźnie. Jako Miłosz Bolesław przyjął nawet polskie obywatelstwo.

Tajne przez poufne

W serialu Netfliksa wszystko zaczyna się od tego, że w tarapaty podczas misji wpadła młodsza koleżanka Fishera, niedoświadczona szpiegini Zinnia McKenna, a w tle, oczywiście, pojawia się globalna konspiracja. Chociaż komandor Fisher został wymyślony przez scenarzystów Ubisoftu, to agencje, dla których pracował – Centralna Agencja Wywiadowcza oraz Narodowa Agencja Bezpieczeństwa – nie są wymysłem. Przez pewien czas ta druga była jednak tak tajna, że żartowano o jej istnieniu.

Czym zajmuje się NSA? Między innymi zbieraniem i analizowaniem elektronicznych danych wywiadowczych: rozmów telefonicznych, komunikacji internetowej. To jedno z kryptologicznych serc systemu ochrony Stanów Zjednoczonych. Sama agencja, zwykle stojąca w cieniu jeszcze bardziej niż CIA, znalazła się zresztą w oku medialnego cyklonu, gdy jej pracownik, Edward Snowden, ujawnił istnienie PRISM, tajnego masowego programu inwigilacji internetu z pomocą wielkich amerykańskich korporacji technologicznych.

Po ujawnieniu sprawy Snowden zbiegł w iście hollywoodzkim stylu poprzez Hongkong do Moskwy, gdzie uzyskał azyl polityczny i żyje do dziś, najpewniej pracując jako informatyk dla służb Kremla. Kto wie, być może Fisher lub jego następczyni zostaną kiedyś wysłani do Moskwy, żeby zlokalizować zdrajcę i sprowadzić go do kraju.

Bond po japońsku

Najsłynniejszym szpiegiem popkultury jest oczywiście James Bond, który od dekad zapewnia rozrywkę fanom na całym globie. Za wirtualne przygody Jamesa Bonda wzięli się teraz Japończycy, którzy sięgnęli po filmy oraz twórczość Iana Fleminga, a potem po swojemu je przerobili.

Dzieckiem kultury remiksu po japońsku okazała się seria „Metal Gear" (1987), a zwłaszcza „Metal Gear Solid" (1998) i jej kolejne części. Twórca franczyzy Hideo Kojima nigdy nie ukrywał fascynacji Bondami, a Solid Snake (jeden z dwóch głównych protagonistów serii „Metal Gear") oraz inni bohaterowie związani w ten czy inny sposób z fikcyjną organizacją Foxhound sami w sobie stali się nieodłącznymi elementami krajobrazu japońskiej kultury masowej. Świat może się zmienia, zmieniają się także jego bohaterowie oraz technologie, ale rozbudowane uniwersum Snake'a daje wciąż masę radości.

Dość powiedzieć, że przy pisaniu tego artykułu autor słuchał cudownego soundtracku z gry „Metal Gear Solid 3: Snake Eater" (2004), osadzonej w czasach zimnej wojny. Już przy pierwszych dźwiękach piosenki tytułowej wykonywanej przez Cynthię Harrell fani Jamesa Bonda uśmiechną się, słysząc znajome nuty nawiązujące do hitu Tiny Turner. Jeśli ktoś miałby nakręcić nowego kinowego Bonda, Hideo Kojima byłby najlepszym z możliwych wyborów.

Nielegalna szpiegini

Oczywiście nie wszystkie gry o tematyce szpiegowskiej przebiły się do świadomości graczy w takim stopniu, jak „Metal

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 0f983c43b1

Gear Solid", „Tom Clancy's Splinter Cell" czy „GoldenEye 007" (1997). Wyjątkowego pecha miała na przykład gra „The Operative: No One Lives Forever".

W grze wyprodukowanej przez Monolith Studios w 2000 r. wcielamy się w rolę oficer Cate Archer z fikcyjnej agencji Unity, której zadaniem jest zlikwidowanie globalnej organizacji H.A.R.M. Sama gra, choć znów osadzona fabularnie w czasach zimnej wojny, została przez swoich twórców pomyślana jako jeden wielki żart, zarówno z Jamesa Bonda, jak i całej kultury macho.

Niestety, chociaż od premiery minęło ćwierć wieku, Cate Archer z powodów prawnych nie może stać się franczyzą tak jak gry z serii „Splinter Cell" czy „Metal Gear Solid". Po prostu do końca nie wiadomo, jaki jest status gry ani do kogo należą prawa do tytułu, z uwagi na zmiany w strukturach właścicielskich studia.

Skutkiem ubocznym zaistniałej sytuacji jest to, że gracze nie mogą kupić tego tytułu legalnie. Pozostaje liczyć jedynie na to, że prawnicy wielkich korporacji dogadają się ze sobą albo sprawę wezmą w swoje ręce pasjonaci, ponieważ kod źródłowy produkcji wiele lat temu został udostępniony w sieci.

Śląski Counter-Strike

Gdyby zaś chcieli Państwo spróbować przygody ze służbami mundurowymi, ale w nieco innym formacie, także policja (szczególnie jej oddziały antyterrorystyczne) doczekała się swoich strzelanek taktycznych.

Na rynku dostępne są produkcje zarówno dotyczące fikcyjnych, jak i prawdziwych jednostek, w których odbijamy zakładników, zabezpieczamy teren opanowany przez terrorystów. Seria SWAT, początkowo znana jako Police Quest, dostępna jest na rynku od 1987 r. Niedawno wyszedł następca wydanej w 2005 r. SWAT 4, czyli „Ready or Not".

Od dwóch dekad poszaleć można oczywiście w legendarnym „Counter-Strike'u". Rozgrywka jest, co do zasady, prosta: drużyny terrorystów i antyterrorystów próbują powstrzymać siebie nawzajem. Od lat odbywają się międzynarodowe turnieje, w których mierzą się najlepsi gracze „Counter Strike'a" z całego świata. W listopadzie 2026 r. turniej w ramach ESL Pro League odbędzie się w Katowicach. Pula nagród wynosi milion dolarów. ©

Miłość dla początkujących

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

W KSIĘGARNIACH | Motyle w brzuchu? Rumieńce? Nic z tych rzeczy! Książki dla dzieci przedstawiają miłość jako ciężką pracę, wątpliwości i uczenie się na błędach.

W maszynerii miłości coś się rozstroiło. Miłość już nie działa. Upodabnia się do jednorożca. Zwierzę cudo, tyleż pożądane, co nieistniejące" – przestrzega socjolog Tomasz Szlendak w swojej najnowszej książce. Zmieniła się struktura społeczno-płciowa, pogłębia się rozdźwięk światopoglądowy między kobietami i mężczyznami. Panie migrują do miast za wykształceniem i dobrą pracą, a niekoniecznie za związkiem. Aplikacje randkowe dają iluzję nieograniczonego wyboru i nakręcają nierealistyczne oczekiwania wobec drugiej połówki. Popkultura też nie pomaga – stała się skansenem czerstwych niczym sucharki wyobrażeń o motylach w brzuchu i gromach z jasnego nieba.

No i klops. Czyżby dzisiejsi dwudziestolatkowie mieli być ostatnim pokoleniem, które ma, jakkolwiek cherlawą i mglistą, szansę na znalezienie jednorożca miłości? A potem zapadnie cyfrowa kurtyna i kolejne generacje będą co najwyżej symulować romanse z czatbotami?

Według australijskiego think tanku McCrindle pokolenie Alfa (osoby urodzone w latach 2010-2024) oraz Beta (dzieci przychodzące na świat między rokiem 2025 a 2039), są i będą tymi generacjami, dla których komunikacja elektroniczna jest niemal równie pierwotna, jak komunikacja analogowa.

Ta pierwsza być może wyprze tę drugą, ale inne scenariusze też są możliwe. Najmłodsi są tą grupą w wielu społeczeństwach, która najwięcej czyta. Sukcesy krakowskiego Festiwalu Literatury dla Dzieci i tłumnie odwiedzanych sekcji dla najmłodszych na licznych targach książki udowadniają, że nawet jeśli jednorożec miłości niedomaga, to pegaz pasji czytelniczej ma się dobrze.

A czy od miłości do książek wiedzie jakaś droga na skróty do romantycznych porywów serc? Literatura nie nauczy sztuki kochania, ale przybliży odległe galaktyki i bliskie mikrokosmosy miłości. Pokaże, że na uczucie nigdy nie jest za wcześnie, za późno albo nie w porę. I że zakochanie to przygoda, a nie przymus.

Miłosna mapa świata

Nie ma dolnej ani górnej granicy wieku, w którym nie wypada czytać o miłości. Zwłaszcza że, obok czasu, empatii i odpowiedzialności, to jedno z najtrudniejszych dla młodego umysłu pojęć. Można do sprawy podejść metodycznie i zacząć przygodę z miłością od poświęconych jej leksykonów. Wydawnictwo Kropka wydało w zeszłym roku dwa atlasy przeznaczone dla starszych przedszkolaków.

W „Książeczce pełnej miłości" Vity Murrow z ilustracjami Annelies Draws podróżujemy do odległych zakątków świata, żeby poznać sposoby, w jakie ludzie okazują sobie uczucia. Dowiemy się, jakie prezenty dają sobie zakochani na Samoa i jak wyznaje się romantyczne uczucia na Hawajach. Autorka sięga do nieoczywistych języków jak jupik środkowy (jeden z rdzennych języków Alaski) albo joruba (używany w Nigerii i Brazylii), żeby opowiedzieć o tym, na ile sposobów można nazwać miłość. Przybliża także obyczaje w miejscach nam bliższych, jak Dania czy Anglia, potrawy, którymi przez żołądek dociera się do serca w Galicji i Francji lub miłosne komplementy z Katalonii i Luksemburga. ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ Nie zabraknie ciekawostek – na przykład, że w serbskim słowo „miłość” jest koloru fiołkowego. Na stronach poświęconych językowi polskiemu przeczytamy, że w staropolszczyźnie wyraz miłość znaczył „łaskę”, „litość” i „zadowolenie” oraz że do ukochanej osoby Polacy często zwracają się per „żabko”, słuchając romantycznej muzyki Fryderyka Chopina.

Choć kilkulatkowie nie zapamiętają zawartych w dwustustronicowej książce trudnych nazw, a jej przekaz jest wyidealizowany, warto sięgnąć po ten tytuł, bo wynika z niego, że miłość jest czymś, co ludzie pielęgnują bez względu na język i miejsce zamieszkania.

Podobną, ale dużo mniej obszerną propozycją jest „Miłość wokół nas” Alli Brydon z ilustracjami Wazz Pink. Akcent jest położony na obyczaje i święta związane z miłością. Prostym i zrozumiałym dla przedszkolaka językiem autorka opisuje m.in. Święto Lampionów, czyli chińskie Walentynki, albo tradycje zaręczynowe z Fidżi. Przeszłość miesza się tu z teraźniejszością.

Zadaniem dla rodzica będzie oddzielić jedno od drugiego i wytłumaczyć na przykład to, że na przyjemnych dla oka ilustracjach przedstawiciele niektórych państw noszą tradycyjne stroje ludowe (np. mieszkańcy Fidżi i Maorysi), a inni, jak Amerykanie i Japończycy, całkiem współczesne ubrania. Może będzie to zaproszenie do rozmowy o tym, że miłość jest stara jak świat, który bardzo szybko się zmienia.

Chłopaki też czują

Nadal pokutuje przeświadczenie, że chłopcom z tkliwymi uczuciami jest nie po drodze. Przykład? Od ośmiu lat wydawany jest dwumiesięcznik „Kosmos dla Dziewczynek”, adresowany do czytelniczek w wieku 7-13 lat. Nie znajdziecie jednak w salonach prasowych „Wszechświata dla Chłopców”. Owszem, istnieją psychologiczne „Małe Charaktery”, które nie definiują płci docelowego odbiorcy, ale więcej w nich dziewczyńskich tematów.

Dlaczego to ważne? Wspomniany „Kosmos” proponuje treści psychologiczne, dostosowane do rozwoju emocjonalnego odbiorczyń. Podpowiada, jak rozwiązać problemy z samooceną i akceptacją przez innych. Temat zakochiwania się nie pojawia się często, bo życie dziewczynek kręci się raczej wokół przyjaźni niż wypatrywania księcia na białym koniu. W numerze 17 pod hasłem „Dziewczyny i chłopaki” (wydania archiwalne są w ciągłej sprzedaży online) czytamy: „Zakochanie to ważne doświadczenie, ale nie jedyne uczucie, które łączy dziewczyny z chłopakami. Możesz lubić się z chłopakiem, i tyle”. No właśnie, można zacząć od przyjaźni i wzajemnego szacunku jako fundamentu przyszłych relacji.



Grzegorz Kasdepke, **ROMANS PALCE LIZAĆ**, *ilustracje: Joanna Rusinek, wydawnictwo Literatura*



Sabine Lemire, **MIRA #1**, *ilustracje: Rasmus Bregnhøi, wydawnictwo Dwie Siostry*



tekst i ilustracje: Alex Norris, **RATUNKU, MIŁOŚĆ!**, *Wydawnictwo Dwie Siostry*

Na szczęście literatura nie traktuje emocji chłopców po macoszemu. Czasem podchodzi do nich w dość niekonwencjonalny sposób, pokazując, że uczenie się na błędach może być frajdą. Dobrze wie o tym Edek, rezolutny kilkulatek z cyklu Thomasa Brunstrøma z ilustracjami Thorbjørna Christoffersena. Początkowo był bohaterem drugiego planu w serii tych duńskich autorów o Tacie Oli, w Polsce wydawanej od kilku lat przez Dwukropek.

Siedmioletnia Ola to rozważna i akuratna dziewczynka, mająca ekstrawertycznego tatę, któremu nie do końca udało się dorosnąć. Jego kolejne obciachowe pomysły przyprawiają Olę o ciarki. Łobuzujący w tle młodszy brat Oli, Edek, udowadnia, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Bez wątpienia jest chłopcem szczęśliwym. Wychowywanym bezstresowo, radosnym i niezłośliwym, przynajmniej jeśli chodzi o intencje, a nie konsekwencje. W supermarkecie zatrzaskuje się w lodówce, a na bal karnawałowy przebiera się za toaletę. Skradłszy serca czytelników i ich rodziców, Edek zapracował na własną serię, kierowaną do trzy- i czterolatków. Po polsku ukazało się już sześć tomów tego spin-offu.

W najnowszym tomie pt. „Edek jest zakochany” pojawia się Marta, nowa koleżanka w przedszkolu – „Edek strasznie ją lubi, chociaż sam nie wie dlaczego”. Nie wie też, jak można się zakumplować z dziewczynkami, bo nigdy wcześniej nie czuł takiej potrzeby. Jest dzieckiem czynu, więc zwraca się do taty, eksperta od wszystkiego, o porady. Te przynoszą więcej szkody niż pożytku, bo Edek usilnie kopiuje strategie dorosłych (gotowanie dla ukochanej, prezenty, kwiaty, usługiwanie itd.) na miarę swoich kilkuletnich możliwości.

Wreszcie idzie po rozum do głowy i pyta inną dziewczynę o to, co lubią dziewczynki. Ola daje mu najlepszą możliwą wskazówkę – żeby był sobą i przestał traktować Martę jak przybyszkę

eprasa.pl 0f983c43b1

z innej planety. Radzi mu zapytać ją o to, w co chciałaby się z nim bawić. Lody zostają przełamane i wkrótce okaże się, że Marta to nie żadna księżniczka, ale – podobnie jak Edek – niezłe ziółko.

Sztafeta pokoleń

Rozterki sercowe chłopców nieco i dużo starszych opisał Grzegorz Kasdepke w „Romansie palce lizać". Książka ukazała się piętnaście lat temu, potem leżała zapomniana pod stertą regularnie wydawanych przez pisarza z Saskiej Kępy bestsellerów. Wreszcie, zeszłej wiosny została wznowiona przez Wydawnictwo Literatura z nowymi ilustracjami Joanny Rusinek.

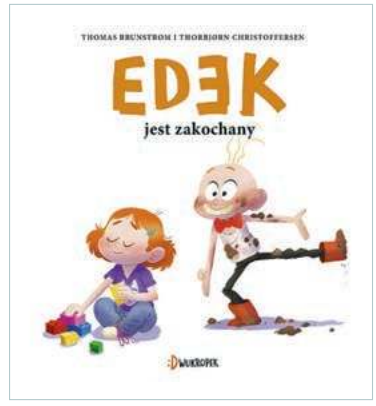
Po tej – jak zaznacza autor w liście do czytelników – „książce napisanej na prośbę chłopaków, którą chętnie czytają dziewczyny", trochę znać upływ czasu. Młodzi ludzie używają tu telefonów do czynności tak archaicznej jak dzwonienie do siebie i spotykają się twarzą w twarz w herbaciarni. Scenografia i rekwizyty są niewątpliwie oldskulowe.

Jednak jeżeli chodzi o uczucia, to kto jak kto, ale Grzegorz Kasdepke ma na nie sposób. Podchodzi do nich na bardzo bliską odległość, przygląda się temu, jak w zwyczajnych sytuacjach budują i burzą dziecięcy dobrostan, lecz opisuje je z dystansu, z ironią, nie pozwalając im przejąć opowieści. Udowodnił to już w tetralogii o przedszkolakach z grupy pani Miłki, gdzie jedną z osi fabuły jest sympatia, jaką pięcioletnia Rozalka żywi do rudego Grzesia, a w dowód tegoż uczucia próbuje go pocałować. Okazuje się to misją tyleż romantyczną, co straceńczą, bo Grześ dzielnie unika wszelkich prób skradzenia mu buziaka. Jak to w życiu – nie każda strzała Amora przebija dwa serca, ale każdy ma prawo do tego, żeby nie być całowanym wbrew woli.

Amor z „Romansu palce lizać" ma trochę lepsze oko, lecz nie wszystko pójdzie jak po maśle. Masło, mąka i kakao jednak się przydadzą, bo trzej protagoniści miłosne katusze łagodzą gotowaniem popisowych dań, a przepisy na nie są częścią książki. Dziadzio Feluś, tata Felicjan i syn Felek są zakochani, na domiar złego nieszczęśliwie. Senior rodu udaje hipochondryka, żeby tylko wybrać się na wizytę do wyniosłej doktor Skowrońskiej. Felicjan środkowy, astronom, ma wzrok utkwiony wysoko w gwiazdach i nie zauważa, że żona ma spakowane walizki.



Vita Murrow, **KSIĄŻECZKA PEŁNA MIŁOŚCI**, *ilustracje: Annelies Draws, wydawnictwo Kropka*



Thomas Brunstrøm, Thorbjørn Christoffersen, **EDEK JEST ZAKOCHANY**, *ilustracje: Thorbjørn Christoffersen, wydawnictwo Dwukropek*



Alli Brydon, **MIŁOŚĆ WOKÓŁ NAS**, *ilustracje: Wazza Pink, wydawnictwo Kropka*

Gdyby miał możliwość lektury wspomnianej wyżej książki Szlendaka, to dowiedziałby się, że dziś kobiety oczekują przede wszystkim zaangażowania, a jeśli go nie otrzymują, to odchodzą pierwsze. Natomiast najmłodszy ze sztafety Felek kocha się w Marysi, która nie rozumie, dlaczego ten miły kolega najpierw jej nadskakuje, a potem unika. A on się po prostu zakochał i cała pewność siebie uleciała z niego jak z przebitego balonika.

Autor ogląda mężczyzn młodszych i starszych w sytuacjach, kiedy ich uczucia nic sobie nie robią z konserwatywnego mitu męskości. Przeżywają katusze niepewności i zwątpienia, z trudem zbierają się na odwagę, żeby powiedzieć wybrance o tym, co czują, lecz kiedy tylko wstępuje w nich nadzieja, że nie wszystko stracone, są nie do zatrzymania. Nawet jeśli biegną w przetartych bamboszach, w staromodnym kombinezonie narciarskim albo z błędnym wzrokiem przez ulice Saskiej Kępy. Swoim wcale nie słomianym zapałem udowadniają, że choć miłością nie zmienimy tych, których kochamy, to możemy odnaleźć w sobie czułe męstwo, którego zupełnie się po sobie nie spodziewaliśmy. Dalsze perypetie trzech Felicjanów i ich wybranek Kasdepke spisał i doprawił szczyptą psychologii w tomie „Serce i inne podroby", którego wznowienie jest niedługo planowane.

Przyjaźń czy kochanie

Nie wiem, jak robią to Duńczycy i inni Skandynawowie, ale potrafią odmalować życie dzieci w sposób niecukierkowy, a jednocześnie radosny i dowcipny. Tak też jest z miłością – czasem słońce, czasem... ulewa. Różne zjawiska miłosne dzieją się wokół Miry, bohaterki duńskiej serii komiksów autorstwa Sabine Lemire i Rasmusa Bregnhøi, przeznaczonej dla czytelniczek powyżej dziewiątego roku życia. W lutym w Wydawnictwie Dwie Siostry ukaże się szósty tom cyklu.

Mira chce zostać fotografką i blogerką, robić coś kreatywnego, podobnie jak jej samodzielna mama, pracująca w branży reklamowej. Bardzo się kochają, chociaż córka uważa, że jej rodzicielka często zachowuje się totalnie żenująco. To z powodu pogoni za szczęśliwym związkiem, która często prowadzi kochliwą mamę w ślepe uliczki.

Jest uwikłana w ten paradoks, o którym pisze Tomasz Szlendak. Wierzy w mit ↦

eprasa.pl 0f983c43b1

↦ miłości romantycznej, ale mimo prób nie udaje jej się znaleźć tego jednorożca. W tomie pierwszym oglądamy galerię chłopaków mamy, poznanych przez aplikacje randkowe albo... podczas wręczania mandatu. Żadna relacja nie trwa jednak długo, gdyż na wierzch wychodzą różnice nie do pogodzenia.

Miłosne życie dorosłych smakuje jak słodko-gorzkie żelki z lukrecją. Mira widzi rozczarowanie mamy i wątpi w to, że warto się zakochiwać. Na szczęście ma przyjaciół, Naję i Louisa. Niestety Naja jest ciągle w kimś zakochana i zaczyna się zadawać z dziewczynami, dla których sprawy sercowe są na porządku dziennym. Mira gotowa jest myśleć, że coś z nią nie tak, skoro nigdy nie czuła motyli w brzuchu. „Może jeśli będę myśleć o jakimś chłopcu, na przykład o Louisie, to wtedy stracę dla niego głowę? Jakieś pół godziny dziennie powinno wystarczyć. To chyba nie może być takie trudne?" – zastanawia się. Wkrótce dojdzie do wniosku, że prawdziwa przyjaźń jest cenniejsza niż zakochiwanie się po to, żeby być jak inne dziewczyny.

W drugim tomie mama ma stałego partnera, który stara się być dla Miry jak ojciec. Ale to nie to samo, co prawdziwy tata. Mira marzy tylko o tym, żeby go poznać. Kiedy wreszcie ma to nastąpić, okazuje się, że on latami nie wiedział o tym, że ma córkę. Mama dowiedziała się, że jest w ciąży, po tym, jak się rozstali, i nie chciała robić mu kłopotu. Mira ma poważne zastrzeżenia co do tego, jak zachowują się dorośli. Na szczęście tata jest nią zachwycony i chce być obecny w jej życiu. Poznaje jego żonę, przyrodniego młodszego brata i przekonuje się, że każda rodzina jest (nie)szczęśliwa na swój sposób.

Zaczyna lepiej rozumieć Louisa, który żyje między domami mamy i taty. W kolejnych tomach dziewczynka spotyka uroczego Jonasa i słodkiego Gunnara, ale obok miłych uczuć na horyzoncie pojawia się zazdrość i hejt ze strony innych. Przeżywa stratę bliskiej osoby i musi zmierzyć się z widmem przeprowadzki na Bornholm, z dala od przyjaciół i taty. W najnowszym tomie, który ukaże się w lutym, powiększa się rodzina taty, a Mira przestaje być jego jedyną córeczką. Boi się, że przestanie być kochana.

W wielokrotnie nagradzanych komiksach Lemire i Bregnhøi rzeczywistość dzieci, które coraz częściej żyją w patchworkowych rodzinach, nie jest podkolorowana ani udramatyzowana. I dobrze, bo na rzeczywistość nie ma się co obrażać, lepiej czerpać z niej tyle radości, ile się da. Autorzy bardzo dowartościowują przyjaźń jako najpewniejsze koło ratunkowe w sercowych i rodzinnych tarapatach.

Natomiast dla starszych i już zakochanych czytelników, 14-15+, Dwie Siostry przygotowały coś w rodzaju książkowego pontonu. Poradnik Aleksa Norrisa „Ratunku, miłość!", opracowany w formie komiksu, to coś więcej niż zestaw praktycznych porad na temat randek, całowania czy życia po rozstaniu. To żartobliwa i żarliwa pochwała dobrych relacji z sobą i innymi, bez względu na to, w jakich konfiguracjach będą one budowane. Ale miłość nastolatków to już temat na inny artykuł.

Można, ale nie trzeba

W nowych książkach o miłości dla dzieci widać zachodzącą zmianę społeczną. Zamiast „żyli długo i szczęśliwie", mamy zmiany, wpadki, rozczarowania, rozstania i niepewność – nie tylko co do uczuć drugiej osoby, ale i własnych. Jednak autorzy są dalecy od zniechęcania czytelniczek i czytelników do podejmowania prób i szukania własnych dróg do szczęścia. Między wierszami sugerują, żeby najmłodsi łagodniejszym wzrokiem spojrzeli na dorosłych i ich sercowe porażki, bo miłości każdy uczy się tylko na własnych błędach.

Przekonują też, że stan zakochania nie definiuje naszej wartości. Można kochać romantycznie, ale nie trzeba. To uczciwe postawienie sprawy. Jeśli miłość ma działać, nie zrobi tego pod przymusem. A jeżeli symbolizujący jej agonię jednorożec ma się zmienić w stworzenie faktycznie występujące w przyrodzie, to czas porzucić opowieści o księżniczkach i rycerzach na rzecz książek traktujących dziewczynki i chłopców oraz ich rozterki na serio – nawet jeśli z lekkim przymrużeniem oka.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

TP POLECAMY



MATERIAŁY PRASOWE

„MORDERCA SZYTY NA MIARĘ", *serial dokumentalny, reż. Rafał Skalski, HBO Max*

To miał być spektakularny tryumf organów ścigania. I opowieść niczym z kryminału: o bezkompromisowym i nieszablonowym śledczym, dzięki któremu sprawiedliwości po latach staje się zadość. Bo sprawa też wyglądała jak z kryminału. W 1998 r. w Krakowie zaginęła studentka Katarzyna Zowada. Niebawem na Wiśle w mechanizm pchacza barek zaplątała się jej skóra: precyzyjnie odpreparowana i skrojona jak gorset. 19 lat później po wymyślnym śledztwie angażującym ogromne środki i koszty, które zdążyło już obrosnąć legendą, o zbrodnię oskarżono chorego na schizofrenię Roberta Janczewskiego. Z końcem 2024 r. sąd II instancji całą tę legendę obrócił w perzynę. Tysiące stron akt okazały się nie zawierać żadnego dowodu winy oskarżonego, którego uniewinniono. Trzyodcinkowy serial dokumentalny HBO Max opowiada nie tylko o bezmiernej kompromitacji prokuratora, policji i sądu I instancji, który skazał Janczewskiego na dożywocie na podstawie niewłaściwych badań rzekomego włosa ofiary. Jest gorzej: wynika zeń, że człowiek, którego ponad dwie dekady życia zostały przeorane przez śledczą machinę, był wrabiany. Że śledztwo – co, podobnie jak tytuł serialu brzmi w tym kontekście szczególnie makabrycznie – szyto pod tezę, której za wszelką cenę trzymali się prokurator i policjant, szef słynnego „Archiwum X" zajmującego się nierozwiązanymi zbrodniami z przeszłości. Że Janczewskiego prowokowano do dogodnych dla śledczych zachowań, i że ich imponujące rozmachem działania nie miały wartości. Ale to serial o czymś jeszcze: o mediach i o nas, odbiorcach, którzy tak chętnie w tę opowieść niczym z kryminału uwierzyliśmy. W tej sprawie kaczki dziennikarskie stawały się faktami, a ezoteryczne bzdury niezbitymi dowodami. Autorom trzeba przyznać uczciwość: Fuja mówi wprost, że wierzył w wersję śledczych, a sensacyjne doniesienia z 1998 r. ilustrują materiały TVN. Serial oddaje głos samemu Robertowi Janczewskiemu, który występuje w nim pod nazwiskiem, odzyskując podmiotowość. Możemy mu po tym wszystkim spojrzeć w oczy.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl 0f983c43b1

Nadwyżka rozkoszy

OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

POEZJA | Poeci z lat 90. podzielili Polskę na strefy wpływów. Najbardziej wyraziste i nowatorskie głosy wypracowane w tym okresie do dziś są drogowskazami dla piszących.

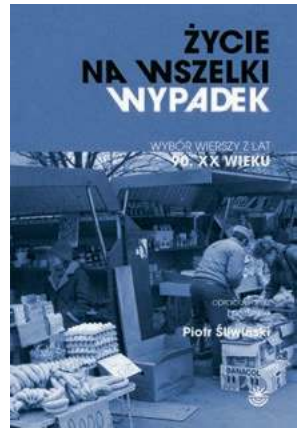
Poezja lat 90. jest znakiem jednego z większych przełomów w literaturze końca ubiegłego wieku. Emblematem nowego rozdziału w historii współczesnego wierszopisarstwa, przypadającym na moment krytycznego wyczerpania wzorców. Standardowo w celu nakreślenia przyczyn tego zjawiska przywołuje się dwa wydarzenia: zmianę ustrojową w 1989 r. oraz odrzucenie, już w latach 80., koturnowego modelu poezji „uświęconej", która – zawierzając naturalnemu związkowi rzeczy i słów – skupiała się na ekspozycji łatwo uchwytnego sensu.

Reprezentantami tego wzorca są klasycy tacy jak Wisława Szymborska czy Zbigniew Herbert – nauczyciele, moraliści, nestorzy klarownych podziałów na wysokie i niskie, wartościowe i mierne. Przedłużeniem linii uniwersalnych idei, komunikatywności oraz spójności ideowej, jest twórczość poetów Nowej Fali. Autorzy tacy jak Julian Kornhauser czy Stanisław Barańczak postawili sobie za cel poetycki demontaż języka władzy, pozostając jednakże w obrębie uznania dla sakramentalnych prawideł sztuki.

Twórcy realizujący ten model pisania są orędownikami stabilnych sensów, podmiot zachowuje dla nich spoistość. Taki obraz jednolitej kultury poetyckiej jako matrycy wspólnych wartości i rezerwuaru stałych hierarchii można za legendarnym krytykiem Januszem Sławińskim nazwać Całością. Co istotne, czasy tej Całości minęły, czego dowodem jest właśnie poezja lat 90. – bezprecedensowa eksplozja odmiennych języków.

Dobitnym przykładem rozkruszenia wspomnianej Całości jest twórczość poetów skupionych wokół czasopisma „bruLion". Zapisali się oni w historii jako rebelianci i kontestatorzy, dla których odrzucenie Tradycji okazało się warunkiem ustanowienia własnego modelu pisania. A był to model wsparty na odbrązawianiu poezji i dowartościowaniu języka prywatnego.

Antologia „Życie na wszelki wypadek. Wybór wierszy z lat 90. XX wieku" pod redakcją i z posłowiem Piotra Śliwińskiego, która trafiła właśnie do naszych księgarń, zawiera utwory będące odpowiedzią na zarysowane procesy.



ŻYCIE NA WSZELKI WYPADEK. WYBÓR WIERSZY Z LAT 90. XX WIEKU, *opracowanie i posłowie Piotr Śliwiński, WBPiCAK, Poznań 2025*

Duża grupa twórców – w książce zaprezentowano utwory 52 poetek i poetów – sprawia, że przy omawianiu wyboru pozostaje posługiwanie się syntezą, jako że o niemal każdym zawartym tu twórcy można by napisać obszerną rozprawę.

Pamiętając o zadaniu naświetlenia kluczowych dla poezji lat 90. problemów, warto przyznać, że ujęcie całej dekady w książce liczącej mniej niż 200 stron – co zauważa w posłowiu sam redaktor – jest przedsięwzięciem skazanym na skrótowość. Czytelnikom pozostaje scalenie obrazu poezji rzeczonego okresu na podstawie literackich drobin, które przeszły selekcję.

Antologia uderza przede wszystkim nagromadzeniem języków wsobnych, obojętnych na oceny i oczekiwania. Każdy wiersz bądź zestaw wierszy to poetycki mikrokosmos, w którym swobodnie rotują stawki i techniki rzemiosła. Samowola i swoboda tematyczna wyznaczają bieg zbioru.

W antologii Śliwińskiego można uchwycić natychmiastowe rozczarowanie raczkującym kapitalizmem, który przybiera groteskową formę w wierszach Miłosza Biedrzyckiego i Adama Kaczanowskiego. Zainfekowanie popkulturą zostaje prześwietlone w błazeńskim „kawałku" Darka Foksa pt. „Haiku Birkenau". Symbole spóźnionej nowoczesności pełnią w zbiorze ironiczną funkcję, odsyłając raczej do niespełnionych nadziei niż zadowolenia z dobrobytu. Tadeusz Pióro, poeta znany ze swojej kryształowo-hermetycznej frazy, trafnie określił ten stan słowami: „śnimy tę nadwyżkę rozkoszy".

Jeśli patronem kontrkultury tradycyjnie jest Marcin Świetlicki, a Marta Podgórnik olśniewa elastyczną architekturą wiersza, to lekcję nonszalancji możemy odebrać od Adama Wiedemanna, którego słowa „nie chce mi się wam teraz tłumaczyć" zdają się nieźle podsumowywać rozwój twórczości lat 90. Wreszcie można tutaj znaleźć utwory wspomnianych „brulionowców" – na przykład Marcina Barana – i przekonać się, jak wygląda poezja, której (pozornie) nie chce się mówić nic ważnego.

Lata 90. to wreszcie czas ekspozycji głosów i tonacji, które miały na całe lata podzielić scenę poetycką na strefy wpływów. Najbardziej wyraziste i nowatorskie idiomy wypracowane w tym okresie – choćby Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego i Andrzeja Sosnowskiego – stanowią do dziś ważkie drogowskazy na mapie literackiej Polski, przykłady projektów wyjątkowo konsystentnych i wpływowych.

Mowa więc o paradygmacie korespondujących ze sobą poetyckich wysp. Wsłuchanie się w te światy jest konieczne dla zrozumienia poezji najnowszej. Należy tylko pamiętać, że antologię „Życie na wszelki wypadek..." powinniśmy traktować jako atrakcyjną pocztówkę, będącą raczej zaproszeniem do dalszego eksplorowania polskiej poezji, aniżeli ostatecznego jej podsumowania. ©

eprasa.pl 0f983c43b1

Łańcuch bliskości



ANITA PIOTROWSKA

FILM | Niby to nic nowego: pokazać w mikroskali, jak działa system oprawczo-naprawczy, który chciałby przeformatować jednostkę, a ta zaczyna go osłabiać. „Dobry chłopiec" Komasy jednak tę historię komplikuje.

Nagrany śpiew ptaków, klasyka literatury i kina, Chopin niczym z pociągu premium PKP – czy taki zestaw, aplikowany przymusowo i w końskich dawkach, może sprowadzić młodego degenerata na dobrą drogę? Dołóżmy mu jeszcze materiały edukacyjne o szkodliwości złego prowadzenia się i hardkorowe filmiki z jego nocnych eskapad. Skojarzą się natychmiast z terapią awersyjną serwowaną ongiś bohaterowi „Mechanicznej pomarańczy" Kubricka i raczej niegwarantującą reedukacyjnego sukcesu. Bo Tommy (w tej roli Anson Boon) jest przetrzymywany w piwnicy starego domu na odludziu. Przykuty łańcuchem i dyscyplinowany paralizatorem przez gospodarza, spokojnego męża i ojca, ma stać się tytułowym „dobrym chłopcem". W ramach jakiejś misji socjalizacyjnej? A może kary? Albo chorego eksperymentu? Film Jana Komasy jest dobry między innymi dlatego, że zwleka z powiedzeniem ostatniego słowa.

Znaczące, że perwersyjnego „edukatora" Chrisa gra tutaj Stephen Graham, czyli dysfunkcyjny, lecz kochający ojciec z głośnego miniserialu „Dojrzewanie". Obie produkcje powstawały mniej więcej w tym samym czasie i ciekawie się dopełniają w temacie ojcostwa. Bohatera Komasy poznajemy podczas rozmowy rekrutującej nową pomoc domową. Rina (Monika Frajczyk), nielegalna imigrantka z Macedonii, jeszcze nie wie, co ją czeka w wiktoriańskim domostwie, gdzie na wejściu trzeba poddać się wykrywaczowi metali i oddać swój telefon. A potem odnaleźć się w wyizolowanym świecie dziwacznej rodziny, obwarowanej wymyślnymi zakazami i pogrążonej w nigdy niedopowiedzianej traumie. Tymczasem dla więzionego nastolatka, tresowanego metodą kija i marchewki, pojawienie się obcej kobiety oznacza szansę ucieczki. Nad wszystkim jednak czuwa troskliwy patriarcha.

Początek „Dobrego chłopca" zwiastuje coś zupełnie innego. Celowo udaje współczesne kino brytyjskie z nurtu ostrego realizmu społecznego, coś w rodzaju powstałego w tym samym roku filmu „Łobuz" Harrisa Dickinsona. Funta kłaków nie dalibyśmy za bohatera takiego jak Tommy – łajdaczy się do upadłego, w dodatku nagrywa to smartfonem i jeszcze zbiera lajki. A kiedy trafia pod żelazne skrzydła Chrisa, można się jedynie domyślać, ile jeszcze musiał nabroić. Lecz scenariusz Bartka Bartosika i Naqqasha Khalida szybko opuszcza te znajome rejony. I zamyka nas w dusznym, wypreparowanym świecie, też znajomym, bo na wzór kina „dziwnych Greków" (Yórgosa Lánthimosa, Athiny Rachel Tsangari czy Christosa Nikou), gdzie społeczna alegoria spotykała się z czystym absurdem. I niby to nic nowego: pokazać w mikroskali, jak działa system oprawczo-naprawczy, który chciałby po swojemu przeformatować jednostkę, podczas gdy ona z czasem zaczyna go osłabiać. Scenariusz jednak ciekawie tę historię rozwija i komplikuje w kierunku przypowieści zarówno psychologicznej, jak i politycznej, z głównym tematem wolności i przemocy. A ta ostatnia próbuje (i czasem doskonale potrafi) zagospodarować rozmaite deficyty.

W centrum tej historii znajduje się bowiem rodzina, którą można potraktować dosłownie bądź alegorycznie. Zobaczymy w filmie aż trzy jej odsłony: w wyraźnie patologicznym domu Chrisa oraz w dyskretnych sugestiach na temat rodzinnej sytuacji Tommy'ego czy Riny. Filmowy ojciec za pomocą łańcuchów i innych narzędzi kontroli stara się zbudować familię idealną, w której każde z bohaterów ma się odnaleźć czy spełniać rolę brakującego ogniwa. Nawet stopniowo poszerzając przestrzeń wolności Tommy'ego, nie przestaje pociągać za sznurki – zabawnie oddaje to scena rodzinnego pikniku „na łańcuchu". Czy w taki sposób można budować normalność, czyjeś bezpieczeństwo i zaufanie? Odpowiedź będzie cokolwiek zaskakująca.

O tym, że „Dobry chłopiec" nie jest po prostu jeszcze jedną wariacją wokół hasła „ucieczka od wolności", decyduje w znacznym stopniu obsada. Graham, z wstydliwym tupecikiem i szorstką acz poczciwą twarzą, raz bywa wyrafinowanym oprawcą, to znów niewydolnym mężem lub zbolałym rodzicem. Andrea Riseborough, grająca żonę Chrisa i matkę ma-

eprasa.pl 0f983c43b1



ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

DOBRY CHŁOPIEC
(Good Boy) – reż. Jan Komasa. Prod. Polska/ /Wielka Brytania 2025. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 6 marca.

Jan Komasa to dziś twórca z międzynarodową karierą. Przełomem było „Boże Ciało" (2019), nominowane do Oscara i Europejskich Nagród Filmowych. Po nakręceniu w Polsce filmu „Sala samobójców. Hejter" (2020), nagrodzonego na festiwalu Tribeca, zaczął pracować za granicą. W 2025 r. miały premierę dwa jego filmy, polsko-brytyjski „Dobry chłopiec" i nakręcona w USA „Rocznica".

Powyżej: kadr z filmu „Dobry chłopiec"

łego Jonathana, też wychowywanego metodą szokową, przypomina upiorną zjawę, ale i matkę bolesną, złamaną przez dotkliwą stratę i zależną od toksycznego męża. Z kolei Boon w roli tytułowej dobrze oddaje wieloznaczność swej postaci – łobuza, ofiary, syna marnotrawnego, trickstera... Można tylko żałować, że nie rozbudowano postaci granej przez Frajczyk – i nie dlatego, że jest z Polski, ale że od dawna zasłużyła na bardziej intensywny czas ekranowy. Mocniej by też wybrzmiały na ekranie problemy wolnościowe w kontekście imigranckim. Zresztą polski wkład jest w tym filmie bardzo znaczący, by wspomnieć tylko producencki duet Ewa Piaskowska i Jerzy Skolimowski, muzykę Abla Korzeniowskiego czy zdjęcia Michała Dymka. Ciekawe, jak by wyglądała ta zuniwersalizowana przypowieść o moralnych kagańcach w warunkach polskiej rodziny.

Film funkcjonuje także pod tytułem „Heel", nawiązując do angielskiej komendy używanej podczas tresury psów. „Good Boy" też kojarzy się z treserskim słownikiem, jako pochwała dobrze wykonanego zadania, choć jednocześnie zaprzecza prostej mechanice „pana i jego psa". Owa dialektyka nie jest być może zbyt oryginalna, ale z pewnością dobrze podana, również przez samych aktorów odnajdujących w swoich postaciach wiele niespodzianek. Albo po prostu miękkich, ludzkich rysów, co odróżnia dzieło Komasy od wspomnianego Lánthimosa i jemu podobnych. Nie narzuca się też polski reżyser z wątkiem klasowym, choć z pewnością takowy tu podskórnie istnieje i naszkicowany został wbrew domyślnym ustawieniom. Dobrze też zrobiło filmowi całkowite odejście od dosłownej i doraźnej polityczności, która zdominowała inny anglojęzyczny film Komasy, czyli nakręconą za oceanem „Rocznicę".

Paradoksalnie ten dwuznaczny film o kagańcu oświaty i meandrach wolności jest także o bliskości. Trzeba przyznać, iż poszukuje tego równie okrężnymi drogami, co w finale może powodować dezorientację. Komasa bez wątpienia prowokuje, podsuwając nam bohatera, który zrazu skrajnie odpycha, potem zaczyna wzbudzać litość, a w końcu zmusza do kibicowania mu czy wręcz empatii. Po czym na ostatniej prostej wystawia tę empatię na ciężką próbę, kiedy okazuje się, że Tommy dokonuje własnych moralnych wyborów. Normy wtłaczane mu na siłę okazują się jedyną opcją ratunkową – i z tym chyba najtrudniej się pogodzić. ©

Lektor:
Droga wśród zamętu



▪ *Krystyna Czerni*
CISZA I ZGIEŁK OBRAZÓW
Wstęp Ewy Kiedio. Wydawnictwo Więź, Warszawa 2025.

TEN ZBIÓR SZKICÓW KRYTYCZNYCH JEST TAK OBSZERNY, ŻE nie zdołam wyliczyć wszystkich obecnych w nim artystek i artystów. Artystki wspominam najpierw, bo pierwsza w tym szeregu jest Jadwiga Maziarska, długo niedoceniana malarka z powojennej Grupy Krakowskiej, zmarła w 2003 r. w wieku 90 lat, potem zaś – kolejność postaci wedle dat urodzenia – panuje niemal idealna równowaga płci.

Szkic tytułowy to wykład inauguracyjny w krakowskiej ASP, wygłoszony przez Krystynę Czerni w październiku roku 2014. Tekst mocno osobisty, w którym szukać można klucza, wedle którego autorka dokonuje swoich wyborów. Bo to nie jest jakiś ranking polskiej sztuki współczesnej, raczej pokazanie rozmaitych jej dróg. Zwrócę uwagę na cytat otwierający wspomniany szkic, a więc i całą książkę. Wyjęty został z listu Tadeusza Różewicza do Ryszarda Przybylskiego. Różewicz, wielki poeta zbuntowany przeciw natrętnemu zgiełkowi świata i zamętowi współczesności, pozostał jednak wierny sztuce i dla Krystyny Czerni stanowi jeden z drogowskazów. Wielokrotnie jest później przywoływany, podobnie jak jego przyjaciel, a zarazem mistrz autorki, Mieczysław Porębski.

No a ich wspólny przyjaciel Jerzy Nowosielski, któremu Krystyna Czerni poświęciła lata pracy i świetną książkę „Nietoperz w świątyni"? Patronuje całości ze zdjęcia, podobnie jak Józef Czapski. Wspomniałem, że książka jest obszerna, ale jej grubość bierze się także stąd, że zawiera mnóstwo ilustracji, a papier dobrano tak, by te ilustracje naprawdę coś pokazywały!

Ostrzegłem, że nazwisk wyliczał nie będę, więc tylko przykłady. Wspaniała Alina Szapocznikow oglądana od mniej znanej strony – jej rysunków. Abstrakcje Jana Pamuły. Portret codzienności w grafikach Anny Sobol-Wejman. Już klasycy: Jarosław Modzelewski i Leon Tarasewicz. Osobna droga córki dwojga artystów, Bettiny Bereś. Toskańska przygoda Aldony Mickiewicz i jej obrazy z Monte San Savino. Studiowaliśmy razem z Krystyną Czerni na krakowskiej historii sztuki, profesor Porębski był nauczycielem nas obojga – Krysia pięknie pisze o jego „rysunkach konferencyjnych". Inaczej niż Krysia, porzuciłem sztukę i rzadko nawet chodzę na wystawy. Tym chętniej słucham podpowiedzi i wynotowuję nazwiska, których nie znałem. Jak Zbigniew Sprycha (1959-2024) i pochodzący z Ejszyszek na Litwie, urodzony w 1985 r. Zbigniew Sokolovski, którego pracę wykorzystano na okładce. Dziękuję! ©℗

eprasa.pl 0f983c43b1

PAWEŁ

Bravo:
Serek Dawida



Sześć ton waży Dawid Michała Anioła. No cóż, jest z kamienia i mierzy ładnych parę metrów, więc to nie jest szczególnie dużo. Mam jednak wrażenie, że jeszcze trochę potrwa trend żywności na białkowym dopalaczu, a podobne rozmiary i waga staną się celem każdego mężczyzny. Co prawda, jak pamiętamy z lekcji religii albo samodzielnej lektury Księgi Samuela, przyszły król Izraela nie zasłużył się swemu wojowniczemu ludowi umięśnieniem i krzepą, tylko wiarą i przemyślnością, o czym przypomina zarzucona z gracją na ramię proca. Michał Anioł miał chyba jednak chęć po prostu wyrzeźbić kawał chłopa niekoniecznie w ścisłym związku z historią biblijną – zresztą mniejsza o to, zostawmy żydowskie wojny, bo zaraz zapuka nam od spodu współczesność nieświętej ziemi i zaczną nam się tu toczyć między wierszami inne obcięte głowy.

My tylko chcieliśmy zauważyć, że jedna z najbardziej wziętych marek specjalnych batonów turbodoładowanych białkiem, które już dawno wyszły poza niszę kulturyzmu i półeczki z przekąskami na siłowni, nazywa się właśnie na cześć Dawida. A jak zakodować ideał kobiecego ciała? Nie mam pod powiekami żadnego stosownego wzorca i chyba rynek nie eksploatuje żadnych porównywalnych arcydzieł. Ewidentnie ten nowy dyskurs o pakowaniu w siebie maksimum mocy i nieustannym budowaniu ciała, jakbyśmy mieli rosnąć pod same chmury, operuje raczej po męskiej stronie skojarzeń i archetypów. Ale gdyby kto potrzebował wymyśleć nową linię, nie trzeba szukać daleko, starczy przejść parę kroków, do Uffiziów, i przyjrzeć się uważnie świeżo narodzonej, a już doskonałej Wenus. Wcale nie pamiętałem, iż bogini w interpretacji Botticellego ma bardzo ładnie wyrzeźbione mięśnie, ciało jak z crossfita. Tylko ten wzrok, skupiony na nieokreślonym punkcie, ucieka w inne światy. Najadła się jakichś piguł na zmęczenie czy co?

Mój wzrok na pewno nie ucieka od rzeczywistości, gdy łażę między półkami i rozglądam się po targach, nareszcie działających w miarę normalnie po ostatecznym wyłączeniu nawiewu z Arktyki. Chodzę i widzę, że sytuacja rozwija się szybciej i groźniej, niż przewidywałem, i dlatego wracam do nieszczęsnych białek.

Już to sobie tu opowiadaliśmy, że przez fakt, iż nazwiemy je uczenie „proteinami" i dodamy w absurdalnej ilości do wszystkiego, nie staną się one ani trochę mniej zbędne w życiu przeciętnie jedzącego człowieka, wykonującego przeciętnie lekką pracę typową dla wielkomiejskiej populacji. Nawet jeśli ktoś po lekkiej, siedzącej pracy spoci się trochę na siłowni albo pobiega po parku. (Brakowało mi was w mroźny czas, biegacze! Kiedy tak pędzicie donikąd i wyprzedzacie mnie na chodniku, czuję się zwolniony z wszelkiego pośpiechu). Nadmiar spożytych białek nie odkłada się w jakimś hipotetycznym magazynie mocy, organizm przerabia je na kalorie, przy okazji zaprzęgając niepotrzebnie do roboty wątrobę.



Kiedy piszę „do wszystkiego", to tylko odrobinę przesadzam. Nie widziałem jeszcze tylko proteinowej pasztetowej ani salcesonu, ale to dlatego, że te zacne produkty nie są na radarze osób stawiających na tzw. żywność funkcjonalną. Skądinąd pasztetowa jako produkt mający wiele wspólnego z mięsem (jeśli z uczciwej masarni) jest sama w sobie wysokobiałkowa i warto tu odnotować, że nowa proteinowa wiara spycha w cień bardzo już rozwinięty wśród świadomych spożywców weganizm. Owszem, strączkowe i orzechy, ziarna zbóż – to wszystko zawiera sporo różnych białek, ale jednak mięso ulega rehabilitacji. Tym bardziej nabiał. Mleko już nie jest w odwrocie. Głównym filarem sektora białkowego stały się serowarnie, mające na zbyciu morze pogardzanej dotąd serwatki. Z tej to bowiem cieczy uzyskuje się najtaniej i najsprawniej różne białkowe pakiety. Już się jej nie wylewa albo nie przekazuje za grosze do chlewni, będących dotąd jedynym stałym odbiorcą.

Cieszy mnie ta nagła rehabilitacja serwatki. Nie żebym was chciał przekonać do picia jej litrami. Zwłaszcza krowia jest zupełnie mdła – już lepiej kozią, ma w sobie taki leciutki cień smaku i czasami kwaskowy akcent, lecz bez przesady, pyszne

eprasa.pl 0f983c43b1



TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS

Prace konserwatorskie nad Dawidem Michała Anioła. Florencja, 19 lutego 2024 r.

toto nie jest. Ale przecież ludzkość od dawien dawna wie, co zrobić z serwatką – i odzyskać białka pozostałe po wyjęciu skrzepu: nazywa się to ricotta i nie jest, formalnie rzecz biorąc, „serem", ale w granicach tej rubryczki nie bawmy się w technikalia.

Nie rozumiem, po pierwsze, dlaczego nie mamy tradycji jej gotowania. Np. na Bałkanach, pod nazwą „urda", jedzą to i Rumuni, i Serbowie. Ale cały kulinarny świat stosuje włoską nazwę, bo faktycznie tam na półwyspie jest otoczona należną czcią – a na południu, w wersji ususzonej, stanowi wręcz najważniejszy „ser" do potraw. Po drugie nie wiem, dlaczego niechętnie ją dotąd przyswajaliśmy, choć tyle innej włoszczyzny weszło do powszedniego menu, z mascarpone na czele.

Nie znam dobrego słowa, by określić teksturę ricotty – w połowie drogi między aksamitną a puszystą. Ale kto jadł, ten wie, reszta jest milczeniem z pełnym brzuszkiem. Lekka – przecież to takie prawie nic, z odzysku, a jednak sycąca. Poddaje się każdym przemianom, zmieszana na zimno z miodem albo czymś słonym do chleba, dodana na gorąco do sosów, żeby je „zabielić", ale z efektem lżej strawnym niż przy użyciu śmietany. Najlepszy serek świata. Jem ją od tylu lat i tyle z niej białka mimochodem wciągnąłem, że możecie mi mówić Dawid.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Shortbread z mąką ryżową

Wiosna nie zawsze oznacza tylko radości, czasem różne sprawy zawieszone na czas zimy nagle powracają jak zaległy rachunek z gazowni. Na tę okoliczność zwykłem robić sobie jeden z najbardziej „komfortowych" wypieków, jaki znam, przy tym tak bezczelnie łatwy, że aż mi trochę głupio go przedstawiać – pomyślicie, że się lenię. Ale spróbujcie, będziecie mi wdzięczni. Niby proste maślane ciastko, ale dodatek mąki ryżowej czyni wielką różnicę.

SKŁADNIKI: 240 g mąki pszennej 40 g mąki ryżowej 60 g cukru plus 4 łyżki do posypania 220 g stopionego i wystudzonego masła szczypta soli i kardamonu ▪ skórka z cytryny (opcjonalnie)

W misce mieszamy suche składniki. Wlewamy stopniowo masło, mieszamy drewnianą łyżką, aż powstanie jednolita masa o konsystencji plasteliny. Przekładamy na tortownicę o średnicy 24 cm (lub prostokątną brytfankę o podobnej powierzchni) wyłożoną papierem do pieczenia. Za pomocą szpatuły lub podobnego narzędzia staramy się wyrównać powierzchnię, ale nie musi być idealnie gładka. Pieczemy w 180 stopniach ok. 40 minut, aż się ładnie zarumieni. W pozostały cukier delikatnie palcami wcieramy skórkę cytrynową, posypujemy nim ciasto od razu po wyjęciu z pieca. Albo dajemy sam cukier – to już zależy od waszego smaku, ja często wolę prostszą wersję. I od razu też, na gorąco, robimy nożem nacięcia, by uzyskać małe prostokąty. Po wystudzeniu można je delikatnie oddzielać. Ilość cukru można lekko zmniejszyć, wedle smaku. Kiedy już upieczemy, należy połowę kawałków natychmiast gdzieś schować pod klucz, bo będzie wam trudno nie zjeść od razu wszystkiego. Z odrobiną ricotty na przykład. ©℗



PAWEŁ BRAVO

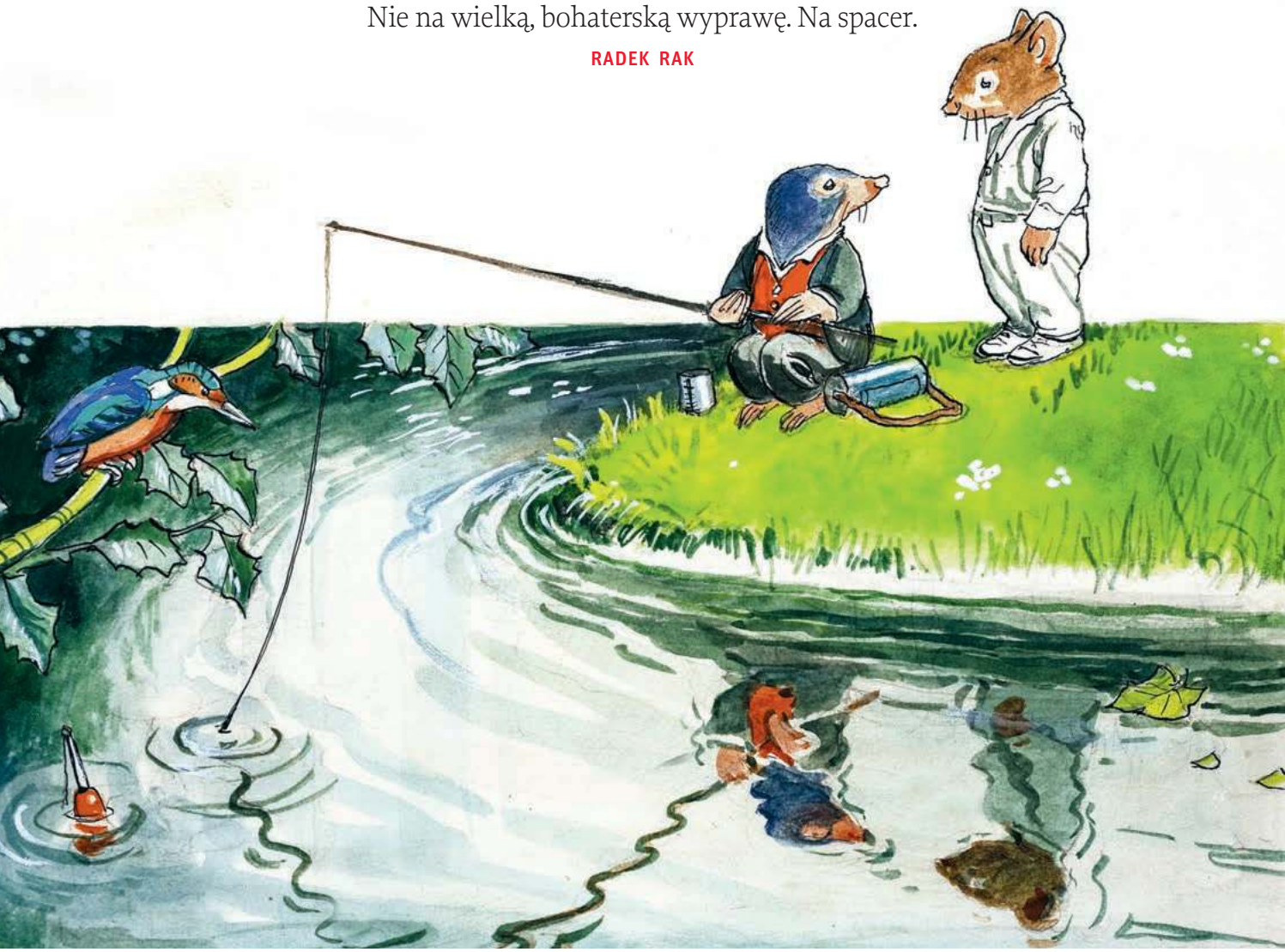
eprasa.pl 0f983c43b1

ZMYSŁY

O CZYM WIERZBY NIE SZUMIĄ

Wszystko zaczyna się od wiosny i wiosennych porządków,
ale tak naprawdę od porzucenia niekoniecznych zajęć
i wybrania się na spacer.
Nie na wielką, bohaterską wyprawę. Na spacer.

RADEK RAK



eprasa.pl 0f983c43b1

Fantastyczne opowieści o małych zwierzątkach – przynajmniej te, w których pojawiają się filiżanki w norkach i dziuplach, razem z ubraniami wyglądającymi zarazem elegancko i wygodnie – wydają się typowo angielską specjalnością. Pewnie mają z tym coś wspólnego wszystkie te puddingi i leguminy, których będąc dzieckiem, bardzo chciałem spróbować. Oczywiście byłoby nadużyciem łączyć takie opowieści wyłącznie z Anglią, bo podobnych pozycji znalazłoby się niemało i w innych krajach, w tym w Polsce.

Nie wiem, czy „O czym szumią wierzby" autorstwa Kennetha Grahame'a z 1908 r. były pierwszą taką książką, ale dla mnie pozostaje pozycją najlepszą i ukochaną. I to nie tylko dzięki tym deserom, które, kiedy skosztowałem ich jako dorosły, okazały się wyjątkowo smaczne. Zapewne niemałą rolę odgrywa to, że również wychowałem się nad Rzeką, a w pobliżu mojego domu była i Puszcza, i pewien dwór. Nie wspominając o małych zwierzątkach, jak krety, ropuchy i karczowniki, nazywane szczurami wodnymi. Być może żyły tam też jakieś borsuki.

Niech mi będzie wybaczone to i inne prywatne nawiązanie. Trudno mi jednak wyobrazić sobie, by ktoś naprawdę kochał jakąś książkę i uważał ją za istotną jedynie z powodu jej wartości literackiej czy istotności zawartej w tej książce myśli, bez odniesienia do osobistych doświadczeń.

TO JEST KSIĄŻKA STARA. To jest książka napisana w sposób, który być może uznamy za archaiczny. Jeśli szukamy wszystkich tych łuków narracyjnych i innych zasad, według których zaleca się dzisiaj tworzyć opowieść, to będziemy zawiedzeni: wszystkie zasady narratologiczne autor ma za nic. Podobnie rozczarujemy się, jeśli podejdziemy do niej ze współczesnymi oczekiwaniami względem bohaterów albo treści, które powinny być poruszane (aha, i jeszcze morału, bo to podobno książka dla dzieci, choć wydaje mi się, że wcale nie). A już najgorzej, jeśli pochłonięci tysiącem innych aktywności, nie będziemy chcieli na niej się skupić. Za każdym razem stwierdzimy, że bardzo się zestarzała.

Bo to nie jest w żaden sposób nowoczesna książka. Na szczęście.

NIE JESTEM ENTUZJASTĄ nadmiernego grzebania w życiorysach autorów. Z tego, co mi wiadomo, Kenneth Grahame jako poważany urzędnik Banku Anglii wiódł życie zwyczajne i smutne, choć (przynajmniej jako dorosły człowiek) raczej dostatnie. Wychowany na prowincji, nie potrafił odnaleźć się w Londynie, nieustannie cierpiał na choroby płuc, a przy tym niemal poniósł śmierć, kiedy do banku wdarł się zamachowiec i oddał w jego stronę trzy strzały. Osobiste życie naznaczone było stratą: najpierw śmiercią matki, potem porzuceniem przez ojca, a wiele lat później – tragiczną śmiercią syna Alistaira. Poza tym wiódł zapewne takie życie, jakiego od niego oczekiwano, i chyba tego życia nie lubił, a pisanie stanowiło dla niego ucieczkę. „O czym szumią wierzby", jak wiele książek dla dzieci, zrodziło się z historii, które opowiadał swojemu synowi, i z listów, które pisał do niego do szkoły.

Spotkałem się z wieloma historiami na temat tego, ile w Panu Ropuchu z Ropuszego Dworu było Alistaira i co tak naprawdę stało się przyczyną śmierci młodego Grahame'a. Wiele z tych historii brzmi sensacyjnie i nie do końca im ufam. Zajmijmy się więc samą książką.

„O CZYM SZUMIĄ WIERZBY" składa się z dwunastu rozdziałów, z których sześć poświęconych jest Panu Ropuchowi, zamożnemu awanturnikowi, którego miłość do motoryzacji i przyrodzony temperament popychają na drogę występku. Jest tam i kradzież samochodu, i ucieczka z więzienia, i powrót do domu, i epicka bitwa. Przeważnie to ta połowa, jako przygodowa, jest bardziej rozpoznawalna, niepozbawiona osobliwego humoru, i może być traktowana jako swoisty znak firmowy. A więc nie będę się nią specjalnie zajmował, przynajmniej nie w tej chwili. Znacznie bowiem bardziej interesujące wydawały mi się zawsze rozdziały bezropuchowe.

Pozornie niewiele tam się dzieje. Nawet okazja do dalekiej podróży zostaje odrzucona. Bardzo przypominają one odwiedzanie po wielokroć tych samych miejsc i spacery tymi samymi drogami. Lubię takie spacery, bo uczą mnie o wiele więcej niż podczas długich podróży gdzieś bardzo daleko. Od lat opowiadają mi moje życie i pomagają je lepiej rozumieć. I choć jako dorosłemu człowiekowi mówią mi inne rzeczy, niż mówiły mi w dzieciństwie, to jednak wcale nie mniej trafne. Do tych rozdziałów „O czym szumią wierzby" wracam często i chętnie. Zwłaszcza gdy wokół robi się zbyt głośno i trudno coś usłyszeć w tłumie różnych Ropuchów.

W POLSCE KSIĄŻKA nigdy nie zdobyła wielkiej popularności, mimo że tradycyjny przekład Marii Godlewskiej jest piękny i zasadniczo wierny. Być może ma to coś wspólnego z kukiełkowym serialem BBC, szybko zdjętym z anteny TVP. Podobno dzieci bały się postaci. Osobiście tego serialu zupełnie nie pamiętam, choć moje dziecko bardzo go lubi.

Przekład Godlewskiej parokrotnie poddawano różnym redakcjom: w jednym z nowszych wydań konsekwentnie usunięto słowa „Bóg, boski" itd., zastępując zwrotami ze świeckiego porządku, nawet tam, gdzie zabieg był zupełnie bezcelowy; dziwi to o tyle, że książka nie ma przecież jednoznacznie religijnych konotacji. W 2014 r. ukazał się wybitny przekład Macieja Płazy, świetnie operujący archaizmami i chyba wierniejszy duchem oryginałowi niż klasyczne tłumaczenie. Jeszcze wcześniej, w 2009 r., pojawił się przekład Bohdana Drozdowskiego, trochę łotrzykowski i mniej archaizujący. Nie wydaje mi się jednak, by dały książce w Polsce nowe życie. Z jakiejś przyczyny Grahame'owe wierzby nigdy się u nas mocno nie zakorzeniły.

MOŻNA POWIEDZIEĆ, że książka zaczyna się od wiosny i wiosennych porządków, ale tak naprawdę rozpoczyna się porzuceniem przez Kreta niekoniecznych zajęć i wybraniem się na spacer. Kret jeszcze nie wie, że to, co miało być krótką przechadzką, przedłuży się ponad wszelką miarę, a on sam wróci ↦

Tu i na następnych stronach: Szczur Wodny i Kret, ilustracje Philipa Mendozy do książki „O czym szumią wierzby" Kennetha Grahame'a

LOOK AND LEARN / BRIDGEMAN IMAGES / PHOTO POWER

eprasa.pl 0f983c43b1



↦ do domu dopiero w okresie Bożego Narodzenia. A i wtedy tylko na chwilę.

Podczas tego spaceru trafi na najdziwniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek będzie mu dane spotkać: na Rzekę. Rzeka odmieni go na zawsze. Jest ona u Grahame'a czymś więcej niż tylko ekosystemem. Jej mieszkańcy, zwłaszcza Szczur Wodny, traktują ją jak osobę, kogoś, kto ma własne zdanie, mądrość, z kim można wejść w relację. „To jest nasza Rzeka, jedyna na świecie! (...) Jest mi bratem i siostrą, i ciotką, i towarzyszem, i pokarmem, i napojem, i – oczywiście – kąpielą. To mój cały świat, innego nie chcę. Nie warto mieć tego, co nie pochodzi z Rzeki, i nie warto wiedzieć tego, o czym ona nie wie".

Spośród wszystkich stworzeń, przewijających się przez karty książki, to Szczur Wodny najlepiej rozumie Rzekę. I to on podzieli świat na trzy części i wyznaczy każdej z nich granice.

NAJPIERW ZATEM JEST RZEKA i jej brzeg; to, co wydaje się oswojone i bezpieczne. Ciekawe, że choć Rzeka wydaje się być w samym centrum opowieści, to w rzeczywistości pojawia się stosunkowo rzadko, a jeszcze rzadziej odgrywa jakąś szczególną rolę – dzieje się tak tylko w rozdziałach pierwszym i siódmym, jednym z bardziej osobliwych. Następnie mamy Puszczę, o której Szczur mówi dość niechętnie – choć stara się nie używać wartościujących sądów wobec jej mieszkańców (pewnie dziś powiedzielibyśmy, że nie chce zabrzmieć klasistowsko). A na samym końcu – Szeroki Świat, o którym nie chce mówić zupełnie nic. „A to jest coś, co nie obchodzi ani ciebie, ani mnie", powie. „Nigdy tam nie byłem i nigdy nie będę, i ty też nie będziesz, o ile masz trochę rozsądku. Proszę cię, nie wspominaj mi o tym".

Kret odkrywa Rzekę z zachwytem i chłonie każde słowo Szczura, niczego nie podając w wątpliwość. Przypomina w tym małe dziecko. Oto przebudził się, wyszedł ze swojej nory do słońca i jasności. Ten zachwyt i świeżość patrzenia stanowią podstawową cechę jego osobowości. Choć pochodzi z podziemnego świata, Kret jest istotą na wskroś świetlistą.

CZYTELNIK WSPÓŁCZESNY, przywykły myśleć obrazami, zapewne nieraz poczuje się tą książką skonsternowany, a może i oszukany. Choćby tym, że nie do końca wiadomo, jakich rozmiarów właściwie są jej bohaterowie. Ropuch prowadzi wszak samochód, musi więc sięgać rękami kierownicy, a stopami pedałów. Co więcej, po nocy spędzonej w zaroślach przy nasypie kolejowym wyciąga grzebień, by się uczesać. Musi mieć zatem włosy, mimo że pozostaje płazem (wszystkie adaptacje, które znam, pozbawiły Ropucha włosów). Z drugiej strony Kret i Szczur Wodny mają rozmiary jak najbardziej krecie i szczurze, przynajmniej w rozdziale „Dulce domum".

Najbardziej uderzającą sprzeczność widzę jednak gdzie indziej. Sięgnijmy do rozdziału dziewiątego. W przekładzie Godlewskiej nosi tytuł „Powszechna wędrówka". W oryginale brzmi lekko i brzemiennie w znaczenia: „Wayferers all". Oto zbliża się koniec lata, a wraz z nim nadchodzi czas wielkich wędrówek i zmian. Niektórzy – jak jaskółki – odlatują, nie potrafią jednak wyjaśnić, skąd ta nagła potrzeba, by porzucić wszystko i wyruszyć w drogę. Inni, jak myszy, również porzucają letnie domy i sposobią się do zimowania.



LOOK AND LEARN / BRIDGEMAN IMAGES / PHOTO POWER

eprasa.pl 0f983c43b1

To jeden z tych momentów, w których przestajemy widzieć tu tylko bajkę zwierzęcą, a w bohaterach – przebranych ludzi. Mieszkańcy brzegu Rzeki jawią nam się teraz prawdziwymi zwierzętami.

Niepokój udziela się również innym. I gdy pewnego dnia nad Rzekę przybywa Szczur Wędrowny, i opowiada Szczurowi Wodnemu o podróżach do szczęśliwych krain Południa, pokusa staje się nie do odparcia. Są to bowiem opowieści pełne barw i smaków, morelowych zachodów słońca, szumu fal i beztroskiej wędrówki. I nawet we mnie, mimo zdecydowanie osiadłego trybu życia, budzą tęsknotę za czymś, czego przecież nigdy nie widziałem, i za życiem, którego nie prowadziłem.

Nie ufałem Szczurowi Wędrownemu jako dziecko. Jako dorosły mężczyzna **nie ufam mu jeszcze bardziej.**

POD WPŁYWEM IMPULSU Szczur Wodny decyduje się porzucić Rzekę i całe swoje życie, i wyruszyć w podróż. Może to brzmieć dziwnie, biorąc pod uwagę, że jeszcze niedawno tak kategorycznie odcinał się od związków z Szerokim Światem. A może właśnie nie? Może ta stanowczość i niechęć do sięgania poza brzeg Rzeki choćby myślą wynika właśnie z tego, że to pragnienie jednak w Szczurze Wodnym od dawna żyło.

Być może jest jednak zupełnie inne wytłumaczenie na to, że Szczur na początku książki nie chce o Szerokim Świecie mówić i myśleć. Wymagałoby ono jednak sięgania do biografii autora, a tego nie lubię i uważam za niekonieczne. Na historię stojącą za wierzbami przyjdzie jednak czas później.

Jakkolwiek by było, Szczur Wodny zostaje powstrzymany przez Kreta (częściowo siłą). Po jakimś czasie wraca do swoich zajęć i do pisania wierszy. Nie dowiemy się nigdy, czy był szczęśliwy. Ale też nie dowiemy się, czy był nieszczęśliwy. Duch opowieści zdaje się jednak subtelnie aprobować ten wybór. Dobrze, że Szczur został w domu.

NIEMNIEJ TA WYMUSZONA DECYZJA Szczura Wodnego wydawała się kłuć tych, którzy decydowali się dzieło Grahame'a interpretować. W wielu adaptacjach rozdział zostaje w ogóle pominięty. W powieściowych kontynuacjach autorstwa Williama Horwooda, całkiem zresztą udanych i trzymających się ducha oryginału, Szczur Wodny po latach wyruszy jednak w wymarzoną podróż. Nasza współczesna perspektywa również podpowiada, że podróżowanie jest czymś dobrym i pożądanym, nawet jeśli duża część świata wygląda dziś tak samo.

Przede wszystkim jednak wydaje się niesprawiedliwe, że to właśnie Kret powstrzymuje Szczura Wodnego. Nie tak dawno sam przecież porzucił dom, by prowadzić zupełnie inne życie nad Rzeką i w świetle słońca. To też była podróż, choć w zupełnie innej skali. Jej skutek jest podobnie nieodwołalny. Kret jest odmieniony, a powrót do poprzedniego życia jest możliwy tylko na chwilę. Dlaczego więc Kret powstrzymuje przyjaciela przed krokiem, który jemu samemu przyniósł tak wielką radość? Wydaje się to sprzecznością o wiele większą niż poranna toaleta Ropucha, z włosami czy bez. Jest to bowiem, przynajmniej na pierwszy rzut oka, pęknięcie w samej naturze opowieści.

Być może Kret chce po prostu zatrzymać Szczura przy sobie. Nie wierzę jednak w podobną jego małostkowość. Od dziecka wyczuwałem – nie wiem, jakim zmysłem, może właśnie jakimś zwierzęcym – że na końcu wędrówki Szczura Wodnego nie czekałoby nic dobrego. Z pewnością przeżyłby wiele przygód, ale czułem, że przygody te wcale nie przyniosłyby mu szczęścia. Być może nawet odmieniłyby go na gorsze. Nie byłoby już jednak powrotu. Nie można porzucić Rzeki i tak po prostu do niej wrócić, jakby nic się nie stało. A przecież dokładnie to sugeruje Szczur Wędrowny. Być może była to rzeczywiście droga dobra dla niego – ale Szczura Wodnego na końcu czekałaby jedynie pustka.

Nie ufałem Szczurowi Wędrownemu jako dziecko. Jako dorosły mężczyzna nie ufam mu jeszcze bardziej.

FUNDAMENTALNA RÓŻNICA między wyborem Kreta a wyborem, którego Szczur Wodny (jestem przekonany, że na swoje szczęście) nie dokonał, zdaje się tkwić w jeszcze innym miejscu. Ponieważ jesteśmy właśnie w tej książce, a nie innej, pora roku ma ogromne znaczenie. Kret odbywa swoją podróż wiosną, z ciemności do światła, i jest ona nacechowana dziecięcym zachwytem. Za to Szczur Wodny staje przed swym wyborem, gdy lato chyli się ku końcowi i czuć nadchodzącą jesień. O tej porze łatwo pod wpływem niezadowolenia z życia wywrócić je do góry nogami albo zniszczyć w nim coś bardzo istotnego, ulegając wrażeniu, że przedłużymy w ten sposób trwanie lata i zachowamy jego ciepło na dłużej. Pewnie przez chwilę jest to nawet przyjemne. Może też przynieść wrażenie uwolnienia, przynajmniej na jakiś czas. Potem zaś możemy do woli przekonywać samych siebie, że tak należało zrobić.

Szczur Wędrowny jawi się zatem jako nieodpowiedzialny artysta. Rozbudza pragnienia, których nie sposób zrealizować. Jego opowieści są piękne, ale nikt później nie czuje się szczęśliwszy. Nie wynika też z nich żadne inne dobro.

Widzę to w taki sposób, bo zbliżam się do wieku, w którym do człowieka przychodzą różne Szczury Wędrowne. Ten rozdział, który w dzieciństwie uważałem za nudny i z całej książki lubiłem go najmniej, teraz zaczyna mi się jawić jako szczególnie istotny. Ale też jest cechą dobrych książek to, że mówią nam różne rzeczy na różnych etapach życia, i nieodmiennie są to rzeczy ważne. „O czym szumią wierzby" smakują mi od lat, ale przy każdej lekturze jest to smak zupełnie inny. Zapewne wiele osób ma w życiu takie książki.

© RADEK RAK

Ciąg dalszy za tydzień.

Autor jest lekarzem weterynarii i pisarzem. Laureat Literackiej Nagrody Nike za „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakubie Szeli", ostatnio opublikował trylogię „Agla".

eprasa.pl 0f983c43b1

TOMASZ

Stawiszyński:

I ty zostaniesz reżyserem



Być może te dwie linijki promptu – czyli po prostu odpowiedniej instrukcji – zmienią nie tylko historię kina. Ostatecznie każda wielka rewolucja od czegoś się zaczyna. Piętnastosekundowy klip przedstawiający walkę Toma Cruise'a z Bradem Pittem w postapokaliptycznej scenerii ma wszelkie zadatki, żeby stać się jej początkiem.

Trzeba przyznać, gwiazdorzy biją się profesjonalnie. Wszystko oglądamy z kilku świetnie skadrowanych ujęć, kamera pracuje dynamicznie, scenografia prezentuje się imponująco.

Rzecz w tym, że nic z tego, co widzimy, nigdy się nie wydarzyło. Brad Pitt i Tom Cruise nie skrzyżowali pięści, ekipa filmowa nie pracowała na planie, żadne studio graficzne nie stworzyło efektów specjalnych. Aktorów nie przygotowywała do występu makijażystka ani kostiumolożka. Całość została wygenerowana z pomocą narzędzia o nazwie Seedance 2.0, za którym stoi chińska firma ByteDance. Prompt zaś wpisał irlandzki reżyser Ruairí Robinson – bo powiedzieć, że ów klip „wyreżyserował", byłoby grubą przesadą.

Gdybyśmy nie wiedzieli, że to twór AI, z pewnością byśmy się nie domyślili. W przeciwieństwie do najlepszych nawet deepfake'ów krążących po sieci, nie ma tu w ogóle znamion fałszywości. Nie ma dziwnych, nienaturalnych min, specyficznego niewydarzenia, koturnowości czy innych znamion charakterystycznych dotąd dla produktów sztucznej inteligencji. Oglądamy po prostu scenę z Pittem i Cruise'em, nakręconą w stylu, którego nie powstydziłyby się siostry Wachowski.

Nic dziwnego więc, że w Hollywood i okolicach rozgorzała dyskusja. Skupiła się przede wszystkim na dwóch kwestiach. Po pierwsze – na zawodowych perspektywach „ludzkich aktorów" (sam fakt, że wprowadzamy do obiegu taką kategorię, pokazuje skalę rewolucji, nieprawdaż?), których już wkrótce mogą zastąpić awatary. I po drugie – co się z pierwszym ściśle wiąże – prawnych zagadnieniach związanych z wykorzystywaniem wizerunku.

Pisano już o tych sprawach wielokrotnie, tyle że tym razem teoria naprawdę staje się praktyką. Jak się wydaje, cały przemysł filmowy – podobnie jak przemysł gier wideo – stoi u progu potężnej transformacji, nawet jeżeli wciąż nie dopuszcza tego do świadomości albo bagatelizuje problem i jego konsekwencje. Jest wysoce prawdopodobne, że już niebawem będziemy oglądali nowe filmy z Clarkiem Gable'em czy Ritą Hayworth, a standardem stanie się sprzedaż albo licencjonowanie prawa do posługiwania się czyimś awatarem. Jest równie wysoce prawdopodobne, że wkrótce powstaną nowe odmiany serwisów streamingowych. Np. umożliwiających użytkownikom komponowanie własnych wymarzonych seriali i filmów. Z taką obsadą, w takiej scenerii, z takimi wątkami oraz zwrotami akcji, jakie sobie tylko użytkownicy wymarzą. Biorąc zaś pod uwagę tempo, w jakim rozwijają się tzw. technologie immersyjne – pozwalające na doświadczenie wirtualnej rzeczywistości, na razie za pomocą sporawych okularów, które z czasem zapewne będą maleć – można odpowiedzialnie przewidywać, że słowo „rozrywka" nabierze w nadchodzących dekadach zupełnie bezprecedensowego znaczenia.

Ale, niestety, nie wyłącznie o rozrywkę się tutaj rozchodzi. Rozwój technologiczny, choć jest ludzkim dziełem, niesie w sobie swoisty fatalizm. Owszem, fundamentalnie dużo zależy od tego, jakie wprowadzimy doń regulacje, a przede wszystkim jakiego rodzaju bazową filozofią kierować się będą państwa i międzynarodowe instytucje. Czy stawiającą na pierwszym miejscu dobrostan społeczny, czy też dobrostan wielkich cyfrowych korporacji. Niezależnie jednak od tego – i w tym właśnie tkwi pierwiastek owego, nazwijmy to, technofatum – rozwój technologiczny polega po prostu na aktualizowaniu otwierających się możliwości. Dlatego nie okiełznają go żadne regulacje. Przed czym ktoś się powstrzyma, przed tym nie powstrzyma się ktoś inny.

W przypadku, o którym mówimy, widać już zarys tego, co nadchodzi, choć w szczegółach, rzecz jasna, nie sposób niczego przewidzieć. A nadchodzi równoległa rzeczywistość. W doświadczeniu co najmniej tak samo, a nierzadko bardziej realna aniżeli rzeczywistość materialna, w której wciąż jeszcze żyjemy. Ta nowa, druga rzeczywistość, przenika przez wszystkie obszary naszego doświadczenia. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że dla wielu ludzi stanie się w krótkim czasie znacznie ważniejsza i prawdziwsza aniżeli świat realny. Ba, już się stała, ten trend obserwujemy przecież od dawna. Opustoszałe biurowce, niegdyś tętniące życiem, coraz bardziej szaleńcze inby w mediach społecznościowych, aplikacje do załatwiania wszystkiego, co tylko się da, wielkie modele językowe jako powiernicy i doradcy...

Istnieje jednak zasadnicza różnica pomiędzy nowym światem wirtualnym a starym materialnym. Ten pierwszy jest stuprocentowym dziełem wielkich firm, zaprojektowanym przez nie w każdym calu. W jednym tylko celu – zarobkowym. Należy więc pamiętać, że nie zapraszają nas tam one bezinteresownie.

Jak odwiedzać ich na własnych warunkach – to jedno z najważniejszych pytań, przed którymi dzisiaj stoimy. A wraz z nami Brad Pitt i Tom Cruise. ©

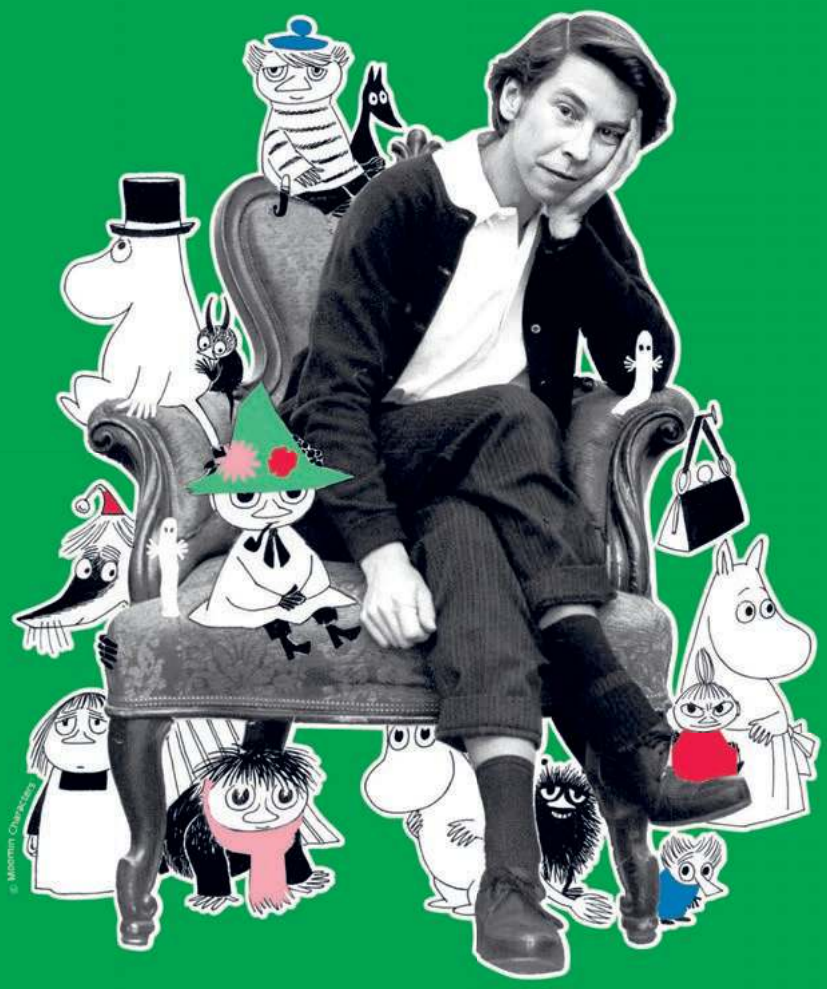
Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 0f983c43b1

REKLAMA

MUMINKI

DRZWI SĄ ZAWSZE OTWARTE



Największa w Polsce wystawa o Muminkach
przedłużona do 3 maja 2026

Zapraszamy do Muzeum Kinematografii w Łodzi
www.muzeumkinematografii.pl

Muzeum
Kinematografii
w Łodzi

eprasa.pl 0f983c43b1

REKLAMA

Albatros travel



2 posiłki dziennie

Zachwycający Wietnam

4,7/5

Poznaj największe atrakcje Wietnamu czyli najważniejsze miasta: Hanoi, Hoi An, Hué i Ho Chi Minh, Deltę rzeki Mekong oraz weź udział w rejsie po Zatoce Ha Long.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Hanoi. **Dz. 2** Hanoi. Wycieczka rikszami przez zabytkową część miasta. Jezioro Hoan Kiem. **Dz. 3** Hanoi. Zwiedzanie miasta: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. **Dz. 4** Hanoi – niezwykły cud natury – Zatoka Ha Long. Rejs pośród wapiennych wysepek i nocleg na statku w zatoce. **Dz. 5** Ha Long – Hanoi. Podróż samolotem do Da Nang, a następnie autokarem do Hoi An. **Dz. 6** Hoi An. Wycieczka rowerowa. Wyspa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta Hoi An. **Dz. 7** Dzień wolny w mieście Hoi An. **Dz. 8** Hoi An – Hué. Przełęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. **Dz. 9** Hué. Wycieczka rikszami do zabytkowej części miasta, cytadela. Przelot do miasta Ho Chi Minh (dawny Sajgon). **Dz. 10** Ho Chi Minh – rejs Deltą rzeki Mekong. **Dz. 11** Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Przejazd do Mui Ne. **Dz. 13–15** Mui Ne. Indywidualny wypoczynek na plaży. **Dz. 16** Wylot z Ho Chi Minh do Warszawy. **Dz. 17** Powrót do Warszawy.

dni | Wyloty z Warszawy 19/10 2026, 15/01, 10/02 2027

od **11.598,-**

3 posiłki dziennie

NOWOŚĆ

Cesarskie miasta Chin

od Placu Niebiańskiego Spokoju po Terakotową Armię

Wybierz się w klasyczną podróż objazdową, podczas której przeszłość spotyka się z teraźniejszością w dwóch najbardziej ikonicznych miastach Chin: Pekinie i Xi'an.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Pekinu. Świątynia Nieba i odpoczynek. **Dz. 3** Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto i Wzgórze Węgielne. **Dz. 4** Pekin. Wielki Mur Chiński, produkcja pereł, Pałac Letni i opcjonalnie pokaz akrobatyki z kolacją. **Dz. 5** Pekin – Xi'an. Miasteczko olimpijskie i szybki pociąg do Xi'an. **Dz. 6** Xi'an. Armia Terakotowa, Wielki Meczet i teatr tańca z epoki Tang (opcjonalnie). **Dz. 7** Xi'an. Zajęcia Tai Chi na murach miejskich, Wielka Pagoda Dzikiej Gęsi i lokalny targ. Kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Xi'an – Pekin. Przejazd szybkim pociągiem do Pekinu, zakupy i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Pekin – Warszawa. Powrót do domu.

9 dni | Wyloty z Warszawy 07/11 2026, 06/03 2027 | od **7.998,-**

2 posiłki dziennie

Opery w Weronie

Dwa wieczory z klasyką muzyki operowej spędzone w amfiteatrze w Weronie, połączone z wycieczkami do Brescii, Borghetto i nad jezioro Como.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Jezioro Como oraz czas wolny. Nocleg w okolicach Werony. **Dz. 2** Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna). Werona – zwiedzanie i czas wolny. Wieczór z operą. **Dz. 3** Renesansowa Mantua, średniowieczne miasto Borghetto oraz opera. **Dz. 4** Krótka wizyta w Brescii. Powrót z Mediolanu do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy

La Boheme i Nabucco 16/07 2026
Nabucco i La Traviata 27/08 2026
Aida i Turandot 09/09 2026

od **4.698,-**

4,6/5

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP04**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 0f983c43b1